

ZORRO 3
Jeździec w masce
LUIGI MICUNO

Powrót Frasquity.....	1
Porwanie Zefiria	5
Odszkodowanie	7
Za jednym zamachem	13
Linia Madryt - Saragossa.....	15
Za przykładem królowej	17
Wypędzanie diabła.....	18
Rycerski Malibrán.....	21
Zakochany tłuścioch	24
Człowiek z płachtą.....	27
Zbawienna rada Zefiria	29
Atak szalu Porfiria	33
Nieustępliwy hacjendero	35
Paradny strój Malibrana.....	36
Drugi i trzeci jeniec	40
Królestwo Zorry	41
Powodzenie Zefiria	47
Liścik Z zamku	50
Dwie serenady	51
Branka Zorry.....	53
Zagadka zamku Chiarea	57
Kłopoty Anglika	61
Goście Cortich	63
Detektyw z przypadku	67
Ucieczka lorda	70
Gubernator ostrzega.....	73
Oblężenie	74
Druga zasadzka	79
Obrońcy Zefiria.....	83
Wyzuty z majątku	86
Rewolta.....	88
Regent Hiszpanii.....	91
Zorro bez maski	92

Powrót Frasquity

Dylizans zatrzymał się na głównym rynku Saragossy. Pasażerowie wysiedli i rozpoczęli się hałaśliwe powitania z tłumem krewnych i znajomych, którzy oczekiwali podróży.

Wysiadła również młoda kobieta, ubrana jaskrawo i z przesadną elegancją. Rozejrzała się wokoło, jakby szukając wzrokiem kogoś z krewnych lub znajomych. Lecz nikt nie czekał na nią. Wzruszyła ramionami, po czym ujęła niewielki tobolek i szybkim, zdecydowanym krokiem zagłębiła się w krętą uliczkę wiodącą prosto do dzielnicy nędzy.

Wymijała gmatwaninę brudnych uliczek z pewnością osoby, która doskonale zna te strony. Z lubością wdychała zapach mokrej bielizny rozwieszanej na sznurach, tuż nad głowami przechodniów, przyjaznym spojrzeniem obrzucała gromady rozwrzeszczanych, obdartych dzieciaków, a podejrzanym osobnikom, którzy leniwie oparli o lepkie mury domostw spoglądali na nią ze zdziwieniem, rzucała wesoło: dzień dobry!...

Zagłębiła się w ponurej, ciemnej uliczce i zatrzymała się przed wąską, obdrapaną kamienią. Spojrzała w górę, jakby chcąc sprawdzić, czy nie dojrzy jakiejś znajomej twarzy w oknie, następnie weszła do sieni i udała się wąskimi, stromymi schodami na górę. Na drugim piętrze odetchnęła z ulgą, po czym wyjęła klucz z torebki i otworzyła drzwi. Powonienie jej podrażnił ostry zapach olla potridy.* (* Rodzaj bigosu z mięsa, kapusty i korzeni; ulubiona potrawa Hiszpanów)

- Carramba! - mruknęła. - Kto to gotuje w moim mieszkaniu?

W następnej chwili ujrzała sprawczynię. Była to młoda kobieta, brudna i rozczochrana, paradująca w zatłuszczonym szlafroku, która ze zdziwieniem spojrzała na przybyłą.

- Kto jesteś? - zapytała ostro. - I skąd masz klucz do tych drzwi?

- A kto ty jesteś? - nowo przybyła odstawiła tobołek i ujęła się pod boki. - Jakim prawem nosisz mój szlafrok i rządysz się jak szara gęś w moim mieszkaniu?

- W twoim mieszkaniu?.. Oszałałaś, senora?

- Tak, w moim mieszkaniu, bezwstydnym brudasiu i obdarcuchu!... Jeśli mi natychmiast nie odpowiesz, złapię cię za te rozczochrane kłaki i wytrzęsę z ciebie całą duszę!...

To energiczne przemówienie zaimponowało widocznie kobiecie w szlafroku, gdyż spuściła z tonu i odpowiedziała spokojnie:

- Jestem tutaj gospodynią!...

- Od jak dawna?

- Od trzech miesięcy!...

- Od trzech miesięcy, czyli zaraz po moim wyjeździe z Saragossy... Ha, ciekawa jestem, w jaki sposób ten koczkodan dostał się tutaj?

Ale kobieta w szlafroku miała już dość tego.

- Tylko nie koczkodan, ty pstrokata papugo! - wrzasnęła. - Co to za maniery? Włazisz do mego mieszkania i wymyślasz mi nie wiadomo dlaczego?.. Wynos się stąd natychmiast, bo zawołam mego męża, a wtedy będzie źle z tobą!...

- Zawołaj, choćby diabła z piekła! Ale jeśli natychmiast nie znikniesz mi z oczu...

Tamta nie słuchała do końca. Przyskoczyła do Frasquity i chwyciła ją za bluzkę.

- Precz stąd, ty wariatko!... Na pomoc... Obląkana wdarła się do mego mieszkania!... Na pomoc!...

Przybyła nie pozostała dłużna. Wczepiła się w jej włosy i obie zaczęły się kotłować w kuchni jak dwie furie.

Wrzask, hałas oraz brzęk tłuczonych naczyń obudził wreszcie mężczyznę śpiącego w przyległym pokoju. Rozległo się głośne ziewnięcie, następnie łóżko zatrzeszczało i na progu ukazał się mężczyzna, który przeciągając się i przecierając oczy zapytał:

- He, co się tam dzieje, poredi vaco?.. Angelica, co to znaczy?

Walczące kobiety zatrzymały się. Nieznajoma spojrzała na mężczyznę.

- Motelo!.., - zawołała cofając się zdumiona.

- Frasquita! - zawołał Motelo.

- Co ty tutaj robisz?

- Co robię? - Mężczyzna był zmieszany. - Przecież widzisz !. ..

Frasquita zaśmiała się drwiąco.

- Widzę bardzo dobrze, że zamieszkałeś tutaj wraz z tym obdrapańcem!...

- Tylko nie obdrapańcem! - wybuchnęła Angelica. - Tylko nie obdrapańcem, ty malowana lalo!...

Frasquita nachmurzyła się wściekle.

- Słuchaj, Motelo - rzekła przystępując do mężczyzny. - Wytłumaczysz mi się kiedy indziej, a tymczasem zabieraj ją z sobą do wszystkich diabłów... Ja nie chcę widzieć was ani chwili dłużej!...

- A jak nie? - zapytał Motelo bezczelnie. - Jeśli pozostaniemy, to co nam zrobisz?

Frasquita zdawała się być zaskoczona.

- Dobrze - rzekła po chwili namysłu. - Jeśli nie chcesz, możesz nie wychodzić... Za chwilę przyjdzie Jose... On się z tobą rozmówi!

Na dźwięk tego imienia Motelo zadrzał i stracił cały swój tupet.

- Jose Cardilla? - zapytał z drżeniem w głosie.

- A któż by inny? - roześmiała się swobodnie Frasquita. - Nie znam przecież innego Josego prócz Josego Cardilli, zwanego Postrachem Aragonii!...

Motelo uznał, iż należy załagodzić sytuację.

- Ja tylko tak żartowałem, Frasquito - rzekł pojednawczym tonem. - Nie miej do mnie urazy, że zamieszkałem tutaj wraz z Angelicą, ale uczyniłem to z dwóch powodów... Po pierwsze, nie miałem dotychczas stałego miejsca zamieszkania, a po drugie, skądże mogłem wiedzieć, że powrócicie oboje z Lizbony, dokąd wysłał was szlachetny Zefirio Corti?.. Przecież zobowiązałaś się, że nigdy już nie powrócisz

do Saragossy, Frasquito!...

- Nie będę ci się tłumaczyć - odrzekła chłodno. - Powróciłam, bo tak mi się podobało, rozumiesz?

- Słyszałem, że Jose zginął...

- Okłamano cię! - odparła spokojnie. - Jeśli zaczekasz jeszcze kilka minut, to zobaczysz go na własne oczy, ale przysięgam, że już nigdy nie ujrzysz słońca ani gwiazd!...

Motelo zbladł.

- Już odchodzę - zawołał śpiesznie. - Angelico, zbierz swoje rzeczy... Wracamy do twojej matki!...

- Możesz sobie zabrać mój szlafrok- oświadczyła Frasquita wspaniałomyślnie. - Jest zbyt brudny dla mnie!...

Drzwi zamknęły się za odchodzącą parą. Frasquita odprowadziła ich ironicznym spojrzeniem.

- Tyle wiem o mym biednym Jose co i oni - szepnęła. - Ale sądzę, że senor Zefirio Corti powie mi, co zrobił z moim drogim chłopcem!...

Myśli jej przybrały inny kierunek..

- Jestem słabą kobietą i sama nic nie wskóram. Motelo to zdrajca i nie można liczyć na niego... Muszę mieć kogoś bardzo odważnego i obrotnego zarazem... Ale kogo wybrać?

Przebiegła myślą wszystkich znanych sobie opryszków, ale żaden z nich nie nadawał się do misji, którą chciała mu powierzyć. Wreszcie po dłuższym wysiłku pamięciowym twarz jej się rozjaśniła.

- Tak, tak - wyszeptała. - Tylko Gardenio nadawałby się do tej roboty!....

Poczuła głód. W garnku gotowała się jeszcze olla potrida pozostawiona przez Angelicę. Zjadła talerz tej potrawy, po czym wyszła z mieszkania, udając się do Gardenia.

Drzwi otworzyła staruszka o kołtuniastych, siwych włosach, jastrzębim nosie i żywych, biegających oczkach.

- Kto jesteś; - zapytała mierząc ją nieufnym spojrzeniem. - Jestem Frasquita! Czy nie poznajesz mnie, matko Mehul? - Frasquita?

- Tak! Żona Josego Cardlli!..

- Ach, to ty? - wyrzekła obojętnie staruszka. - Nigdy bym cię nie poznała w tym wytwornym przebraniu... Gdzie przebywałaś?

- W Lizbonie, matko Mehul!...

- Hm!... A teraz, co cię tutaj sprowadza?

- Chciałabym zobaczyć się z Gardeniem.

Staruszka machnęła ręką.

- Nie ma go w domu - odrzekła. - Śpi jak zwykle gdzieś na śmietniku lub pod schodami... Musisz go poszukać!...

Frasquita zeszła ze schodów, zaglądając po drodze do każdego zakamarka. Wreszcie znalazła śpiącego młodzieńca pod schodami.

Dziwny był to typ ten Gardenio, nazwany śpiącym. Jedyłą jego przyjemnością było spanie. Nie kosztowało to zbyt drogo, toteż młodzieniec nie odmawiał sobie tej przyjemności i spał o każdej porze dnia i nocy oraz przy każdej okazji. Budził się tylko wówczas, kiedy głód skręcał jego wnętrzności, a matka Mehul nie dawała mu nic do zjedzenia, tłumacząc się brakiem pieniędzy. W takich chwilach Gardenio stawał się najniebezpieczniejszym desperadosem Saragossy.

Sprężysty jak pantera, krwiożerczy jak ryś, wychodził na polowanie.

- Gardenio się obudził - mawiano w dzielnicy nędzy. Ustępowano mu z drogi, najgroźniejsi nawet zbójcy zmykali przed nim, nie ważąc się na zaczepkę. Ongiś sam Jose Cardilla unikał go w chwili, gdy tamten wychodził na łowy.

Gardenio potrafił zastrzelić muchę z odległości piętnastu kroków, nie otwierając prawie oczu, a jego skok na upatrzoną ofiarę przypominał skok tygrysa w dżungli. Prócz tego był arcymistrzem we władaniu wszelaką bronią i giął żelazne podkowy w rękę.

Na szczęście niebezpieczny ten osobnik przeważnie spał, pozostawiając Cardilli zaszczyt uchodzenia za najniebezpieczniejszego opryska Saragossy.

Frasquita nachyliła się i potrząsnęła nim mocno.

Gardenio otworzył jedno oko.

- Frasquita? - zapytał sennym głosem. - Skąd się tutaj wzięłaś?
- Wróciłam z Lizbony! - odpowiedziała. - I chciałabym z tobą pomówić w pewnej sprawie!...
- A! - westchnął Gardenio i zamknął oko.

Ale Frasquita postanowiła, że nie pozwoli mu popaść z powrotem w objęcia Morfeusza. Zaczęła potrząsać nim silnie, wołając jednocześnie:

- Słuchaj, Gardenio, wyspać się zdążysz i później... Teraz musisz mnie wysłuchać... Śpioch otworzył jedno oko, następnie drugie.

- Nie trząś mną - wymamrotał. - I mów, o co ci chodzi!... - Gardenio - zaczęła - nadarza ci się okazja zarobienia grubszej forsy...

- Nie potrzebuję pieniędzy - mruknął. - I szkoda fatygi!...

- Ależ zrozum, głupcze, iż nie będziesz potrzebował na przyszłość przerywać sobie drzemki... Mając pieniądze, będziesz mógł spać nieprzerwanie przez rok, dwa lata i jak długo zechcesz. Głód nie zmusi cię do nocnej wędrówki po mieście. Złoto umożliwi ci beztroski żywot na dłuższy czas...

- To ciekawe - mruknął. - Nie pomyślałem nigdy o tym... Mów dalej!...

- Opowiem ci całą historię od początku. - Frasquita obejrzała się przezornie i zniżyła głos. - Było to przed czterema miesiącami. Pewnego pięknego dnia do Josego przyszli dwaj bogaci senores i dali mu moc pieniędzy, żądając w zamian, by Jose udawał Zorrę! ...

- Zorrę? - zapytał Gardenio, który o niczym nie wiedział. - Kto to taki?

- Jest to zamaskowany jeździec, legendarny bohater Aragonii. Nikt go nie zna, a ludzie czczą go jak jakieś bożyszcze.

- Kogo? - zapytał Gardenio?

- Bożyszcze!...

- Kto to taki?

- Wszystko jedno - odparła niecierpliwie. - I tak nie zrozumiesz. Ale słuchaj dalej...

- Kiedy spać mi się chce! - bronił się Gardenio. - Co mnie ta cała historia obchodzi?

- Posłuchaj, to się przekonasz... Otóż Jose zgodził się. Kupił sobie konia, sporządził maskę i czarny zawój na głowę i zaczął napadać na transporty złota w Aragonii; podobnie jak to czynił prawdziwy Zorro... Udawało mu się to dość długo, aż wreszcie trafił, na prawdziwego Zorrę, który osmagał go do utraty przytomności, biczem z bawolej skóry...

- Zorro osmagał Josego? - zdziwił się Gardenio. - A co robił Jose?.. Czy nie bronił się?

- Owszem, ale to mu nic nie pomogło. Zorro okazał się daleko mocniejszy...

Teraz Gardenio otworzył oczy zupełnie szeroko.

- Mów dalej - rzekł. - Naprawdę to ciekawa historia...

- A widzisz!... Nieprzytomnego znalazł w lesie Zefirio Corti i wydał władzom... .

Gardenio zaczął się śmiać.

- Zefirio Corti? - zawołał. - Ach, to ten pajac z korridy... Widziałem na własne oczy, jak byk miotał nim po arenie... Można było skończyć ze śmiechu... Przysięgam, że wówczas wszelki sen mnie odleciał...

- Wydał władzom - ciągnęła dalej Frasquita. - Ale gdy Jose znalazł się w więzieniu, Corti pożałował widocznie swego czynu, gdyż przyszedł do mnie, dał mi pieniądze na wyjazd do Lizbony i obiecał uwolnić Josego... Opuściłam więc Saragossę, błogosławiąc w duchu swego dobroczyńcę. Po przybyciu do Portugalii na próżno jednak czekałam na mego ukochanego. Nie przyjechał. Napisałam do Saragossy, prosząc przyjaciół, by mi donieśli, czemu Jose nie przyjechał do Lizbony. Odpowiedzieli mi, że wszelki ślad po nim zaginął, od chwili gdy Motelo razem z dwoma przyjaciółmi Zefiria wsadzili go do karocy...

- Ciekawe - mruknął Gardenio. - Ale cóż ja mam w tym do roboty?

Frasquita zaczęła mówić mu coś do ucha, a w miarę tego, jak mówiła, zaspane oblicze rzezimieszka rozciągało się w uśmiechu zadowolenia.

- To mi się podoba - mruknął. - Będę miał nie lada rozrywkę, zarobię kupę pieniędzy, po czym będę mógł wypoczywać przez całe życie...

I oto mieszkańcy dzielnicy nędzy ujrzeli coś nowego: Gardenio siedł w towarzystwie Frasquity, a wyraz jego twarzy nie wskazywał wcale na to, by był głodny albo spragniony krwi ludzkiej.

Porwanie Zefiria

Carlo Cevenna jechał- na czele swego oddziału i groźnym wzrokiem lustrował okolicę. Słońce chyliło się ku zachodowi. Z lewej strony na widnokręgu wznosiły się poszarpane skały, natomiast po prawej rosła bujna roślinność oraz czernił się las. Był to kontrast znamieny dla krajobrazu Hiszpanii i don Carlo nie zwracał na to uwagi. Teraz miał ważniejsze problemy, a mianowicie, nieuchwytny Zorro znów złupił większą sumę złota i wszystkie ślady wskazywały na to, iż jeździec w masce ukrywał się w okolicy Huesco.

Droga skręcała w stronę lasu i szła jego brzegiem. Ledwie jednak oddział minął pierwszą grupę drzew, gdy wtem oczom wszystkich ukazał się widok niezwykle w tych okolicach. Na skraju drogi stały sztalugi malarskie, a przed nimi siedział człowiek i malował. Sztalugi zasłaniały twarz malarza, natomiast ruchy długiego pędzla wskazywały na jego obecność.

Dziwny był to malarz. Musiał pracować bardzo energicznie, skoro sztalugi chwiały się na wszystkie strony, bliskie upadku. Jednocześnie mistrz palety śpiewał, gwizdał i wybijał takt nogami. Widać było, iż ogarnęło go natchnienie.

Carlo Cevenna popędził konia, a jego oddział uczynił to samo.

- Hej, senior! - zawołał.

Spoza sztalugi wyjrzała twarz młodego Cortiego.

- Senior Zefirio? - zdziwił się don Carlo.

- Do usług, senior Carlo - odpowiedział uprzejmie Zefirio - a właściwie dzień dobry!...

Carlo Cevenna osadził konia.

- Nie wiedziałem, że jesteś malarzem, senior - rzekł.

- Jestem nim - oświadczył Zefirio. - Moja skromna osoba jest siedliskiem wszelkich genialnych umiejętności. Jestem śpiewakiem, poetą, archeologiem, botanikiem, paleontologiem...

- Czym? - zapytał zdumiony pułkownik.

- Paleontologiem!...

- Co to za zwierzę?

- Żadne zwierzę - odparł urażony Zefirio. - To nauka o skamieniałościach istot przedhistorycznych, dzieląca się na paleozoologię oraz paleofitologię...

Carlo Cevenna był oszołomiony tym ogromem wiedzy.

- Paleo... jak? - zapytał.

- Paleofitologia - powtórzył cierpliwie Zefirio.

- Carramba!... - zaklął don Carlo. - Ty chyba kpisz sobie ze mnie, senior. - Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym... Zwichnąłbym sobie język, wymawiając to słowo!

- Paleofitologia to wiedza o skamieniałościach roślinnych, senior Carlo. - Zajmuje się badaniem śladów okresu paleozoicznego...

Don Carlo spał konia ostrogami.

- Wystarczy! - zawołał śpiesznie. - Dopowiesz resztę kiedy indziej, senior. A teraz chciałbym obejrzeć twe arcydzieło malarskie.

- Bardzo chętnie - rzekł usłużnie Zefirio. - Maluję Niezwyciężoną Armadę króla Filipa.

- Ach, przypominam sobie. Tak nazywano, zdaje się, potężną flotę Filipa II, wysłaną przeciwko Anglii...

- W roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym ósmym król Filip wysłał ją przeciwko Anglii, niestety, po drodze zaskoczyła ją straszliwa burza na oceanie i zniszczyła do szczętu... Jestem również historykiem - dokończył skromnie.

- Tak, tak, oczywiście - bąknął don Carlo. - Nie rozumiem tylko, czemu malujesz flotę hiszpańską siedząc na skraju lasu!

- To proste, senior... Zielen drzew przypomina mi zielone odmęty fal...

- Hm - mruknął pułkownik. - Nie wiedziałem dotychczas, że fale oceanu są zielone...

Okrzyknął sztalugę. Oczom jego ukazały się nieforemne zielone plamy pokrywające gęsto całe płótno...

- Nie żałowałeś, jak widzę, zielonej farby - zawołał zdumiony pułkownik. - Ale co to właściwie przedstawia?

- Wzburzone fale oceanu - oświadczył Zefirio z niezachwianą pewnością siebie..

- Dobrze, a gdzie jest Niezwyciężona Armada?

- Zatonęła!...

Pułkownik chwycił się za głowę.

- Człowieku, co to znaczy?! - krzyknął. - W głowie mi się kręci...

- Wcale się temu nie dziwię... - oświadczył z dumą. Moje obrazy wywierają zazwyczaj wstrząsające wrażenie na widzach... Jest to wpływ mego geniuszu malarskiego...

Carlo Cevenna wybuchnął niepohamowanym śmiechem, a żandarmi zawtórowali mu. Zefirio spoglądał przez chwilę na śmiejących się, po czym potrząsnął głową z niezadowoleniem:

- Nie widzę najmniejszego powodu do śmiechu, senior! - rzekł tonem urażonej godności.

-Ale ja widzę, senior - odpowiedział don Carlo, uspokajając się powoli.- Widzę, senior... Muszę ci przyznać, że dokazałeś sztuki nie lada, ponieważ już dawno zapomniałem, co to jest śmiech!...

A widząc, że Zefirio nic nie rozumiejąc spogląda nań głupkowato, dodał: .

- Rozśmieszyły mnie te genialne, zielone plamy bez formy, które według ciebie, senior, mają wyobrażać wzburzone fale oceanu wraz z Niezwyciężoną Armadą w odmętach...

- Ha! - zawołał Zefirio. - Więc rozśmiesza cię historyczny fakt, który unieszczęśliwił Hiszpanię, pozbawiając ją floty?

- Nie, senior, lecz myśl, że i ja również mogę być genialnym malarzem, wystarczy bowiem, że nasmaruję kilkadziesiąt takich plam...

- Na próżno, senior Carlo - odparł Zefirio. - Zmarnowałbyś tylko farbę... Ręczę ci, że twoje plamy nie byłyby podobne do moich ani pod względem kształtu, ani też potęgi wyrazu -pokręcił głową. - Nie, nie, senior Carlo, pozostaw swe ambicje malarskie w spokoju... By cię przekonać, jak bardzo wszechstronny jest mój talent, pokażę ci inne moje arcydzieło!...

Z tymi słowy ujął rolkę płótna spoczywającą na trawie i rozwinął ją.

Don Carlo ujrzał niewyraźne czarne smugi i plamy.

- Co to oznacza? - zapytał.

- Czy nie widzisz, senior?

- Przyznam się, że nie!...

- Jest to zgraja dzikich Murzynów, tańcząca swój święty taniec nad brzegiem Nilu!...

- Carramba! - zaklął don Carlo. - Niech mnie diabli porwą, jeśli widzę choćby jednego M urzyna!...

- Oczywiście, że trudno ich zobaczyć - zgodził się Zefirio. - Uroczystość ta odbywa się wśród czarnej jak atrament, bezgwiazdnej nocy egipskiej...

Tego było już za wiele dla don Carla. Zaciął konia i ruszył galopem, nie oglądając się za siebie.

Oddział ruszył w ślad za nim.

- Senior Cevenna! - rozległo się wołanie Zefiria, Senior Cevenna, zaczekaj chwilę... Jeszcze przecież nie skończyłem... Jestem również ornitologiem, botanikiem i ...

- Idź do wszystkich diabłów! - warknął wściekle dowódca żandarmerii i wbił ostrogi w boki swego wierzchowca...

Nie ujechał jednak zbyt daleko, gdy nagle do uszu jego doleciał rozpaczliwy krzyk:

- Na pomoc!... Ratunku!... Ratunku!...

Don Carlo odwrócił głowę. Widok jaki ukazał się niespodziewanie jego oczom, zmusił go do gwałtownego ściągnięcia cugli.

Sztaluga była wywrócona, Zefirio zaś wydierał się rozpaczliwie jeźdźcy w masce i w czarnym zawoju na głowie.

Walka była krótka. Zamaskowany jeździec porwał biednego malarza i przerzucił go przez siodło. Następnie smagnął konia i ruszył galopem. w stronę skał.

- Zorro porwał Zefiria! - ryknął Carlo Cevenna. – Naprzód żołnierze... Musimy go schwytać!...

Oddział zawrócił i ruszył z kopyta z ślad za umykającym jeźdźcem w masce.

Odszkodowanie

Rumak gnał jak wicher, pomimo podwójnego ciężaru.

- Jeden najmniejszy ruch - syczał przez zęby zamaskowany jeździec - a już będzie po tobie, senior!...

- A czy mogę mówić? - zapytał pokornie Zefirio.

- Ile ci się żywnie podoba!...

- Czy mogę również zadać ci pytanie, senior?

- Nawet dziesięć!....

- Nie, wystarczy tylko jedno, a mianowicie, kto jesteś, senior? - Czy nie poznajesz?

- Nie!...

- Jestem Zorro!...

- Zorro?

- Tak!...

- We własnej osobie?

- Chyba że nie w obcej - zaśmiał się jeździec w masce.

- Och! - jęknął młody Corti. W takim razie źle ze mną...

- Bardzo źle! - zgodził się tajemniczy jeździec, oglądając się za siebie, by się przekonać, czy ścigający go oddział żandarmów pozostał daleko w tyle.

- Co chcesz uczynić? - pytał dalej Zefirio, wzdychając żałośnie. - Obedrę cię ze skóry i osmagam biczem!...

- Aj, aj! - jęknął biedny młodzieniec. - Już czuję, jak to boli... Nie rozumiem jednak, szlachetny senior Zotro, co ci z tego przyjdzie?... Jaką korzyść będziesz miał z mej skóry?... Co ona jest warta?

- Dla mnie ani ćwierć peso - przyznał jeździec w masce. - Ale pewna senora, imieniem Frasquita, zapewnia, że widok senora Zefiria odartego ze skóry sprawi jej niewypowiedzianą przyjemność...

- Frasquita? - zadziwił się Zefirio. - Jaka Frasquita?

- Żona Josego Cardilli!...

- Ach! - wyrzekł Zefirio i zamilkł.

Rumak gnał pomiędzy nagimi skałami. Jeździec kluczył, zawracał w prawo i w lewo, starając się umknąć przed ścigającym go oddziałem don Carla Cevenny. Wreszcie mu się to udało. Żandarmi pozostali daleko w tyle. Stracili go z oczu i podążyli w fałszywym kierunku. Zamaskowany jeździec odetchnął z ulgą, po czym zawrócił i wyjechał z powrotem na drogę. Przeciął ją na ukos, zmierzając w stronę lasu, a gdy znalazł się pomiędzy drzewami, pognął na zachód.

Drzewa rzedły w miarę tego, jak koń posuwał się naprzód i wreszcie oczom jeźdźcy ukazał się bezbrzeżny step. Tuż obok lasu stał niewielki, otwarty powóz. Siedziała w nim kobieta.

Jeździec pogalopował w stronę powozu i zatrzymał się przed drzwiczkami.

Zefirio poznał Frasquitę.

- Dziękuję ci, Gardenio, to jest chciałam powiedzieć, senior Zorro - odezwała się Frasquita, wysiadając. - Dziękuję ci, że swym zwyczajem ująłeś się za biedną wdowę, pokrzywdzoną przez tego gagatka...

- Hm - mruknął Zefirio. - Sądziłem, że przebywasz w Lizbonie, senoro Frasquito...

Zamaskowany jeździec strącił go z siodła. Zefirio upadł na ziemię.

- Wstawaj, senior - rozległ się groźny głos jeźdźcy, który ujął w ręce długi bicz z bawolej skóry. - Pogadamy!

Zefirio nie podnosił się z ziemi, zrzucony brutalnie z siodła.

- Wstawaj, senior! - zabrzmiał powtórnie ochryply głos zamaskowanego jeźdźcy. - Wstawaj, pogadamy!...

A gdy Zefirio nie spieszył się, Frasquita trąciła go z całej siły nogą, wołając:

- Wstawaj, nędzniku, i spójrz prosto w oczy nieszczęsnej wdowie!...

Zefirio dzwignął się.

- Czego chcesz ode mnie, senora?: zapytał pocierając boki. - Co uczyniłem ci złego, że mnie maltretujesz?

- Muszę znać prawdę, całą prawdę - Frasquita przystąpiła doń z zaciśniętymi pięściami. - Co się stało z Josem! ...

Młody Corti wzruszył ramionami.

- Skoro nazywasz siebie nieszczęsną wdową, to chyba dobrze wiesz, że Jose nie żyje!...

- Nie żyje!... Nie żyje! - wrzasnęła kobieta. - Tyś go zabił, łotrze!... Tyś wszystkiemu winien, bowiem wydałeś go w ręce don Alvareza, wysłałeś mnie do Lizbony, po czym zamordowałeś mego biednego Josego.

- Nie mogłem go zamordować - zaprzeczył młodzieniec. I nie zamordowałem go z tej prostej przyczyny, że gdy Jose wymknął się z więzienia, ja pozostałem na jego miejscu w celi...

Frasquita nie spodziewała się tej odpowiedzi. Na chwilę zabrakło jej słów. Dopiero śmiech jeźdźca w masce przywrócił jej przytomność umysłu.

- Nie zabiłeś go własnoręcznie - krzyknęła ze złością - ale wydałeś odpowiednie polecenie swym przyjaciółom! To oni go zabili, za twoją namową...

- Ani ja, ani moi przyjaciele - odparł Zefirio. - Jose zginął z własnej winy... Ubrdał sobie, że pewna hrabianka oraz księżniczka są w nim zakochane bez pamięci... Za żadne skarby świata nie chciał opuścić Saragossy... Oczywiście, ani mu się śniło jechać do ciebie. „Moje arystokratki!” - wołał. „Ja muszę zobaczyć się z mymi arystokratkami!”... Całkiem mu się przekreśliło w głowie... Dopiero Motelo zwabił go do karocy, w której znajdowali się moi dwaj przyjaciele, obezwładniono go i karoca ruszyła do Lizbony. - Westchnął. - Lecz Jose stracił zupełnie rozum - ciągnął dalej. - Nie bacząc na to, że w Saragossie groziła mu gorota* (* Kara śmierci), koniecznie chciał powrócić... Otóż nad ranem, korzystając z chwili nieuwagi swych strażników, wyskoczył z powozu... Na nieszczęście karoca toczyła się nad przepaścią i Jose runął na dół...

- Łżesz, łżesz! - wrzasnęła Frasquita. - Nie wierzę ani jednemu twemu słowu... Tyś kazał strącić go w przepaść!...

- Dlaczego miałbym to uczynić? - zapytał Zefirio.

- Ja ci powiem dlaczego!... Bałeś się jego zemsty... Drżałeś ze strachu, iż mój biedny Jose ucieknie z więzienia i zemści się na tobie!... Lecz zamaskowany jeździec miał już dość tej sprzeczki.

- Hola, Frasquito! - zawołał niecierpliwie. - Dość tej gadaniny... Zabił czy nie zabił, mało mnie to obchodzi... Grunt, by zapłacił, co się należy i niech sobie idzie do diabła... Nie zapominaj, że czatuję nań od wczesnego ranka i jakem Zorro, spać mi się chce diabelnie... Po prostu oczy mi się kleją... Załatw czym prędzej sprawy finansowe i wracajmy do Saragossy...

- Chwilkę cierpliwości, Gardenio... chciałam powiedzieć Zorro - rzekła Frasquita. - Zaraz dojdziemy do sedna sprawy.

- Dojdziemy do sedna sprawy - powtórzył jak echo Zefirio. - Mianowicie, puścisz mnie Frasquito, a ja powrócę do mych sztalug!...

Frasquita roześmiała się szyderczo.

- Owszem, puszcę cię, senor - rzekła - ale pod warunkiem, że zapłacisz mi odszkodowanie za śmierć mego biednego Josego.

- Odszkodowanie? - zapytał Zefirio. - Jakie odszkodowanie?

- Sto tysięcy peso!

Z ust jeźdźca w masce wydarło się jakby końskie rzenie. Gardenio był zachwycony.

Zefirio podrapał się w głowę.

- Sto tysięcy peso? - jęknął. - Ładna sumka, ale ja jej nie mam, niestety!...

- Nie masz? - zawołała kobieta z groźbą w głosie. - Dobrze, w takim razie tutaj obecny Zorro obedrze cię żywcem ze skóry i osmaga biczem.

Młody Corti złożył błagalnie ręce:

- Aj, aj, senor Zorro - jęknął. - Chyba tego nie uczynisz!...

- Uczynię! - odpowiedział rzekomy Zorro grubym głosem. - Obedrę ze skóry, pokroję w drobne kawałki i osmagam każdy kawałek z osobna, a potem zaleję wrzącą oliwą!...

- Litości - jęczał Zefirio. - Chyba nie zrobisz tego, wielmożny senor Zorro!...

- Zrobię!...

- Nie zrobisz, bo skąd weźmiesz wrzącą oliwę na tym pustkowiu?..

Uwaga ta zastanowiła Gardenia.

- Racja - mruknął. - Nie mam, niestety, wrzącej oliwy... Więc co zrobić, Frasquito?.. Może puścimy go wolno?

- Niedoczekanie! - wrzasnęła żona Cardilli. - Muszę mieć te sto tysięcy... Daj mu nauczkę biczem,

Gard... Zorro!...

- Nie, nie, señor Gard... Zorro!... - zawołał jęklonie Zefirio. - Nie bij mnie, proszę cię... Nie mam pieniędzy, natomiast ofiaruję ci rzecz wielokrotnie wartościowszą niż sto tysięcy peso.

- Ciekaw jestem! - mruknął Gardenio. - Jaką to rzecz możesz mi ofiarować?.. Czy ona jest ze szczerego złota?

- Lepiej, wielmożny señor!

- A więc wysadzana diamentami?

- Tak, señor! - potwierdził skwapliwie Zefirio. - Wysadzana diamentami mego geniuszu...

- Co to takiego?

- Obraz namalowany przed chwilą. Przedstawia burzę na morzu oraz zatoniętą armadę króla

Filipa!...

- Daj mu nauczkę, Gardenio - wrzeszczała megiera. - Czy nie widzisz, że kpi z nas?

Gardenio ujął bicz, ale w tej samej chwili Zefirio był już przy nim... Błagając go o litość, przerażony młodzieniec wczepił się weń tak mocno, że jeździec nie był w stanie zamachnąć się biczem.

- Zlituj się nade mną, wielmożny señor Zorro - jęczał Zefirio, czepiając go się rozpaczliwie. Nie bij mnie!...

- Puść, łajdaku! - ryczał Gardenio. - Czy nie widzisz, że drzesz na mnie odzież?..

Ale przerażony młodzieniec ani myślał ustępować. Czepiając się z rozpaczą ubrania jeźdźcy, ściągnął go z konia na ziemię. Nie przestawał przy tym, jęcząc i zawodząc, błagać go o litość.

- Carramba! - ryczał Gardenio. - Dobrze już, dobrze, daruję ci życie... Przysięgam, że nie osmagam cię biczem, przeklęty tchórze, ale puść mnie wreszcie!...

Zefirio dostał paroksyzmu strachu. Nie bacząc, że jego prześladowca obecnie znalazł się sam w złej sytuacji, czepiał się go oburącz w dalszym ciągu, jęcząc, zawodząc i skamłając o zmiłowanie.

W tych homeryckich zmaganiach całe ubranie Gardenia poszło w strzępy. Maski i zawój dawno już były zdarte, a bicz leżał daleko. Nieszczęsny rabuś przedstawiał opłakany widok, ale sytuacja była tym dziwniejsza, że Zefirio ciągle jeszcze jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z tej nowej sytuacji.

- Czcigodny, dobry, szlachetny señor Zorro - zawodził drżącym głosem, nie przestając jednocześnie zdzierać zeń resztki odzieży. - O, błagam cię na wszystko, nie czyni mi krzywdy... Wysłuchaj mnie, o señor, wysłuchaj mego błagania... Czemu mi nie odpowiadasz?.. Miej litość nade mną!...

A Gardenio aż ochrypl od krzyku:

- Łotrze, łajdaku, przecież nic ci złego nie robię!... Patrz, coś mi narobił?.. Rozebrałeś mnie do naga i całego poraniłeś... Puśćże mnie wreszcie, przeklęty tchórze, bodaj cię ziemia pochłonęła!...

Frasquita jak skamieniała przypatrywała się tej dziwnej scenie, nie wierząc własnym oczom. Sądząc według rozpaczliwych krzyków młodego Cortiego, nieszczęśnik ten był nieludzko katowany. A przecież rzecz miała się wręcz odwrotnie. Co prawda Zefirio padał na kolana, ryczał i wił się ze strachu, a jednak nie on, tylko właśnie Gardenio był tym poszkodowanym. Ubranie jego dawno zostało podarte na strzępy, krew sączyła się z licznych zadrapań i okaleczeń, a przestraszony Zefirio miotał nim jak marionetką, nie przestając ryczeć:

- Ratunku, litości señor Zorro!... Oszczędź mnie... Oszczędź jedyne dziecko mego ojca oraz przyszłego ojca moich dzieci!...

Po prostu było nie do uwierzenia, że siłacz Gardenio, który podobno gwałcił żelazne podkowy, dał się w ten sposób urządzić przez skamłającego o litość tchórze.

Opryszek przeklinał i ryczał nie mniej głośno od Zefiria, ale ten był głuchy i ślepy na wszystko. Wreszcie Gardenio wydarł się z rozpaczliwych objęć młodzieńca i pognął jak szalony w stronę lasu.

Zefirio zamarł w bezruchu, spoglądając w ślad za uciekającym.

A gdy naga postać skryła się pomiędzy drzewami, Zefirio zawrócił i biegnąc ku Frasquicie, wołał:

- Senora, senora, on zwariował, zupełnie zwariował!... O Boże wielki, miej go w swej opiece... tego grzesznika!... Przewidywałem, że konne harce w masce w końcu padną mu na umysł... Wielkie nieba kto by pomyślał, że Zorro, ten odważny Zorro, rozbierze się ni stąd, ni zowąd do naga i rycząc pobiegnie do lasu!...

Lecz Frasquitę ogarnęło przerażenie na widok biegnącego w jej stronę Zefiria. Pozostawiając swój powóz na łasce losu, zaczęła uciekać wydając przeraźliwe okrzyki.

- O matko! - jęknął Zefirio. - I ona również postradała rozum!... Muszę ją ratować.

Rzucił się w pościg za nią i niebawem dogonił na skraju lasu.

- Senoro Frasquito! - zawołał chwytając ją wpół. - Na wszystkich świętych, co się z tobą dzieje?..

Czemu uciekasz?... - Przecież nikt nie zamierza wyrządzić ci najmniejszej krzywdy!.. Nie obawiaj się, ten szaleniec nie wyjdzie z lasu... A jeżeli nawet, to mam przy sobie pistolet!..

Zaprowadził ją siłą do powozu, posadził na przednie siedzenie, sam ulokował się obok niej i ujął lejce. Upřednio jednak przywiązał konia Gardenia.

Powóz ruszył kierując się w stronę drogi. Ledwie jednak minął pierwszą grupę drzew, gdy nagle z gąszczu wyskoczyła naga postać, wołając:

- Łotrze, łajdaku; nędzniku!... Zatrzymaj się... zaczekaj na mnie... Nie pozostawisz mnie chyba wśród lasu w tym stanie!..

- Senora, zamknij oczy! - ryknął Zefirio. - Zamknij oczy i odwróć głowę... Ten nieszczęsny obłąkaniec biegnie za nami.

- Zatrzymaj się, senor! - zawołała Frasquita, chwytając go za rękę. - Musimy go zabrać z sobą!..

Ale Zefirio zaciął konie i powóz pomknął podskakując na każdym kamieniu przydrożnym.

- Zatrzymaj konie! - wołała Frasquita.

- Żeby mi szaleniec głowę ukręcił?..

- On nie jest szalony!..

- Jak to! Czyś nie widziała na własne oczy, co się z nim działo? Powóz toczył się coraz szybciej.

Zefirio skrzył w pewnej chwili w lewo i zetknął się z oddziałem żandarmerii.

Carlo Cevenna osadził konia, nie wierząc własnym oczom.

- Czy mnie wzrok nie myli? - zawołał zdumiony. - Czy to senor Zefirio we własnej osobie?.. I do tego w powozie, w towarzystwie kobiety?..

- Tak, don Carlo - odpowiedział Zefirio, zatrzymując powóz. - To ja we własnej osobie!..

- Przecież widziałem, jak porwał cię Zorro! Czyżby zwrócił ci wolność?

Zefirio machnął ręką.

- Zorro postradał zmysły - oświadczył krótko. - Zrzucił z siebie odzież i w podskokach pobiegł do lasu.

- Cooo? - pułkownik nie wierzył własnym uszom. - Co ty wygadujesz, młodzieńcze?

- Mówię czystą prawdę - odparł Zefirio. - Ta senora może poświadczyć, że nie kłamie, była bowiem świadkiem tej sceny!..

Frasquita bladła i czerwienila się na przemian. Ogarnął ją paniczny lęk. Jedno słowo Zefiria o tym, że do spółki z Gardeniem chciała wymusić na nim okup, wystarczy, by powędrować do więzienia.

- Czy to prawda, senora? - zapytał don Carlo.

Zadrzała, gdyż wzrok don Carla, nawet wówczas gdy był spokojny, przypominał spojrzenie rozwścieczonego tygrysa.

- T... tak!.. - wyjąkała..

- Zrzucił z siebie odzież?

- T... tak!..

- I uciekł do lasu?

Kiwnęła głową, nie była bowiem w stanie odezwać się ani słowem.

- Czy jesteś pewna, że był to Zorro we własnej osobie? - badał dalej don Carlo..

Zefirio odpowiedział za nią:

- Ależ tak, pułkowniku - zapewnił. - Jakże senora może w to wątpić, skoro zatrzymał jej karocę i zażądał pieniędzy. Całe szczęście, że dostał nagłego obłądu, inaczej bowiem nie wyobrażam sobie, jakby się to wszystko skończyło!

- Naprzód!.. - ryknął don Carlo, zwracając się do swego oddziału. - Co koń wyskoczy, do lasu... Musimy go mieć!

Ruszyli galopem we wskazanym przez Zefiria kierunku i niebawem natrafili na nieruchomą postać leżącą pod drzewem.

- Nie żyje! - zawołał don Carlo zeskakując z konia. - Carram ba, a to pech!

Ale postać poruszyła się.

W mgnieniu oka żandarmi otoczyli ją ze wszystkich stron. Trzydzieści par rąk wyciągnęło się ku niej. Chwycono ją za ręce i nogi.

Śpiący człowiek otworzył jedno oko i wymamrotał sennym głosem:

- Do tysiąca diabłów, czy pozwolicie mi nareszcie wyspać się jak należy?.. Od wczesnego rana nie zmrużyłem oka...

Don Carlo zaklął siarczyście...

- Zefirio mówił prawdę - wołał. - Zorro rzeczywiście stracił rozum!...

Śpiącego bez przerwy Gardenia przywieziono w triumfie do Saragossy. Po drodze śpioch ani przez chwilę nie raczył przerwać swej drzemki.

Ledwie ujrzano jego bezmyślną fizjonomię, a jeden wielki wybuch śmiechu wstrząsnął murami Saragossy..

- Cha, cha! - śmieli się ci, co znali dzielnicę nędzy. - Ależ to jest Gardenio, śpiący Gardenio!... Jakże to możliwe, by ten nicpoń był Zorzą, skoro prawie zawsze można go znaleźć śpiącego pod schodami u matki Mehul...

Niewinność jego była tak oczywista, że gubernator nie chciał nazajutrz nawet słyszeć o nim.

Przepędzono go więc celnym kopnięciem z więzienia. Od tego kopniaka Gardenio zupełnie wytrzeźwiał i udał się prosto do mieszkania Frasquity.

Megiera przyjęła go niezbyt życzliwie. W jej oczach Gardenio okrył się śmiesznością.

- Jesteś zdolny tylko do czatowania na przechodniów w zaułku - oświadczyła z pogardą. - Nie mogę zapomnieć tej sceny, gdy uciekałeś jak szalony przed tym tchórzem, który błagał cię o litość...

- Bodaj go piekło pochłonęło! - mruknął zawstydzony opryszek. - Póki żyję, nie miałem do czynienia z podobnie stalowymi kleszczami... Słyszałem, iż strach ma wielkie oczy albo że dodaje skrzydeł, nigdy jednak nie słyszałem, by pomnażał stokrotnie siły...

- Co ty wygadujesz?

- Przysięgam, że nie kłamię! Podobno nie jestem cherlakiem, a jednak muszę przyznać, że ten trzęsący się ze strachu Zefirio miał w sobie siłę olbrzyma... Miałem wrażenie, że jakaś wielka maszyna porwała mnie w swe tryby; miota na wszystkie strony... Gdyby nie skomlał czepiając się mnie rozpaczliwie, przysiągłbym, że czyni sobie ze mnie igraszkę... Czulem, iż życie ze mnie uchodzi, ten przeklęty tchórz gotów był ze strachu wytrząść ze mnie duszę!...

Tępe zdumienie malowało się na jego zbójcekiej twarzy, gdy zakończył:

- Póki żyję, nie przytrafiło mi się coś podobnego!... Frasquita medytowała nad czymś.

- Kto wie - odezwała się po chwili - może ten Zefirio wcale nie jest takim tchórzem, na jakiego wygląda? Prawdę mówiąc, cała ta scena wydała mi się mocno podejrzana... Wyglądało jak gdyby odgrywał komedię strachu i przerażenia...

- Czołgał się przecież na kolanach przede mną - zauważył Gardenio.

- To nic nie znaczy!... -odparła. - Czołgał się i wołał o litość, a jednocześnie zamieniał twój ubiór w strzępy i ciskał tobą jak piłką... Nie, nie - potrząsnęła głową - to mi się nie podoba, to...

- I mnie również! - przyznał. - Jeśli twoje przypuszczenie byłoby prawdą, wówczas ten Zefirio jest bardziej niebezpieczny niż na to wygląda!.

- I ja tak sądzę. Dlatego też należy na przyszłość przedsięwziąć pewne środki ostrożności!...

Gardenio drgnął.

- Hę? - zapytał niepewnym tonem. - Chcesz, bym powrócił jeszcze do tej sprawy?.

- Oczywiście! - rzekła stanowczo. - Ani mi się śni pozostawić senora Zefiria w spokoju. Nie zapominaj, że chodzi tutaj o całe sto tysięcy... Czy wyobrażasz sobie, jaki to majątek?

- Wyobrażam sobie - mruknął. - Ale nie mam najmniejszej chęci gnać powtórnie w adamowym stroju do lasu. Pod schodami u matki Mehul jest mi dużo wygodniej i bezpieczniej!

- Głupcze! - wybuchnęła zrywając się ze swego miejsca. - Czy i ciebie również tchórz obleciał? Cha, cha, to dobre - roześmiała się szyderczo. - Tego jeszcze nie było: tchórz boi się tchórza!

- Wcale się nie boję - zaprzeczył opryszek. - Ale nie chcę się przeziębic, wolę uniknąć kataru...

Kobieta spojrzała nań z miażdżącą pogardą.

- Nie obawiaj się - syknęła. - Teraz on ci nie zedrze ubrania. Pojedziesz nie sam... Jest jeszcze ktoś, kto będzie ci towarzyszył!...

- Nie potrzebuję niańki! Nie pojedę i basta.
- Ale z Galeną chyba pojedziesz!
- Z Galeną? - twarz Gardenia ożywiła się. - Galena pojedzie zemną?
- Tak!
- Przecież opuścił podobno Aragonię!
- Powrócił!

Gardenio odetchnął z ulgą i zatarł ręce.

- Tak, to co innego! - rzekł. - Skoro Galena jedzie ze mną, to nie pozostaje mi nic innego, jak jechać z Galeną!

- A więc zgadzasz się?

- Oczywiście! Z Galeną pójdę choćby do piekła... Czy nie wiesz, że jest to mój były profesor, który nauczył mnie uczciwego rzemiosła? Gdyby nie jego nauka, zszedłbym dzisiaj na psy... I kto wie, może nawet musiałbym pracować!

Za jednym zamachem

Drogą wiodącą do Leridy podążali dwaj jeźdźcy w pełnym uzbrojeniu. Dzikie ich twarze miały wyraz skupionego napięcia. Oczy niespokojnie biegały we wszystkich kierunkach, bacznie czegoś wypatrując.

- Trudno go znaleźć - odezwał się Gardenio. - Dwa dni tłuczemy się na siodłach... Jak uważasz, Galena, czy dostaniemy go w swe ręce?

Galena mruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi.

Wtem żelazną garścią chwycił ramię Gardenia.

- Prędko w zarośla - szepnął. - Słyszę tętent większego oddziału galopującego w naszym kierunku!

Śpiochowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Skręcił konia w lewo i ukrył się w gąszczu, a Galena poszedł w jego ślady.

Drogą galopował oddział wojska z gubernatorem i dowódcą żandarmerii na czele.

Bandyci, sami nie będąc widzialni, przyglądali się uważnie przejeżdżającym, a gdy wreszcie oddział minął ich, powrócili na drogę i ruszyli w przeciwnym kierunku.

- Mam przecucie, że niebawem natrafimy na czcigodnego senora Zefiria - odezwał się Gardenio. - Pijawka ta kręci się zawsze w pobliżu uzbrojonych oddziałów!

Od owej pamiętnej sceny na skraju lasu, Gardenio nie nazywał Zefiria inaczej niż pijawką.

Podążali w kierunku Leridy.

- Jacyś dwaj jeźdźcy na trakcie! - zawołał Gardenio, wpatrując się w dwie ruchome postacie.

- Masz dobry wzrok, chłopcze - rzekł Galena. - Lepszy od mojego. Powiedz, czy są to wojskowi czy cywilni?

- Cywilni!...

Galena roześmiał się krótkim, chrapliwym śmiechem. Staremu rycerzowi szerokich dróg aż zaświeciły się oczy do łatwej zdobyczy.

- Cywilni?.. He, a co powiesz, synu, gdyby ich tak podskubać odrobinę, zanim nie schwytamy Zefiria.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Wyglądają mi na zasobnych jegomości. Szczególnie ten tłuścioch musi mieć dobrze wypchaną kiesę, bo ten chudy wygląda na nędzarza. To jacyś spokojni obywatele! ...

- A więc naprzód! - zawołał Galena, spinając konia ostrogami. - Musimy się uwijać, z jednej bowiem strony gubernator oraz pułkownik krążą w pobliżu, a po drugie, Zorro nie lubi, gdy się poluje na jego terenach!...

Pognali prosto na spokojnie jadących obywateli.

Jeden z nich dosłyszał tętent i odwrócił głowę. Dosłyszał pędzących desperadosów i zawołał:

- Spójrz, Porfirio, zdaje się, że ci dwaj mają do nas jakiś nagły interes!...

- Rzeczywiście, Malibran!... Ale gęby tych ludzi wcale mi się nie podobają...

- Bo też są to desperadosi - zauważył tłuścioch flegmatycznie. - Patrz, sięgają po pistolety!...

- Czy stawimy im czoło?
- Na razie pobawimy się z nimi nieco, a później zobaczymy!... - Uciekajmy więc!...

Zawrócili konie i zaczęli umykać w kierunku doliny.

- Uciekają! - krzyknął Galena. - Naprzód za nimi!

Zacząli okładać swe konie, Porfirio i Malibnin byli od nich oddaleni o jakieś pięćset kroków, ale przestrzeń dzieląca ich od prześladowców zmniejszała się szybko.

Gnali polem. Galena i Gardenio minęli ostatnie głązy przydrożne.

- Stać! - ryknął. Galena. - Zatrzymajcie się, bo strzelamy!... W chwili jednak gdy minęli głązy, wysunęła się spoza nich postać jeźdźca w masce.

Był to Zorro.

Nie dotknął swego rumaka ostrogami ani biczem. Wydał tylko krótkie cmoknięcie i szlachetne zwierzę pomknęło jak wichur za desperadosami. .

Scena przedstawiała się następująco. Na przedzie sunęli Porfirio i Malibran. Za nimi gnali dwaj desperadosi, którzy nie przeczuwali, że z kolei ścigani są przez Zorrę.

Przestrzeń między bandytami a ściganymi zmniejszała się szybko, ale jeszcze szybciej zmniejszała się przestrzeń pomiędzy bandytami i Zorrą..

- Mamy ich! - ryczał Galena. - Ha, łotry, czekajcie, zadamy wam bobu!...

Desperadosi pędzili obok siebie. Wpatrzeni w swe ofiary, nie dosłyszeli tętentu pędzącego tuż za nimi rumaka Zorry.

- Strzelaj Gardenio! - wołał stary zbój. - Strzelaj mierząc w konie!....

Unieśli jednocześnie pistolety, ale w tej samej chwili stał się nieprzewidziany wypadek. Czarny rumak wpadł jak burza między ich wierzchowce. Zorro znalazł się pomiędzy desperadosami, rozkrzyżował ramiona, a gdy je zgiął, pod pachami trzymał już dwie głowy zbójców..

Siedział w siodle jak wrośnięty. Uderzył swego rumaka ostrogami. Koń szarpnął się do przodu. Zorro pognął naprzód, trzymając wciąż głowy desperadosów..

Galena i Gardenio zostali wywleczeni z siodeł. Żelazne ramiona dusiły ich. Daremnie wywijali konwulsyjnie rękami i nogami. Zorro ani drgnął. Pędził na zachód, powtarzając od czasu do czasu:

- Spokojnie, moje rybki, spokojnie!...

Niebawem znalazł się u skraju przepaści i krótkim uściskiem kolan zatrzymał swego rumaka.

- Uprzedziłem ciebie, Galena, oraz innych desperadosów, by nie odważyli się powracać do Aragonii - rzekł. - Jesteście zbrodniarzami i nic z was dobrego nie wyrosnie... Hiszpania zbyt cierpi, by mogła tolerować bandytów!...

Z tymi słowami rozluźnił żelazny ucisk ramion i obaj na pół uduszeni desperadosi polecili w przepaść. Zorro popatrzył w ślad za nimi, po czym zawrócił konia i odjechał..

Śpiący Gardenio zasnął tym razem na zawsze.

Linia Madryt - Saragossa

Dziwna wieść obiegła całą okolicę, a mianowicie, że niebawem rozpocznie się budowa drogi dla żelaznego potwora - kolei żelaznej. Już od pewnego czasu opowiadano sobie cuda o tej kolei. Że podobno pędzi bez znużenia wiele dziesiątków mil, a żaden naj szybszy rumak nie prześcignie jej.

Największe jednak cuda rozpowiadał o niej Zefirio, gdyż podobno widział, a nawet odbył krótką podróż koleją z Madrytu do jakiejś podstołecznej mięsciny.

- Jedzie się w takim małym pudle - opowiadał przygodnym słuchaczom na rynku w Huesco - a na samym przedzie, dymi taka dziwna machina....

- Jakże ona się porusza? - zapytał jeden z nieufnych słuchaczy. - Musi przecież mieć potworną siłę, by udźwignąć szanownego Zefiria wraz z jego całą mądrością ...

Inni słuchacze wybuchnęli głośnym śmiechem, a Zefirio obraził się:

- Jeśli mi nie wierzycie, możecie zapytać moich, tutaj obecnych przyjaciół, Porfiria i Malibrana - rzekł.

Porfirio coś zuł. Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu. Wypluł więc kawałek żutego papieru i odpowiedział:

- On mówi prawdę. Możecie mu wierzyć. Ta maszyna ciągnie wiele karet uczeponych jedna do drugiej. A chcecie wiedzieć, skąd bierze się w niej taka siła?.. Malibran poświadczy, że i ja również mówię prawdę... czystą prawdę. Otóż we wnętrzu tej maszyny siedzi diabeł...

- Diabeł? - Oczy obecnych rozszerzyły się. ze zdumienia i przestachu. - Diabeł ciągnie te karety?

Porfirio skinął poważnie głową:

- Tak, najprawdziwszy w świecie diabeł. Siedzi w środku maszyny i kręci koła... Ale to jest praca szalenie nużąca, nawet dla takiego diabła... Toteż dymem i ogniem pluje, sapie i zgrzyta zębami z wściekłości.

Słuchacze kiwali z niedowierzaniem głowami. Szczególnie jeden z nich, Pobello, wysoki i barczysty drab o chytrej twarzy, skórnik z zawodu, uśmiechał się szyderczo i spoglądał z ironią na trzech przyjaciół. Cieszył się opinią bardzo mądrego człowieka i zawsze pierwszy prześladował Zefiria swymi kpinkami, ilekroć młodzieniec ukazał się w mieście.

- Dobrze - odezwał się. - Przypuśćmy, że mówisz prawdę, senor. Chętnie ci uwierzę, jeśli powiesz mi, w jaki sposób zmuszono diabła do przebywania w tej maszynie?.. Co mu nie pozwala wyjść z niej i zabrać wszystkich pasażerów z sobą do piekła?

Głos zabrał gruby Malibran:

- Zaraz ci wytłumaczę, przyjacielu! Historia jest bardzo prosta.

Otóż było to tak: pewien Anglik, nazwiskiem Stephenson czy White, dobrze nie pamiętam, wynalazł magiczne zaklęcie na diabła, po czym zbudował podłużny, zielony kocioł na kołach i zamknął w nim tego gościa z piekła. No i obecnie biedak zmuszony jest pracować za sto koni, co mu się wcale, oczywiście, nie podoba. Ale cóż ma robić, skoro nad nim stoi poganiacz...

- Poganiacz? - słuchacze otworzyli usta ze zdumienia.

- Tak, poganiacz. Nie powiedziałem wam jeszcze, że nad tym kotłem jest mała platforma, a na niej stoi człowiek, którego' jedynym obowiązkiem jest szeptać od czasu do czasu zaklęcia, kiedy diabeł ustaje w swej pracy.

- Ten poganiacz sam jest nieco podobny do diabła. Czarny, umazany sadzami - wtrącił Porfirio. - Aż strach patrzeć, mówię wam!

- Od czasu do czasu poganiacz poi znużonego diabła wodą - ciągnął dalej Malibran. - I trzeba wam wiedzieć, ile kubłów zimnej wody wypija ten nieczysty...

Słuchacze mimowolnie przeżegnali się. Nawet mądry i wszechwiedzący Pobello spuścił z tonu.

- Jakoś nie chce mi się w to wierzyć - rzekł z wahaniem. - Przecież to grzech śmiertelny wdawać się w konszachty z diabłem...

- Tak - potwierdził Zefirio. - Ale cóż robić? Takie już czasy nastały, że nawet sam diabeł musi pracować dla rządu!

Pobello ostatecznie przekonany potrząsnął głową w zadumie.

- Mają podobno budować tutaj drogę dla kolei - mruknął. - Ale te konszachty z nieczystym to nie dla nas!... Nie możemy przecież pozwolić, by pudło z diabłem w środku przejeżdżało przez naszą okolicę... Jestem przekonany, że to ściągnie na nas wszystkich wielkie nieszczęście.

- Bez wątpienia - mruknął Porfirio i zerknął przy tym nieznacznie w stronę Malibrana i Zefiria. - Nie powinniście za żadną cenę dopuścić do tego!

- Przyjaciele i rodacy! - krzyknął Pobello grzmiącym głosem.- Słuchajcie mnie. Dotychczas jeździliśmy konno, na mułach, w karetach i dylizansach... Ale teraz przyszły takie czasy, że wozić ma nas sam diabeł... Czy możemy dopuścić do tego?.. Powiedzcież przyjaciele, czy możemy dopuścić do tego, aby piekielny orszak gnał przez naszą okolicę?..

- Nie możemy! - rozległy się okrzyki dookoła. - Raczej śmierć niż obecność diabła w naszych stronach!...

- Precz z orszakiem diabelskim!...

Pobello uśmiechnął się z zadowoleniem. Za jednym bowiem zamachem stał się jakoby wodzem tych ludzi. Uważając, że spośród trójki przyjaciół Porfirio jest najmądrzejszy, zwrócił się wprost do niego:

- Poradź mi, senor, jak. mam się do tego zabrać! Widzisz przecież, że moi ziomkowie gotowi są pójść ślepo za mną, cóż więc radzisz?...

Porfirio podrapał się w głowę.

- Hm - mruknął w zadumie. - Jest to sprawa zbyt poważna, bym mógł cokolwiek postanowić, nie radząc się mych przyjaciół.

Trzej przyjaciele odeszli na stronę i zaczęli naradzać się szeptem. Narada trwała dość długo, a obecni śledzili jej przebieg z zapartym tchem, choć nie mieli pojęcia o czym Zefirio, Porfirio i Malibran mówili z sobą.

Wreszcie narada się skończyła i Porfirio rzekł do Pobella: - Słuchaj, senor. Ja i moi przyjaciele obmyśliliśmy następujący sposób działania: w przyszłym miesiącu ma się rozpocząć budowa następnego odcinka toru kolejowego. Ale zanim do tego dojdzie, musicie wypuścić diabła na Wolność z jego żelaznego więzienia. Gdy bowiem wypuścicie go, dalsza budowa toru stanie się bezcelowa. Czy zrozumiałeś, senor?

- Zrozumiałem. A więc kiedy? gdzie? i jak należy to uczynić? - Zaraz ci powiem. Od Saragossy na południe wybudowano kilka mil toru. Otóż za kilka dni pierwsza maszyna diabelska ma wyruszyć z Saragossy. Naszym zadaniem jest przybyć do Saragossy i wytłumaczyć mieszkańcom tego miasta, w jaki sposób parowóz, to jest chciałem powiedzieć diabelska maszyna, porusza się.

- Ale jak wypędzimy diabła? - upierał się Pobello. - Przecież nie wystarczy, że ludzie dowiedzą się prawdy!

- Słusznie!... Ale teraz jeszcze nie wyjawię ci sposobu, gdyż wśród mieszkańców Saragossy wielu jest szpiegów don Alvareza i cała sprawa się wyda... Otwarcie linii kolejowej odbędzie się w przyszły piątek!...

- Dobrze _ zgodził się. Pobello. - W czwartek będziemy wszyscy w Saragossie, a w piątek stawimy się nie opodal diabelskiej maszyny, czekając na twe dalsze rozkazy, senor Porfirio. Jesteś człowiekiem uczonym, toteż nie wątpię wcale, że dobrze nam doradzisz!

- Jak najlepiej, możesz być przekonany - zapewnił go solennie Porfirio. - Zobaczysz, drogi Pobello, że odechce im się, tym przemądrzałym inżynierom, budować tor w okolicy Huesco!...

Za przykładem królowej

W przeddzień uroczystości otwarcia linii kolejowej, do Saragossy ściągnęły liczne rzesze mieszkańców okolicznych miast. Przybyły również gromady ludzi o posepnych obliczach. Byli to mieszkańcy Huesco, Leridy i różnych wiosek i osad. Na ich terenach miał w niedalekiej przyszłości zostać zbudowany tor kolejowy, tym czasem zaś przybyli do Saragossy, by ujrzeć z bliska, po raz pierwszy w życiu, pędzący pociąg...

Zefirio, Porfirio i Malibran zjawili się również. Ściągnęła ich tutaj wieść, że na otwarciu linii mają być obecni wszyscy dygnitarze Aragonii, nie wyłączając wszechmocnego gubernatora don Alvareza oraz strasznego pułkownika don Carla Cevenny.

Zefirio i Malibran zjawili się w pałacu gubernatora. Don Alvarez był tego dnia w niezłym humorze, toteż przyjął obydwu przyjaciół z łaskawym uśmiechem na ustach.

- Witaj, Zefirio Corti! - zawołał zagryzając wargi, za każdym bowiem razem, gdy widział młodzieńca, odczuwał nieodpartą chęć do śmiechu. - Witaj mi, młody bohaterze i ozdobo wszelkiego rycerstwa!...

- Witaj, drogi gubernatorze! - Zefirio postąpił naprzód. - Sądzę, że jutro będzie najpiękniejszy dzień twego życia. - Najpiękniejszy dzień? - zdumiał się. - Czemu to, senor Zefirio?

- Poprowadzić masz przecież ukwiecony. pociąg! Ach, jakże ci zazdroścę tego zaszczytu, gubernatorze!...

Ale don Alvarez nic nie rozumiał. Spoglądał przez chwilę w milczeniu na głupiego Zefiria, po czym zapytał:

- O czym właściwie mówisz? Kto ci powiedział, że mam zamiar poprowadzić pociąg?

- Mój przyjaciel, tutaj obecny Malibran!

Don Alvarez skierował nań wzrok.

- Tyś mówił, senor?

- Tak! - potwierdził dobrodusznie tłusciuch. - W Madrycie o niczym innym przecież nie mówią!

- Tak?.. - gubernator zdawał się namyślać. - A co właściwie mówią w Madrycie?

- Mówią na ulicy, w salonach i na dworze, iż wasza ekscelencja dostąpi tego zaszczytu...
- Jakiego zaszczytu, do licha? - zniecierpliwiał się wielkowiedca. - Mówże wreszcie, o co chodzi?
- Jak to? - zawołał tłuszcioch. - Czyżbyś nie wiedział, ekscelencjo, że w całej Hiszpanii dotychczas tylko jedna, miłościwie nam panująca królowa Izabella miała sposobność prowadzić lokomotywę?

Don Alvarez otworzył szeroko usta.

- Królowa prowadziła lokomotywę? - wyjąkał..

- Tak, w dniu otwarcia pierwszego odcinka toru kolei madryckiej... Czyż nie wiesz, ekscelencjo, że prowadzenie lokomotywy to największy zaszczyt, o który dobijają się najwięksi ludzie Hiszpanii..

Don Alvarez potarł czoło:

- Tak, tak - mruknął. - Oczywiście, że wiem o tym, oczywiście... oczywiście...

Malibran w uniesieniu złożył tłuste ręce.

- Ach, gdy sobie przypomnę ten entuzjazm, kiedy lokomotywa ruszyła po raz pierwszy, kierowana białymi rączkami naszej królowej... Ileż było wiwatów, podrzucano kapelusze w powietrze, tłumy ryczały: „Olle, olle, nasza królowa!” A monarchini stała na platformie maszyny, piękna jak bogini, i uśmiechając się bosko, manewrowała różnymi ryglami... To było piękne, to było cudowne!...

- To było cudowne! - potwierdził jak echo Zefirio. - To było piękne!.. .

- Oczywiście... oczywiście - mruczał don Alvarez w rozterce. - To było przepiękne!...

- I od tego czasu najwyższa nasza arystokracja po prostu poluje na podobną okazję... Każdy z nich chciałby choć raz w życiu pójść w ślady naszej królowej... .

- Oczywiście... oczywiście - powtarzał don Alvarez. - Pójść w ślady królowej... To przepiękna tradycja!...

- Niestety, inauguracje kolejowe nie zdarzają się codziennie - westchnął grubas ze smutkiem. - A tak bym chciał, ażeby nasza królowa dowiedziała się pewnego dnia, że Hektor Mondevi de Malibran własnoręcznie poprowadził lokomotywę w dniu otwarcia kolei saragoskiej....

Nagle przypadł do nóg don Alvareza, wołając:

- Miłościwy gubernatorze, gotów jestem ofiarować milion peso za ten zaszczyt... Błagam cię, przyjmij ode mnie te pieniądze...

Przeznaczysz je dla biednych albo ufundujesz klasztor lub kościół...

Don Alvarez odepchnął od siebie kusiciela:

- Czyż oszalałeś, don Hektor!... Ja miałbym zrezygnować z tej jedynej okazji? Czyś zapomniał, że ciężą na mnie święte obowiązki; wielkorządcy?...

- Dwa miliony! - zawołał grubas rozpaczliwym głosem. Mógł śmiało ofiarować setki milionów, nie miał bowiem dziesięciu peso w kieszeni. - Trzy miliony!...

Gubernator zawahał się. Chciwość walczyła w jego sercu z ambicją.

-Nie, nie! - krzyknął wreszcie. - Za żadne skarby świata!...

Malibran odetchnął z ulgą, w ciągu bowiem ułamka sekundy ogarnął go strach, że don Alvarez zgodzi się jednak, a wówczas sytuacja Malibrana byłaby niezmiernie kłopotliwa.

Udał bezdenny smutek. Odwrócił głowę i rzekł do Zefiria:

- Nic z tego, drogi mój przyjacielu - westchnął ciężko. - Jedyne sposobność wymyka mi się z rąk Nie pozostaje więc nam nic innego, jak pożegnać gubernatora.

Młodzieńcy pochylili się przed don Alvarezem i opuścili komnatę. Ledwie jednak znaleźli się w wielkiej sali recepcyjnej, spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem, ku wielkiemu zgorszeniu obecnych dworzan.

Lecz don Alvarez nie dosłyszał tego wybuchu wesołości, miał bowiem poważniejsze kłopoty na głowie.

- Santa Madonna - jęknął nagle. - Przecież nie potrafię prowadzić lokomotywy...

Podbiegł do ściany i pociągnął z całej siły za sznur od dzwonka. Do komnaty wszedł przyboczny adiutant. Don Alvarez rzucił się ku niemu:

- Natychmiast sprowadź mi tutaj maszynistę kolejowego... Sprowadź mi go tutaj żywego lub umarłego!...

Urwał nagle i zamyślił się na chwilę:

- Zresztą nie... nie... nie trzeba go sprowadzać!... Ja sam udam się do niego. Zaprząść konie do

karety!...

Wypędzanie diabła

Tego dnia od samego rana grały fanfary wojskowe. Saragossanie śpieszyli za miasto, gdzie miało się odbyć niezwykle widowisko puszczania w ruch parowozu. Zamiast jednak radosnych lub chociażby zaciekawionych twarzy, widziało się zaciśnięte usta i posępne oblicza. Kobiety, szczególnie starsze, szeptały pacierze, a mężczyźni zgrzytali zębami i zaciskali pięści.

Wśród tłumów krążyli ludzie z Huesco, Leridy, Tudeli, Logrono i okolic, coś szeptali każdemu na ucho i coś tłumaczyli. A każdy z nich patrzył jak w obraz na senora Pobella, który z kolei szukał wszędzie wzrokiem senora Porfiria.

Wreszcie znalazł go nie opodal ogrodzonego miejsca, gdzie brały początek długie i błyszczące szyny kolejowe. Znajdował się tutaj wielki hangar, we wnętrzu którego mieścił się pociąg.

Tłumy skupiły się dokoła ogrodzenia, a Pobello zbliżył się do Porfiria.

- W porządku, senor - szepnął. - Jesteśmy gotowi do dzieła, tylko że nie wiemy, co właściwie mamy zrobić, by wypędzić diabła z jego żelaznego pudła na kołach!... Miałeś mi powiedzieć, gdy spotkamy się w Saragossie?

- Dobrze - odpowiedział Porfirio. - Powiem ci. Otóż chcąc wypędzić diabła, należy przede wszystkim zabrać się do samego zaklinacza.

- Zaklinacza?

- No tak, tego, który stojąc nad diabłem, przynagła go do pracy swymi zaklęciami. W chwili gdy poganiacz zostanie unieszkodliwiony, diabeł sam przez dziurę w ziemi ucieknie do piekła.

- Rozumiem, rozumiem - wyszeptał Pobello z zachwytem. - Maszyna ukazuje się, my ściągamy z niej poganiacza, zabijamy go...

- Hop, stój! - zawołał Porfirio. - Nie potrzebujecie pozbawiać go życia. Wystarczy, gdy objecie go porządnie i zedrżecie z niego mundur...

- Mundur?

- Oczywiście! Zaklinacz założy lśniący mundur jakiegoś dygnitarza!...

- Czemu to?

- Żeby wzbudzić w diable większy szacunek. Przecież nawet sam czart nie chciałby słuchać byle kogo!...

- Tak, to prawda!...

- A więc czekajcie na mój sygnał - szeptał Porfirio. - W chwili gdy zawołam: „Olle, gubernator!” ty odpowiesz mi: „Vade retro satanas!”

- Co to jest?

- Precz diable!

- Wolę zawołać precz diable po hiszpańsku, tak będzie łatwiej! - Dobrze. Więc krzykniesz: precz diable! Twój ludziczek rzuci się, naprzód, zwał bariery, a dalszy ciąg to już do ciebie należy!... Pobello wypiął pierś:

- Wiem, co należy uczynić, senor. Czekam więc na sygnał: Olle, gubernator!...

Porfirio zajął swój postereunek obserwacyjny, a Pobello powrócił do swych ludzi i coś im wyjaśniał szeptem.

Zbliżało się południe. Punktualnie o dwunastej podwoje hangaru otworzyły się szeroko i na światło dzienne wyjechał pociąg ciągnięty i popychany przez żołnierzy. Wagony niewiele większe były od karek, a parowóz wyglądał jak dziecinna zabawka.

- Aaaa!... - rozległo się z tysięcy piersi. Ludzie nie wiedzieli co wpierw podziwiać: czy pociąg, czy też maszynistę w książęcym ubiorze kąpiącym od złota.

Don Alvarez stał na małej platformie, a maszynista tłumaczył mu działanie rygli i rygielków. Gubernator słuchał uważnie i w myśli powtarzał wskazania maszynisty.

W kotle buchał ogień, a palacz z niezwykle zapalonymi ustami dokładał do ognia. Palacz ten miał dziwnie znajomą twarz, był to bowiem don Carlo Cevenna we własnej osobie.

Nie mogąc dostąpić tego zaszczytu, by poprowadzić pierwszy pociąg jako maszynista, wyjednął

sobie funkcję palacza, ubiegając w tej roli don Casarra, starego arystokratę z Saragossy, który ofiarował sto tysięcy peso.

Nawiasem mówiąc, don Casarro, podagryczny starzec, nie miał najmniejszego o tym pojęcia, wcale bowiem nie zamierzał ubiegać się o miejsce na lokomotywie, ale nie na darmo Zefirio miał bujną wyobraźnię.

Spotkał niby przypadkiem dzielnego pułkownika i zapytał go naiwnym tonem:

- Senor Carlo, czy to prawda, że don Casarro ofiarowuje sto tysięcy peso na ten wielki, ogromny zaszczyt?

- Jaki zaszczyt?

- Zaszczyt podsycania ognia w parowozie!...

Don Carlo Cevenna roześmiał się:

- Mogę mu to wyjednać! - zawołał. - Ten stary głupiec sam nie wie, czego chce... Cha, cha, cha, też mi zaszczyt!...

- Cha, cha, cha! - głupkowato zawtórował Zefirio. - I ja też nie mogę zrozumieć, na czym polega ten zaszczyt! Don Casarro to głupi pyszałek. Sądzi, że skoro królowa Izabella pierwsza poprowadziła pociąg madrycki, a książę d'Avila bił się z arcyksięciem Aranjuezu o miejsce palacza...

Don Carlo chwycił za rękę mówiącego.

- Czekaj, czekaj, senor Zefirio! - zawołał. - Więc powiadasz, że książę d'Avila oraz arcyksiążę...

- Bili się o miejsce palacza - powtórzył Zefirio. - Jeden drugiemu przebił szpadą ramię czy nogę, dobrze już nie pamiętam...

- Cóż to za zaszczyt?

- Żaden zaszczyt... Co prawda nasza miłościwa monarchini bardzo lubi, gdy ktoś idzie za jej przykładem...

- Ach, królowa to lubi?..

- Podobno!... Wynagrodziła księcia d'Avila iście po królewsku i rzekła przed całym dworem: Szczególnie drodzy mi są ci dworzanie, którzy biorą ze mnie przykład!...

- Tak powiedziała?

- Tak... Toteż sędzę, że na stanowisko palacza pretenduje w Saragossie co najmniej dziesięciu hrabiów i pięciu markizów. Zefirio mówił w pustkę, gdyż don Carlo zniknął mu nagle sprzed oczu.

I w ten sposób dzielny pułkownik stał się palaczem na parowozie prowadzonym przez don Alvareza.

Porfirio. dostrzegł go w ostatniej chwili. Szybko zbliżył się do Pobella i szepnął mu do ucha:

- Uwważaj, senor, czy widzisz tego człowieka pokrytego sadzami i zlanego potem?

- Widzę. Zdaje się, że dokłada drewna do paleniska...

- By diabłu przyzwyczajonemu do skwaru piekielnego nie było zbyt zimno, inaczej nie mógłby pracować!...

- Dobrze! Czy mamy również rozprawić się z tym drugim?

- Tak!

Pobello pobiegł do swych ziomek.

Wojskowa fanfara przestała grać, po czym nastąpiła głucha cisza. Zebrane tłumy czekały w napięciu.

Rozległo się dzwonienie. Był to sygnał, że pociąg rusza. Gubernator przesunął rygiel. Konna eskorta wojskowa uszykowała się po obu stronach lokomotywy.

Pociąg ruszył ze skrzypieniem i łoskotem zderzających się wagoników. I oto nagle rozbrzmiał głośny okrzyk, podchwycony skwapliwie przez usłużnych dworaków:

- Olle, gubernator! - ryczał Porfirio. - Niech żyje don Alvarez!...

- Precz z diabłem! - odpowiedział jeszcze głośniejszym rykiem Pobella, dla którego poprzedni okrzyk był hasłem do rozpoczęcia akcji. - Precz z diabłem!... Wypędzajmy go, chłopcy!...

Ludzka fala zdruzgotała bariery, przerwała kordon eskorty i oblepiła toczący się niezbyt prędko parowozik.

Oddział wojska i policji, aczkolwiek dość silny, nie mógł sobie jednak poradzić ze wzburzonym tłumem, tym bardziej że atak był nieprzewidziany.

Nawet szpiedzy i donosiciele, gęsto rozsiani w tłumie, nie przewidzieli takiego obrotu sprawy.

Ryczący i wyjący tłum otoczył lokomotywę. Don Alvarez znalazł się nagle pośród samych wrogich twarzy, pozbawiony swej wojskowej eskorty.

- Precz! - ryknął. - Jak śmiecie napadać na gubernatora Aragonii?... Precz stąd, kanalie!...

Ale głos jego zginął wśród ogólnego hałasu. Trudno by było poznać wspaniałego gubernatora w tym spoconym i okrytym sadzami mężczyźnie... Dziesiątki par rąk chwyciły go za nogi, co widząc pułkownik Carlo Cevenna wyciągnął pistolet i wrzasnął: - Łotry! Kto pierwszy dotknie gubernatora, łeb mu roztrzaskam! ...

Wołanie to było spóźnione, gdyż nie jeden, lecz dwudziestu ludzi wczepiło się w wielkorządce.

Don Carlo uniósł pistolet. W tej samej sekundzie przyskoczył Pobello, wydarł mu broń z ręki i wyrzucił go z parowozu prosto w ramiona zgromadzonych ludzi.

- Jestem waszym gubernatorem! - grzmiał don Alvarez, błady śmiertelnie. - Precz stąd, hałastro!...

- Uuu! - wył tłum. - Wypędzić diabła... Precz z zaklinaczem! ...

Okrzyki te były zupełnie niezrozumiałe dla don Alvareza. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż w tej samej chwili został brutalnie ściągnięty z parowozu.

Przy tej czynności poruszono zapewne jakiś rygiel, ponieważ parowóz drgnął jak smagnięty koń i ruszył naprzód.

- Diabeł ucieka! - rozległy się wołania. - Patrzenie, jak diabeł ucieka! ...

A parowóz pędził coraz szybciej, pozostawiając daleko za sobą roznamiętniony tłum. Potem, z braku paliwa, zatrzymał się w szczerym polu.

Fanatyczny tłum zdarł wspaniałe mundury don Alvareza i Carla Cevenny. Gęste razy padały na plecy i głowy obu nieszczęśliwców i nie wiadomo czym by się skończyła ta oplakana przygoda, gdyby nie nagle wstawiennictwo Zefiria, Porfiria i Malibrana. .

- Dosyć, dosyć! - wołał Malibran. - Ludzie cofnijcie się!... Zefirio przepychał się, a Porfirio wezwał Pobella na pomoc. Dopiero wstawiennictwo tego ostatniego odniosło pożądaną skuteczną...

- Uciekajcie! - ryczał olbrzym. - Zaraz przybędą posiłki wojskowe i wszystkich was wtrąca do więzienia!...

Tłum rozpierzchnął się na wszystkie strony.

A gdy don Alvarez i don Carlo otworzyli wreszcie oczy, ujrzeli nad sobą współczujące oblicza Zefiria, Porfiria i Malibrana.

- Co się stało! - wyszeptał don Alvarez boleśnie, obmacując guzy i stłuczenia na ciele. - Stała się katastrofa?..

- O, nie, gubernatorze - wyjaśnił Zefirio. - Nie stało się nic strasznego... Po prostu ciemny lud, który nigdy nie widział pociągu, sądził, że to sprawa diabelska i wpadł w szalony gniew....

- Poranili mnie - jęknął. - Te łotry!...

- Przepraszam - wtrącił Porfirio. - Nie poranili, lecz tylko potłukli! ...

- Wszystko jedno, odpowiedzą za to!...

- Trudno będzie odnaleźć winnych - zauważył Zefirio. - Tłum rozbiegł się na wszystkie strony!...

Cała ta powyższa scena trwała zaledwie chwilę. Tymczasem konny oddział wojska uporał się z tłumem... Policja również nie pozostawała w tyle i wreszcie cały plac został oczyszczony.

Jednocześnie podniesiono potłuczonych dygnitarzy i zaniesiono do powozów. ...

Pułkownikowi zdawało się w ostatniej chwili przed odjazdem, że na twarzach trzech przyjaciół, Porfiria, Zefiria i Malibrana, dostrzegł lekki uśmiech. Ale po chwili dzielny pułkownik doszedł do wniosku, że mu się zapewne tylko tak wydawało...

Rycerski Malibran

Don Sebastiano Hioro, właściciel dóbr na zachód od Huesco, nie zrezygnował ze swej miłości do Marquity, córki rządcy. Nie pomogło mu to, że wypędził rządcę z majątku i zabrał mu młyn. Zorro, ten przeklęty Zorro, ujął się za pokrzywdzonym, obdarzył go hojnie, a jego, don Sebastiana, jednego z najbardziej poważanych hacjenderów, osmagał biczem jak zwykłego parobka.

Nie pomogło wynajęcie straszliwego Josego Cardilli, który założył maskę i udawał Zorrę. Cardilla

został ujęty i zniknął gdzieś bez śladu, a Zorro jak zwykle triumfował.

Tymczasem zaś Marquita kwitła i z dnia na dzień stawała się piękniejsza. Już okoliczni caballeros zwrócili na nią uwagę. Pod jej oknem coraz częściej rozlegały się wśród nocy tęskne dźwięki serenad. Senorita nie obdarzała jednak nikogo swoją sympatią, a tym bardziej czciwego Sebastiana, który ustawicznie kręcił się w pobliżu. Nie poskutkowało widocznie nauczka, jaką otrzymał od Zorry, nie wpływały nań również wstręt i pogarda okazywane mu przez Marquitę oraz jawna nienawiść Juana Rodrigueza, jej ojca. Miłość była silniejsza od ambicji.

Hacjendero żałował, iż przepędził Rodrigueza ze swej siedziby. Doszedł do wniosku, że postąpił zbyt pochopnie, gdyż w ten sposób wykopał pomiędzy sobą a Marquitą przepaść nie do przebycia.

Krążąc w pobliżu młyna Rodrigueza, wzdychał tak mocno, że westchnienia jego słyszeli ludzie w odległości ćwierć mili.

Pewnej nocy posunął swą bezczelność tak dalece, że zakradł się pod okno seniority z gitarą w rękę i zawodził ochryplym od przepicia głosem namiętą serenadę. Skutek tego popisu śpiewaczego nie dał na siebie zbyt długo czekać. Kubel zimnej wody, wylany z okna na jego głowę, orzeźwił go znakomicie, ale nie ostudził bynajmniej miłosego zapału.

W miarę tego jak czas upływał, ogarniała go coraz większa wściekłość. W całej okolicy ludzie śmiali się z niego, a młodzież ułożyła nawet specjalną piosenkę opiewającą jego miłość do Marquity.

*W dzień, wieczorem,
czy też rano Zakochany Sebastiano
Z głową łysą jak kolano
Do Marquity mówi tak:*

*Mam miłości twej dowody
Tęgie kije, kubel wody
Brak mi tylko tej nagrody
Ciebie mi, Marquito, brak...*

Pewnego pięknego poranka Marquita wybrała się do Huesco lekkim wózkiem zaprzęgniętym w dwa muły. Piękna seniorita jechała sama. Nie śpieszyła się zbyt.

Oddaliła się już kawałek drogi od ojcowskiego młyna, gdy wtem obok jej pojazdu wyrósł jakby spod ziemi otyły jeździec na olbrzymiej kobyle.

- Witaj, seniorito Marquito! - zawołał kładąc jedną rękę na sercu, a drugą zdzierając kapelusz z głowy. - Ach, co za niewysłowione szczęście spotyka mnie dzisiaj... Dzień dzisiejszy zaliczę do najszczęśliwszych w moim życiu!

Marquita drgnęła i smagnęła muły, bowiem jeźdźcem tym był nie kto inny, tylko jej prześladowca, don Sebastiano Hioro.

Nie odpowiedziała ani jednym słowem na zaczepkę, a muły jak na złość, absolutnie nieczułe na smagnięcia batem, zamiast przyspieszyć, zwolniły.

- Seniorito - zaczął z emfazą don Sebastiano, przysuwając się do wozu - czemu unikasz mnie? Czemu jesteś zimna i nieczuła na błagalne jęki mojej duszy? Czyż moja wierna i niezachwiana miłość nie zdoła wzruszyć twego serca, czy nie zdoła stopić lodowego pancerza na twej piersi?

Marquita odpowiedziała mu z gniewną ironią:

- Unikam cię, senior, gdyż twoja powierzchowność wywołuje we mnie mdłości. Tak, jestem zimna i nieczuła na jęki twej duszy i nic mnie nie obchodzi twoja wierna i niezachwiana miłość... Przyjmij do wiadomości, że moje serce pozostanie niewzruszone, a lodowaty pancerz na piersi nie stopnieje... A teraz gdy odpowiedziałam już na wszystkie twe pytania, racz senior uwolnić mnie od obecności twej osoby!

Pijacka twarz hacjendera posiniała z wściekłości. Szczęki zawarły się kurczowo, a na skroniach wystąpiły fioletowe żyły.

- Szydysz ze mnie, Marquito? - warknął. - Naigrawasz się z najbardziej wpływowego obywatela okolicy?

- Znam bardziej wpływowego od ciebie, senior! - odparła zimno.

- Kto taki? Kogo masz na myśli?

- Zorzę!...

- Zorzę?..

- Tak, gdyż tylko on potrafił odpowiednio wpłynąć na ciebie za pomocą swego bicia!

Tego było już za wiele dla don Sebastiana. Wydał głuchy pomruk i wyciągnął ramię.

Chwycił Marquitę w pole, szarpnął usiłując wciągnąć ją na swoje siodło.

- Będziesz moja, chcesz czy nie chcesz! - wrzeszczał. - Zamknę cię w swej hacjendzie aż do chwili, gdy kapłan udzieli nam ślubu!...

Marquita zaczęła wydzierać się przeraźliwie, wzywając ratunku. - Jesteśmy na pustkowiu - triumfował don Sebastiano, przerzucając ją przez swoje siodło. - Nikt nie dosłyszy twoich krzyków, moja dzika kózko!...

Wtem, tuż za nimi, rozległ się spokojny głos:

- Ale ja dosłyszałem, senior! Dosłyszałem i biegnę na pomoc!

Don Sebastiano odwrócił głowę, z przekleństwem na ustach. Ujrzał otyłego młodzieńca, który świdrował go małymi, żywymi oczkami. W prawym ręku trzymał zwykły kij służący do podpierania się podczas uciążliwego marszu.

- Kto jesteś? - warknął hacjendero. - I jakim prawem wtrącasz się do spraw, które ciebie nie dotyczą?

- Nazywam się Hektor Mondevi de Malibrán - odpowiedział tłusciuch. - A jako hidalgo poczuwam się do obowiązku bronienia słabej płci.

- Precz! - ryknął don Sebastiano. - Nie radzę ci się wtrącać, młodzieńcze... To jest moja narzeczona!....

- Kłamstwo! - krzyknęła Marquita, wydzierając się rozpaczliwie. - Ratunku! Przysięgam, że nic mnie nie wiąże z tym człowiekiem...

- To mi wystarczy - oświadczył Malibrán. - Zaraz uwolnię cię, seniorito!

Don Sebastiano wbił ostrogi w bok konia, lecz Malibrán z żywością, której by nikt w nim nie podejrzewał ze względu na jego tuszę, skoczył naprzód i chwycił za cugle.

- Ani kroku naprzód, kobyłko - zawołał do konia. - Pozwól, że wpierw porozumiem się z twym panem!

Hacjendero chwycił za pistolet. W tejże samej sekundzie na jego rękę spadł kij Malibrána.

- Aj, aj! - wrzasnął don Sebastiano, wypuszczając broń z ręki. - Bodaj cię piekło pochłonęło... Złamałeś mi rękę!...

- Ty zaś zadrezczasz tę biedną senioritę! - odparł tłusciuch i zadał drugi, nie mniej potężny cios kijem.

Don Sebastian o zachwiał się na siodle.

- Trzymaj się mocno łęku siodła, seniorito! - zawołał Malibrán, okładając gęstymi razami don Sebastiana. - Nie chciałbym, ażebyś spadła razem z nim na ziemię!...

Przestraszony wierzchowiec miotał się na wszystkie strony, stając dęba i przysiadając na zadzie.

- Spokojnie, spokojnie, Rosynancie* (Imię szkapę Don Kichota. .Tu iron.) - przemawiał łagodnie Malibrán. - Nie przeszkadzaj nam w rozmowie!...

Nie przestawał jednocześnie okładać kijem don Sebastiana, który daremnie usiłował zasłonić się przed bolesnymi razami. Wreszcie celny cios w głowę zwałił go z konia na ziemię.

- Gdybyś się wcześniej zgodził opuścić senioritę, nasza rozmowa byłaby zupełnie zbyteczna.

To mówiąc, pomógł Marquicie zsiąść z siodła. Na pięknej twarzy dziewczyny nie było widać ani śladu łęku. Odwrotnie, czyniła największy wysiłek, by nie wybuchnąć głośnie śmiechem.

- Uśmiechasz się, piękna seniorito? - zdumiał się tłusciuch. - Cóż widzisz w tym śmiesznego? Marquita wybuchnęła srebrzystym śmiechem.

- Jesteś nadzwyczajny, senior! - zawołała. - Masz niezwykły dar wymowy, skoro potrafiłeś przekonać don Sebastiana w tak krótkim czasie!...

- Zawsze mi mówiono, że urodziłem się na wybitnego mówcę - zauważył skromnie i dodał: - Tak, tak, właśnie na wybitnego, to chyba najwłaściwsze określenie!

Zakochany tłuścioch

Malibran towarzyszył Marquicie aż do Huesco, a gdy - dziewczyna załatwiła wszystkie sprawunki, powrócił z nią do domu. Przed młynem pożegnał się i w zadumie skierował się do hacjendy Anzelma Cortiego.

Zefirio siedział w patiu i ziewał potężnie. Nudził się. Znużenie emanowało z jego twarzy i z całej postaci.

Naprzeciw siedział generał Borrigo d'Artad i głośno czytał „Żywoty sławnych ludzi” Plutarcha.

Malibran wszedł do patia i usiadł w kącie pod kolumnką. W ślad za nim wsunął się Porfirio. Miał widocznie coś ważnego do zakomunikowania młodemu Cortiemu, gdyż stanął za plecami generała i dawał mu jakieś tajemnicze znaki porozumiewawcze, wskazując jednocześnie na Malibrana.

Zefirio odwrócił głowę i spojrzał na swego grubego przyjaciela. Okrągłe oblicze Malibrana miało wyraz niezwykle przygnębiony.

Od czasu do czasu potężna jego pierś wydawała ciężkie westchnienie.

Zefirio zdziwił się.

- Co mu się stało? - rzekł głośno.

Generał uniósł głowę znad książki.

- Komu? - zapytał sądząc, iż pytanie zostało doń skierowane. - Aleksandrowi Macedońskiemu?

Zefirio powstał i zbliżył się do Malibrana.

- Czy jesteś chory, przyjacielu? - zapytał troskliwie, kładąc mu rękę na ramieniu.

Malibran westchnął, ale nie odpowiedział.

Zefirio przyłożył dłoń do jego czoła.

- Nie masz gorączki - orzekł. - Puls również bije równomiernie... - wzruszył ramionami. - Nic nie rozumiem!...

- Melancholia - podpowiedział Porfirio. - Malibran popadł w czarną melancholię!...

- Ha! - rzekł Zefirio. - Wobec tego należy go rozerwać nieco...

- Ale jak? - zapytał Porfirio.

- Mam kilka nowych sztuczek magicznych, które powinny wprawić go w zachwyt!...

- W takim razie śpiesz się - rzekł Porfirio. - Pokaż mu czym prędzej te sztuczki, zanim popełni samobójstwo!

Ledwie Zefirio wyszedł z patia, gdy na zewnątrz dał się słyszeć tętent koni. I po chwili przed hacjendą rozległy się męskie głosy.

Zefirio powrócił trzymając kilka świec. Ustawił je na stole rzędem i zapalił pierwszą z brzegu.

- Uważaj, Malibran! - zawołał wyjmując pistolet zza pasa i odchodząc na kilka kroków. - Pokażę ci niezwykłą sztukę magiczną...

Malibran podniósł osowiale oczy i tępo wpatrzył się w rozpaloną świecę.

- Raz, dwa, trzy! - zawołał Zefirio i wystrzelił.

Kula zgasła zapaloną świecę, lecz w chwili gdy pierwsza świeca zgasła od wystrzału, stała się rzecz niezwykła. Sąsiednia świeca zapłonęła jasnym płomieniem, choć nikt jej nie dotykał.

Zefirio strzelił po raz drugi. Również i druga świeca zgasła, natomiast zapaliła się trzecia. I w ten sposób za każdym razem, gdy Zefirio gasił wystrzałem świecę, jakimś cudem zapalała się następna. W reszcie ostatnia świeca została zgaszona.

- Brawo, brawissimo! - rozległ się w drzwiach okrzyk, po czym nastąpiły rześiste oklaski.

Do patia wszedł, bręcząc ostrogami, pułkownik żandarmerii, prawa ręka don Alvareza, dzielny don Carlo Cevenna.

Czoło i nos miał zalepione plastrami. Były to jeszcze błady po owym niefortunnym występie na parowozie.

- To jest prawdziwy cud! - wołał. - Senior Zefirio, moje uznanie...

- Dziękuję - młody Corti pochylił się w ukłonie. - Posiadam wiele innych sztuk na składzie!

Zwrócił się do Malibrana:

- No i cóż? Jakże ci się podobała ta sztuczka?

- Stary kawał! - mruknął tłuścioch ponuro. - Nieco angielskiego fosforu włożyć w rozszczepione

knoty świec i oto cała sztuka!...

- Nie rozumiem - przyznał się Carlo Cevenna. - Cóż ma wspólnego? "

- Angielski fosfor zapala się przy najłżejszym nagrzeniu - tłumaczył posepnie Malibran. - Wystarczy ciepło innej zapalanej świecy lub wstrząs od wystrzału!...

- Jak widzę, trudno cię rozerwać - oświadczył Zefirio. - Ale to nie szkodzi. Pokażę ci następną sztuczkę!

Wyszedł i niebawem powrócił niosąc zwykłą, pustą szklanę oraz spodeczek. Postawił szklanę na stole i przykrył ją szczelnie spodeczkiem. Następnie oddalił się na trzy kroki i zapalił cigarillo. Paląc wypuszczał w stronę przykrytej spodeczkiem szklanki kłęby dymu. I o dziwo. Pomimo że szklanka była szczelnie przykryta, zaczęła wypełniać się dymem. W końcu dymu nabrało się tak wiele, że zaczął się wymykać unosząc spodeczek.

- Niezwykle, nadzwyczajne! - wołał don Carlo, aż oczy mu wylaziły z zachwytu. - Doprawdy, to jakieś czary!...

Lecz niewdzięczny Malibran mruknął niechętnie:

- Stary kawał! Kilka kropel kwasu siarczanego w szklance oraz spodeczek zwilżony amoniakiem wystarczą, by wytworzyć kłęby gęstego dymu!....

Zefirio nie zrażał się niepowodzeniem.

- Zaczekaj - rzekł. - Coś jeszcze ci pokażę!...

Wybiegł i po chwili powrócił niosąc w szczypcach kawałek rozżarzonego węgla.

- Uwważaj, Malibran! - zawołał i położył rozżarzony węgiel na gołej dłoni. - Widzisz, wcale mnie nie parzy!...

Don Carlo łykał ślinę. Po prostu zaniemówił.

- Stary kawał - mruknął niepoprawny tłusciuch. - Wysmarowałaś sobie dłoń gumą arabską, oto cała sztuka!... Guma arabska jest złym przewodnikiem ciepła!...

- Niech cię licha! - zaklął Porfirio, a Zefirio pokiwał głową:

- Biedny mój przyjacielu... Jeśli teraz nie rozruszam cię, wówczas będziesz zgubiony aż do Sądu Ostatecznego!...

- Nie rozumiesz mnie! - westchnął Malibran i wskazał na lewą pierś. - Ból, który siedzi tutaj, czyni mnie nieczułym na wszelkie rozrywki!...

- Zobaczmy!...

Wziął zwykły spodek i nalał doń czystej wody, po czym zwrócił się do Porfiria, mówiąc:

- Umaczaj palec w tej wodzie i przeciągnij zwilżonym palcem po mojej twarzy.

Porfirio usłuchał.

- A teraz ja uczynię to samo! - rzekł Zefirio. - Umaczał palec i zaczął zwilżać wodą twarz Porfiria.

Po chwili jednak potrząsnął głową i rzekł:

- Nie, Porfirio, ty nie nadajesz się do eksperymentu... Jesteś zbyt brzydki... Do tej sztuki potrzebny mi jest przystojny mężczyzna!...

Wzrok jego padł na pułkownika.

- Senor Carlo! - zawołał. - Pozwól, że zwilżę twoje szlachetne oblicze odrobiną tej czystej wody!...

I zanim don Carlo zdążył coś odpowiedzieć, Zefirio umaczał palec w spodeczku i przeciągnął nim po jego twarzy. Na obliczu srogiego żandarma ukazały się czarne smugi. Zefirio narysował mu czarne jak węgiel wąsy, fantazyjnie zakręcone do góry, następnie namalował olbrzymie kręgi wokół oczu oraz dziwaczne zygzaki na czole i policzkach.

Don Carlo miał teraz niesamowity wygląd; przypominał jakiegoś dzikiego Papuasa lub Indianina na ścieżce wojennej.

Oczywiście, że biedny don Carlo ani podejrzewał, iż woda ta pozostawia ślady niczym czarny tusz chiński.

- No i cóż? - zapytał. - Czy eksperyment się udał?

- Nie - odparł Zefirio. - Nie mam dzisiaj szczęścia do sztuczek.

- Bardzo żałuję - oświadczył don Carlo - ale sądzę, iż uda się następnym razem!...

- I ja również tak sądzę! - A czy można wiedzieć, co cię tutaj sprowadza, pułkowniku?

Carlo Cevenna odchrząknął:

- Otrzymałem skargę od jednego z najznakomitszych obywateli Aragonii - rzekł. - Skargę o napad i pobicie kijem...

- Aa - rzekł Zefirio. - A kogóż to napadnięto i pobito? - Don Sebastiana Hioro!...

- Don Sebastiana Hioro? - zdziwił się Zefirio. - A któż go pobił?

- Twój przyjaciel!

- Mój przyjaciel? To chyba jakaś pomyłka, senior! Ja nie mam takich przyjaciół, którzy napadają i biją spokojnych i czcigodnych obywateli!...

- A jednak don Malibran to uczynił! - upierał się pułkownik. - Zaatakował spokojnego obywatela i obił go kijem!...

Zefirio otworzył usta ze zdumienia i spojrzął na Malibrana.

Thuścioch, który siedział dotychczas z posepnie zwieszoną głową, ocknął się i skierował wzrok na pułkownika.

Ledwie jednak spojrzenie jego spoczęło na wąsikach fantazyjnie narysowanych na twarzy don Carla oraz innych dziwacznych kołach i kreskach zdobiących to srogie oblicze - po szerokiej twarzy Malibrana przebiegł kurczowy grymas. Wybuchnął niepowstrzymaną kaskadą śmiechu...

- Carramba, Zefirio! - ryczał trzymając się za boki. - Bodaj cię pioruny spaliły, coś ty mu zrobił? O Boże, co za maskarada! W jaki sposób tego dokonałeś?

- Pod talerzykiem znajduje się sadza - odpowiedział Zefirio. - Umaczałem jeden palec w wodzie w talerzyku, a drugi palec w sadzy pod talerzykiem. Cieszę się, że wreszcie spędziłem chmury smutku z twego oblicza!

Don Carlo niewiele zrozumiał z całej tej konwersacji. Ogarnęła go wściekłość na Malibrana, który wyraźnie śmiał mu się w nos.

- Mam nakaz aresztowania cię, senior Malibran - rzekł ostrym głosem. - Za pobicie don Sebastiana Hiora!...

- Dobrze - rzekł Malibran wstając. - Ale uprzedzam cię, senior, że postępujesz zbyt pochopnie z osobą markiza Mondevi de Malibrana, syna gubernatora Majoriki!...

Don Carlo zmieszał się nieco, a Malibran ciągnął dalej:

- Obiłem don Sebastiana, stając w obronie donny Marquity Rodriguez, którą ów don Sebastian zamierzał porwać... Uratowałem ją niemal w ostatniej chwili, gdy łotr już przerzucił ją przez siodło. Zaaresztuj mnie, a ja natomiast złożę na ręce królowej skargę na ciebie o sprzyjanie porwaczom kobiet!...

Don Carlo zawahał się. Osoba syna gubernatora Majoriki to przecież nie byle kto. Należało się zastanowić.

- Przeprowadzę śledztwo - mruknął. - Powiadasz więc, iż Marquita Rodriguez...

- Była mimowolnym świadkiem tej sceny! - rzekł Malibran. - Dobrze!

Odwrócił się i wyszedł wściekły. W ślad za nim poleciał śmiech trzech przyjaciół.

Ledwie wyszedł z hacjendy i zbliżył się do swego oddziału, gdy nagle jego ludzie wybuchnęły równie gwałtownym śmiechem.

Don Carlo zatrzymał się, zgrzytając zębami i zaciskając pięści. Czy oni wszyscy poszaleli? pomyślał. Co ma znaczyć ten obłąkany śmiech?

- P... pułkow... niku - wyjąkał podoficer, stłumiwszy atak wesołości. - Cała... twarz... umalowana... w niez... niezwykle... sposo... sadzami...

Don Carlo zdrętwiał.

- Zefirio Corti! - wyrzucił z siebie ochryplym z wściekłości głosem. - Ha, łotrze, czekaj, ja ci się już odwdzięczę!...

Człowiek z płachtą

- Malibran. jest zakochany - szepnął tajemniczo Porfirio do ucha Zefiria. - Nie mam najmniejszej wątpliwości, co do stanu jego serca...

- Kogo mógłby kochać? - głowił się Zefirio. - Czyżby kuzynkę Mercedes?

- Nie! - zaprzeczył Porfirio. - Malibran zakochał się w Marquicie Rodriguez....

- W córce młynarza?.. Ha, wobec tego nie dziwię się wcale, że chodzi jak struty... Marquita jest

piękna, lecz nieczuła na męskie wdzięki.. .

- Biedak chudnie!...

- O, to gorzej!... A Marquita znajduje się w niebezpieczeństwie, gdyż don Sebastiano nie zrezygnuje tak łatwo z pięknej dziewczyny!...

O tej samej porze Marquita miała rozmowę z don Carlem Cevenną. Opowiedziała pułkownikowi zandarmerii całe zdarzenie z don Sebastianem oraz Malibranem.

Don Carlo wysłuchał uważnie opowiadania, nie odzywając się ani słowem, choć serce jego wrzało wściekłością. Słuszność postępku Malibrana była oczywista, a na niego, don Carla, spadłaby cała odpowiedzialność, gdyby go aresztował. Toteż szybko pożegnał się i opuścił dom Rodrigueza.

Marquita stanęła przy oknie i w zadumie oparła się o framugę. W myślach odtworzyła jeszcze raz całą scenę z don Sebastianem i wesoły uśmiech znów ukazał się na jej ustach. Ten tłusciuch jest dzielniejszy niż na to wygląda, pomyślała. I nie tylko dzielny, lecz również dowcipny i niezwykle sympatyczny...

I przyłapała się na tym, iż zbyt wiele zajmuje się osobą Malibrana. Wieczór zapadł.

Dziewczyna udała się do jadalni, spożyła z ojcem kolację, po czym zapaliła świece w lichtarzu i powróciła do swego pokoju.

Pokój ten, jak wszystkie prawie pokoje w starych domach hiszpańskich w stylu mauretańskim, był wysoki i otoczony pod sufitem drewnianą galerijką na kolumnkach.

Światło świec nie docierało do wszystkich zakątków. Oświetlało tylko środek pokoju oraz piękną twarz zadumanej Marquity. W pewnej chwili płomień zadrgał poruszony pędem powietrza, jak gdyby ktoś otwierał drzwi. Dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Nie usłyszała szelestu poza sobą oraz nie dostrzegła postaci mężczyzny, który skradał się ku niej na czubkach palców, trzymając w rękach jakiś materiał. Powstrzymując oddech, niebawem znalazł się tuż za plecami Marquity. Uniósł płachtę nad jej głowę. W tej samej sekundzie u góry na galeryjce rozległ się drwiący głos:

- Śmiało, senior! Śmiało i odważnie... Zarzuczę wreszcie tę materię na głowę seniority, by nie mogła krzyknąć ani wzywać pomocy!...

Nocny napastnik znieruchomiał.

Głos z galerijki należał do Zorry, który siedział spokojnie na poręczy i z uśmiechem patrzył na dół, jakby oglądał niezwykle ciekawą sztukę w teatrze.

- Ciekaw jestem, senior - mówił dalej Zorro, bawiąc się biczem. - Ciekaw jestem, czy twoje zmysły są w porządku. Wymachujesz czerwoną płachtą, choć masz przed sobą piękną senioritę, a nie żadnego byka z korridy!

Głos ten, acz miękki i pieszczotliwy, podziałał na skradającego się mężczyznę jak grom z jasnego nieba. Zdrętwiał, a czerwona płachta falowała w jego drżących rękach.

Marquita odwróciła się raptownie na dźwięk głosu Zorry...

Oczom jej ukazała się dziwna scena.

Ujrzała nieznajomego mężczyznę, który stał tuż za nią z czerwoną chustą w rękach. Człowiek ten dygotał i był śmiertelnie blady.

Unosząc wzrok do góry, Marquita ujrzała siedzącego na barierce Zorrę, który uśmiechał się mówiąc:

- A więc do dzieła, senior... Nie przeszkadzaj sobie, proszę cię. Skoro trzymasz w rękach płachtę torreadora, pokażże wdzięcznej publiczności, w jaki sposób odbywa się walka byków w buduarze pięknej seniority!...'

Drwiący ton Zorry przywrócił intruzowi przytomność umysłu. Rzucił materiał, skoczył jednym susem do okna i przełożył nogę na zewnątrz. W tej sekundzie rozległ się głuchy trzask bicia. Długi rzemień jak wąż oplótł się wokoło jego szyi i pociągnął gwałtownie do tyłu. Człowiek wyrzucił się, ale w następnej chwili zerwał się na nogi i znów rzucił się do okna. Bicz świsnął po raz drugi. Koniec' rzemienia owinał się powtórnie dokoła jego szyi i znów wyrzucił go na posadzkę.

- Do trzech razy sztuka - rzekł Zorro. - Możesz więc spróbować szczęścia po raz trzeci, senior..

Nocny intruz jęknął i dźwignął się z podłogi. Na jego szyi widniały dwie grube, czerwone pręgi.

Był to uparty człowiek, któremu widocznie nie wystarczała nauczka. Błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni i wydobyl pistolet. Nie zdążył jednak wystrzelić. Czarodziejski bicz owinał się końcem

dokoła broni i wydarł mu ją z ręki, odrzucając jednocześnie w odległy kąt pokoju.

Nieznajomy syknął z bólu i zaczął ssać obolałe palce.

- Poddaję się - jęknął. - Mam już dosyć!...

- Ale ja nie mam dosyć - odparł Zorro. - Wdarłeś się do obcego domu jak złodziej, chciałeś porwać senioritę jak pospolity zbój, usiłowałeś uciec jak zając, wreszcie zamierzałeś zastrzelić mnie znienacka jak zdrajca... Za to wszystko razem należy ci się odpowiednia zapłata!

Po tych słowach bicz Zorry świsnął w powietrzu, smagając nędznika po całym ciele. Wreszcie smagany wyrzucił się na ziemię, wijąc się jak robak i wzywając wszystkich świętych, i błagając o przebaczenie.

Marquita zakryła oczy dłońmi.

- Dosyć, dosyć! - zawołała drżącym głosem. - Senior Zorro, błagam cię, zaprzestań tych tortur.

- Dobrze! - zgodził się Zorro. - Ze względu na ciebie daruję mu resztę batów, seniorito, choć Bóg mi świadkiem, iż rzetelnie na nie zasłużył...

- Powstań, mój zuchu - zwrócił się do leżącego. - Chcę ci zadać kilka niedyskretnych pytań... Jeśli odpowiesz szczerze i uczciwie, puszcę cię wolno, nie chciałbym jednak znaleźć się w twojej skórze, gdybyś spróbował mnie okłamać lub cokolwiek zataić... Nocny intruz dźwignął się z trudem na nogi i stanął w pokornej postawie.

- Pytaj, senior! - wyjąkał zerkając lękliwie na długi rzemień bicia.

- Jak się nazywasz?

- Pedro Malfare!...

- Piękne nazwisko, w sam raz dla ciebie!

- Tak, senior...

- Skąd jesteś?

- Z Leridy, senior...

- Skąd wziąłeś się w tych stronach?

- Pracuję w hacjendzie, senior!...

- W pobliżu?

- Si, senior...

- U don Sebastiana Hiora?

- Si...

- To on cię przysłał?

- Si...

- Poleciał ci porwać senioritę?

- Si...

- O demonio... Co za uparty łajdak z tego don Sebastiana!..

Ani baty, ani prośby i groźby, nic go nie odstręcza od wytkniętego celu.

Zwrócił się do Marquity:

- Patrz, seniorita, co znaczy wielka miłość!... Ten podstarzały hacjendero nie cofa się przed żadnym łajdactwem, byle cię posiąść... Marquita zaczerwieniła się gwałtownie i opuściła oczy.

- Nie moja w tym wina - wyszeptwała. - Osoba don Sebastiana przejmuję mnie wstrętem i obrzydzeniem.

Zorro się roześmiał.

- A więc miłość bez wzajemności! - zawołał. - Biedny hacjendero, doprawdy zaczynam odczuwać dlań litość. Skoro jednak nie chcesz nic o nim słyszeć, nie pozostaje mi więc nic innego, jak zastąpić ciebie inną jakąś osobą, która odwzajemni mu miłość...

Cha, cha, cha! Sądzę, że don Sebastiano prędko się pocieszy!... Zwrócił się do zbira, który stał z opuszczoną głową:

- Zmykaj stąd, mój ty bohaterze z czerwoną płachtą. I pamiętaj, że nie wolno ci się nigdzie zatrzymywać w drodze do Leridy!...

- Dziękuję, senior! - wybełkotał Pedro Malfare. Śpiesznie podbiegł do okna i po chwili go nie było.

Marquita popatrzyła za nim, a gdy przeniosła wzrok na galeryjkę, na której siedział Zorro, z ust jej wyrwał się cichy okrzyk.

Zorro znikł jak cień.

Zbawienna rada Zefiria

Gdyby ktoś zajrzał na małą polankę nie opodał gościa prowadzącego do hacjendy don Sebastiana, ujrzałby kilku śmiejących się młodzieńców, którzy otaczali kołem Zefiria Cortiego.

- A więc teraz, gdy nauczyliście się na pamięć lekcji, powróćcie do Huesco i będziecie oczekiwać tego jegomościa! Pamiętajcie, że każdemu z was wypłacę po dwadzieścia pięć peso, jeśli zdacie dobrze egzamin!

To powiedziawszy pożegnał się z nimi, po czym udał się wprost do siedziby czcigodnego don Sebastiana.

Zastał go siedzącego na werandzie w towarzystwie kilku zbirów o odrażających fizjonomiach. Widocznie planowali jakiś nowy sposób porwania seniority Marquity.

- Witaj! - zawołał Zefirio. - Jak twe zdrowie, senior?..

- Doskonale! - mruknął hacjendero. - A teraz gdy już wiesz wszystko, nie zwracaj mi głowy, młodzieńcze, i wynoś się do wszystkich diabłów!..

Zefirio nie zraził się jednak tym niezbyt zachęcającym przyjęciem. Rozsiadł się wygodnie w wyplatany fotelu i zapytał ni w pięć, ni w dziesięć.

- Czy wiesz, kto ja jestem, senior?

- Błazen, kretyn i idiota! - ryknął don Sebastiano, wściekły, że głupiec mu przeszkadza. - Matoł, osioł, dureń i bałwan!... Zefirio potrząsnął głową ze zgorzeniem.

- Ublizasz mi zupełnie bez powodu, senior. Wybaczam ci jednak, gdyż wiem, że jesteś w złym humorze... Poprawię ci go natychmiast oświadczeniem, że przyszedłem do ciebie po dziesięć tysięcy peso!

Don Sebastian o zaniemówił w pierwszej chwili.

- Hę? - odezwał się wreszcie, nie wierząc własnym uszom. - Coś powiedział?

- Powiedziałem, że zarobię u ciebie dziesięć tysięcy peso! - powtórzył spokojnie Zefirio.

Hacjendero posiniał z wściekłości. Zerwał się ze swego miejsca i przystąpił z zaciśniętymi pięściami.

- Słuchaj, Zefirio! - warknął. - Jeśli przyplątałeś się tutaj, by stroić swe kretyńskie żarty, to uprzedzam cię, że natrafiłeś na bardzo złą chwilę!..

Zefirio nie zmieszał się bynajmniej.

- Wysłuchaj mnie najpierw, senior - rzekł - a później możesz czynić, co ci się żywnie spodoba. Jak ci wiadomo, studiowałem niegdyś na uniwersytecie w Madrycie. Otóż tam zdobyłem gruntowną wiedzę wszelkiego rodzaju. Jestem więc chemikiem, biologiem, miazmatą, kanalizatorem, antropofagiem, antysemitą, kalejdoskopem, kannibalem...

- Dosyć, dosyć, wystarczy! - ryknął don Sebastiano wstrząśnięty tym nawałem wiedzy. - Wiem, że jesteś uczony i że nauka popsuka ci maszynkę w głowie. Ale co to ma do rzeczy?

- Uzbrój się w cierpliwość, senior - ciągnął dalej Zefirio. - Otóż prócz tych wszystkich powyższych specjalności jestem również namiętym odkrywcą i genialnym wynalazcą... Jeszcze na długo przed Kopernikiem odkryłem, że Słońce kręci się dokoła Księżyca, a Ziemia kręci się dokoła planety Wenus. To mnie właśnie zawdzięcza ludzkość epokowy wynalazek kompasu, za pomocą którego każdy śmiertelnik może trafić nocą do swego łóżka, nie uciekając się do zapalanej świecy... - urwał i zniżył tajemniczo głos: Odeślij tych ludzi, a powiem ci na czym polega mój ostatni wynalazek wywołujący wzajemność w miłości!

Don Sebastiano zadrzał. Co prawda, zdrowy rozsądek mówił mu, że nie należy przywiązywać wagi do słów głupca, ale jak wiadomo, miłość jest ślepa, tym bardziej zaś miłość nieodwzajemniona. Zefirio poruszył czułą strunę jego duszy i don Sebastiano uchwycił się tej deski ratunku. Kazał więc oddalić się swym ludziom, po czym zapytał z lekka drżącym głosem:

- Na czym polega ten wynalazek, senior Zefirio?

- Zanim znalazłem środek przeciwko nie odwzajemnionej miłości - mówił nie śpiesząc się młody Corti - zbadałem jej przyczynę. Otóż miłość nie jest wzajemna wówczas, gdy różnica wieku jest zbyt znaczna albo gdy mężczyzna jest zbyt mało przystojny. Wynalazłem więc środek „Amorom”, który odmładza, a jednocześnie upiększa pacjenta...

Don Sebastiano ochłonał.

- To są bzdury - rzekł. - Mam pięćdziesiąt sześć lat i żadne lekarstwo nie uczyni mnie osiemnastolatkiem!...

- Uczyni! - zawołał z mocą Zefirio. - Mój „Amorom” uczyni cię młodzieńcem pełnym wigoru i temperamentu...

- Nie wierzę - wciąż powątpiewał hacjendero. - Dowiedz mi tego, a otrzymasz nie dziesięć tysięcy, lecz całe pięćdziesiąt!

Zefirio wstał ze swego miejsca.

- Wypróbowałem mój „Amorom” - rzekł uroczyście. - Wypróbowałem go na kilku zgrzybiałych starcach. Rezultat był wprost zadziwiający. Obecnie obawiam się po prostu jechać do Huesco w obawie, że zabobonna ludność zatłucze mnie na śmierć jako czarownika!...

- A więc wypróbowałeś ten cudowny środek w Huesco? - zapytał don Sebastiano, wciąż jeszcze nie dowierzając.

- Tak!...

- Chciałbym zobaczyć tych odmłodzonych starców!...

- Nic łatwiejszego! Każ, senor, zaprząć powóz!

Niewielki, otwarty pojazd wtaczał się do Huesco, gdy siedzący w nim obok don Sebastiana Zefirio ujrzał swego przyjaciela, chudego Porfiria, jadącego melancholijnie na mule. Długie jego nogi zwisały prawie do ziemi, a głowa osadzona na cienkiej szyi chwiała się sennie w takt kroków muła.

- Witaj, Porfirio!...

Porfirio ocknął się z drzemki.

- Gdzie jedziesz, Zefirio? - zapytał.

- Jadę przekonać czcigodnego senora o skuteczności mego „Amorolu”!

Porfirio zdziwiony uniósł brwi.

- „Amorolu”? - zapytał, ale w tej samej chwili wzrok jego napotkał spojrzenie Zefiria.

- Ach tak - poprawił się Porfirio. - „Amorolu”, oczywiście „Amorolu” ... Gdzie mój a pamięć?

Ożywił się i zawrócił muła.

- Jadę z wami, senores - oświadczył. - Chcę być obecny przy wypróbowaniu: „Amorolu”!...

Pojazd toczył się po wyboistych ulicach miasteczka. W pewnym miejscu Zefirio zatrzymał powóz i zapytał młodzieńca, który stał przed niewielkim domkiem i leniwie wygrzewał się na słońcu:

- Czy szanowny senor Amadeo Scapado jest w domu?

Młodzieniec ożywił się. Zbliżył się do powozu i rzekł z tajemniczą miną:

- Na co wam senor Scapado? - zapytał. - Co do mnie, radzę wam zawrócić z miejsca i zaniechać tej wizyty.

- Czemu? - zapytał Porfirio.

Młodzieniec zniżył głos do szeptu.

- Dzieją się tutaj jakieś sztuczki diabelskie. Przysięgam, że nie poznacie senora Scapado, który miał siedemdziesiąt lat, a teraz ma ich tylko dwadzieścia!

- Co ty wygadujesz, młodzieńcze? - zawołał Porfirio, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

- Mówię szczerą prawdę, senores! Senor Scapado był zgrzybiałym staruszką jeszcze w ubiegłym tygodniu, a obecnie nic innego nie robi, tylko ugania się za spódniczkami! - Na twarzy opowiadającego pojawiło się szczerze oburzenie. - I co najdziwniejsze - zawołał - ten stary łotr, wyglądający na młodzika, ma obecnie szalone szczęście u wszystkich okolicznych dziewcząt!

- Gdzie jest teraz? - zapytał Zefirio.

- Śpi, senor! Wypoczywa. po jakiejś nocnej wycieczce pod balkon donny!...

Zefirio wysiadł.

- Chodźmy, senor Sebastiano! - rzekł do hacjendera. Weszli do ciemnej izdebki.

Leżąca na łóżku postać poruszyła się i śpiący otworzył oczy. Wzrok jego spoczął na wchodzących. Zerwał się z łóżka i padł przed Zefiriami na kolana, wołając drżącym głosem:

- O dzięki ci, dzięki mój dobroczyńco najdroższy!... Tobie zawdzięczam, że spełnił się cud, który zwrócił mi stracone lata!... Ach senor, czuję obecnie, że żyję... Tyś swym „Amorolem” wlał młodość w moje

starcze żyły... Dzięki ci, o dzięki... stokrotnie!

Don Sebastiano oraz Porfirio skamieniali przyglądając się mężczyźnie, który mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Wreszcie don Sebastiano nie wytrzymał. Dotknął ramienia klęczącego przed Zefiriem człowieka i zapytał drżącym ze wzruszenia głosem:

- Przepraszam, senor...Mówisz o przywróconej młodości, choć jesteś młody!...

- Młody?_ mężczyzna zarżał jak koń. - Cha, cha, cha, młodzieńcze, ja mam siedemdziesiąt osiem lat z okładem!...

Don Sebastiano osłupiał.

- Siedemdziesiąt osiem? - powtórzył niedowierzająco. - To nie do wiary....

- Nie do wiary? - ryknął Amadeo Scapado, zrywając się na równe nogi. - A więc senor Corti i ja jesteśmy oszustami? Czekaj, senor, zaraz cię przekonam!...

Podbiegł do drzwi i zaczął wołać:

- Hej, ludzie, do mnie, do mnie!....

Kilku niby przypadkowych przechodniów wypełniło izbę.

- Dobrzy ludzie! - zawołał mężczyzna. - Czy znacie mnie?

- Znamy!... Ty jesteś Amadeo Scapado!... - brzmiała zgodna odpowiedź. .

- Dobrze! A teraz powiedzcie tym senorom, ile ja właściwie mam lat?

- Siedemdziesiąt osiem! - poświadczyli ludzie, a jeden z nich dodał: - Jesteś stary, a wyglądasz na młodego, ty pacholku diabła... Nie wiem, co nas powstrzymuje, by nie spalić cię na stosie jako czarnoksiężnika!...

- Ale przecież nie ja jeden stałem się młody - bronił się Amadeo Scapado. - Jednocześnie ze mną odmłodnieli Gaspardo, Baelio, Mortella, Figgi...

Zefirio pociągnął za rękaw don Sebastiana.

- Chodźmy - szepnął. - Pozostawmy ich,. Amadeo Scapado jest obecnie dość mocny, by dać sobie radę z nimi wszystkimi... Czy chcesz obejrzeć również innych odmłodzonych starców?

- Nie, nie, wystarczy! - wyjąkał don Sebastiano. - Przekonałeś mnie, senor Zefirio!...

Powrócili do powozu. Porfirio włókł się za nimi. Twarz jego nieco ożywiła się. W oczach zabłysnął ognik wesołości.

Don Sebastiano wręczył młodemu Cortiemu dziesięć banknotów po tysiąc peso.

- Oto mój „Amorom” - rzekł Zefirio, wydobywając z przepaścistej kieszeni wielką butelkę wypełnioną gęstą, żółtą cieczą. - Połóżysz się do łóżka, senor, najlepiej w dzień, i zażyjesz łyżkę tego eliksiru...

- Wygląda jak olej rycynowy! - zauważył Porfirio.

- W twych oczach chyba! - odparł Zefirio. - Jest to ten sam eliksir, który przywrócił młodość zgrzybiałemu starcowi z Huesco.

- Tak, tak, oczywiście - don Sebastiano skwapliwie chwycił butelkę. - A więc leżąc w łóżku mam wypić jedną tylko łyżkę tego eliksiru młodości?..

- Jedną łyżkę, lecz musisz przy tym powtarzać w kółko zaklęcie magiczne: - Habakuk, kubahuk, hukabuk!...

- To nie jest trudne do powtórzenia - oświadczył don Sebastiano. - Wszystkiego trzy słowa!...

- Powtórz więc, senor!...

- Habakuk... buka... huka... - jąkał się hacjendero - kuba... buka... kuka...

- Habakuk, kubahuk, hukabuk!... - poprawił Zefirio.

- Habakuk, kubahuk, hukabuk!...

- Doskonale! Otóż połkniesz jedną łyżkę i będziesz powtarzał zaklęcie... Za każdym jednak razem, gdy popłaczesz wyrazy zaklęcia, wypijesz nową łyżkę tego eliksiru!...

-Dobrze!...

- Pamiętaj więc, senor, że nie wolno ci się omylić nie połykając przy, tym łyżki tego cudownego środka!

- Rozumiem i zastosuję się!...

Zefirio pożegnał się, ale coś sobie przypomniał i powrócił mówiąc:

- Pamiętaj jeszcze o jednej rzeczy, senor... Podczas tej kuracji odmładzającej powinni być liczni świadkowie!...

- A to na co?

- Jak to na co?.. Przecież gdy staniesz się młodziekiem, nikt cię nie pozna, a twoi bliźsi i dalsi krewni skorzystają z okazji, by cię wyrzucić z majątku pod pozorem, że nie jesteś wcale don Sebastianem Hioro, lecz jakimś samozwańczym oszustem!

- Rzeczywiście! - przyznał hacjendero. - Wcale nie pomyślałem o tym. ,

- Wezwiesz więc kilku okolicznych dygnitarzy, mogą być obecne również i niewiasty, które zazwyczaj interesują się wszystkim, co tylko dotyczy odmłodzenia. W razie czego będziesz miał wielu świadków, którzy poświadczą, że jesteś autentycznym don Sebastianem!

- Senorita Marquita dowie się o tym?

- Oczywiście!... I z miejsca zaplonie ku tobie wielką miłością. Mój „Amorom” jest niezawodny, senor!

Rozmowa powyższa została nagle przerwana dziwnym odgłosem, podobnym do bulgotania płynu w butelce. Obaj obejrzel się i spostrzegli Porfiria, który stał na uboczu; młodzieniec miał błędny wyraz oczu, z jego gardła dobywało się to dziwne bulgotanie, a grdyka latała mu przy tym do góry i na dół.

- Co mu się stało? - zapytał zdziwiony don Sebastiano. Zefirio westchnął.

- Biedny mój przyjaciel, Porfirio, jest nieco zwichnięty na umyśle - rzekł półgłosem. - A oto, chwycił go jeden z jego napadów szaleństwa... Żegnaj więc drogi don Sebastiano, muszę odprowadzić czym prędzej mego biednego przyjaciela do domu...

Ujął Porfiria pod ramię i posadził troskliwie na grzbiecie muła. A gdy znaleźli się w przyzwoitej odległości od don Sebastiana, bulgotanie w gardle Porfiria zamieniło się w kaskadę śmiechu.

- Carramba! - wołał krztusząc się. - Niech cię diabli porwą, Zefirio, co ty wyprawiasz z tym nieszczęsnym don Sebastianem... Myślałem, że skonam, dławiąc się ze śmiechu... To była rycyna, prawda?

- Olej rycynowy! - potwierdził Zefirio. - Świetny środek na wypędzenie niewczesnych amatorów!

- A ten Amadeo Scapado oraz zwołani przezeń przechodnie?

- Zostali pouczeni przeze mnie. Każdy z nich otrzymał kilkanaście peso!

- Cha, cha, cha! Niech cię lichy! - śmiał się Porfirio. - Muszę być obecny podczas tej operacji!

- Powstrzymaj się jednak od głośnych objawów wesołości - odparł Zefirio. - W przeciwnym bowiem razie będę zmuszony ogłosić cię wariatem.

Atak szalu Porfiria

Don Sebastiano leżał w łóżku i miał niezwykle uroczystą minę. Dookoła usadowili się liczni świadkowie mającej się odbyć cudownej operacji. Porfirio i Zefirio stali skromnie u wezglowia łoża. Wśród obecnych znajdowali się najznakomitsi przedstawiciele okolicznej szlachty. Przybyli więc liczni hacjenderos, był również obecny pułkownik Carlo Cevenna, zwabiony dziwną wieścią o cudownym eliksirze młodości.

- Zaczynaj, senor Sebastiano - rzekł niecierpliwie pułkownik. Hacjendero wypił łyżkę płynu.

- Habakuk, kubahuk, hukabuk - wyrzekł krzywiąc się niemiłosiernie. - Habakuk, bukahuk...

- Kubahuk - odezwał się Zefirio. - Omyliłeś się, senor!... Don Sebastiano wypił następną łyżkę i znów rozpoczął swą litanię magicznych zaklęć. Mylił się jednak często, wobec tego zawartość butelki z eliksirem zmniejszała się szybko...

W kącie rozległo się dziwne bulgotanie. Porfirio znów miał błędny wyraz oczu, a Zefirio usprawiedliwiał się przed zebranymi:

- Wybaczcie mi proszę, senores, że sprowadziłem z sobą szaleńca!..., Biedny Porfirio znów dostał ataku zwanego w języku fachowym lekarzy: „crisis bulgotensis”.

- Hubakuk, kubakuk, hubakuk - mówił monotonnym głosem don Sebastiano i z obrzydzeniem popijał gęstą, mdlącą ciecz. - Wielkie nieba, kiedyż to się skończy?!...

Wtem jego oczy rozszerzyły się nadmiernie, a twarz pozieleniała. Wypuścił flaszkę z ręki i wyszeptał zbielełymi ustami:

- Czuję... czuję...

Wszystkie głowy zbliżyły się do łoża.

- Co czujesz? - zapytał jeden z obecnych, powstrzymując oddech...

- Czuję, że cudowny eliksir zaczął działać - wyszeptał don Sebastiano. - Młody człowiek budzi się we mnie!... Aj... aj!...

- Co się stało? - rozległy się trwożne pytania.

Don Sebastiano kręcił się w łóżku jak piskorz.

- Aj, aj, moi drodzy! - jęczał. - Jakież straszliwy temperament ma ta młoda jaźń, która budzi się we mnie!... Po prostu czuję, jak odradzająca się młodość przewraca się z boku na bok w moim wnętrzu, niecierpliwa, by ujrzyć światło dzienne!...

Jękom tym towarzyszyło wzmagające się bulgotanie Porfiria.

- Ratunku! - wołał Zefirio, wywijając chustką przed jego nosem. - Porfirio oszalał z wrażenia...

- Aj, aj! - ryczał don Sebastiano, wijąc się. - Trzymajcie ją... Burzliwa młodość skręca mi wnętrzności i chce wyrwać się na wolność...

Porfirio zsiniał i skręcił się jakby w ataku epilepsji. Z innymi świadkami działy się też dziwne rzeczy. Ludzie zaczęli zatykać sobie nosy, odwracać głowy i mimo woli odsuwali się od łoża.

Co się tyczy zaś don Sebastiana, to na jego obliczu pojawił się nagle wyraz niezmiernej ulgi.

- Zdaje się, że zbytnio się odmłodziłem - wyszeptał. - Stałem się bowiem całkiem małym dzieckiem!...

Porfirio nie mógł dłużej wytrzymać. Rzucił się do wyjścia, a w ślad za nim podążyli inni świadkowie.

- Och, Zefirio, Zefirio! - szeptał. - Półtorej kwarty rycyny, to doprawdy zbyt wiele jak na jednego człowieka...

- Na silną miłość potrzebne są odpowiednio mocne środki - odpowiedział Zefirio. - Czyś nie zauważył, że mu to pomogło?... Całkiem odmłodził, pocziwy Sebastiano...

Westchnął.

- Żałuję tylko, że odmłodnienie nie udało się całkowicie. - Ale nie jestem temu winien! Don Sebastiano zbyt często mylił się wymawiając zakłęcia, poza tym nie wypił całej zawartości butelki.

Don Carlo Cevenna zmierzał wielkimi krokami do swego oddziału. Ujrzał go Zefirio.

- Dzień dobry, senior Carlo - zawołał uprzejmie. - No i cóż powiesz, pułkowniku, na tę cudowną kurację?

Don Carlo zatrzymał się raptownie i zmierzył Zefiria swym straszliwym wzrokiem, od którego przechodziły ciarki po grzbiecie.

- Zakpiłeś sobie z senora Sebastiana, co? - syknął.

Zefirio cofnął się zdumiony w najwyższym stopniu.

- Zakpiłem sobie? - zapytał. - O senior, jak możesz posądzać mnie o coś podobnego?... Czyś nie widział na własne oczy, jak don Sebastiano, ten niedołężny grubas, poruszał się w łóżku? Jak młodzieniaszek na sprężynach...

- Dałeś mu środek na przeczyszczenie!...

- Ja? - zawołał Zefirio najbezczelniej w świecie. - Jak możesz posądzać mnie o coś podobnego, senior!... Czyś widział don Sebastiana powstającego z łóżka?

- Przecież nie wstał jeszcze!...

- Ale wstanie jutro... I wówczas przekonasz się, pułkowniku, jaki będzie rześki i odmłodzony! ...

- Hm! - mruknął don Carlo nieufnie.

- Tak, senior, zapewniam cię, że cudowny skutek mego środka widoczny będzie w najbliższych dniach. Jestem przekonany, że sam osobiście przeprosisz mnie za to podejrzenie.

- Hm! - mruknął don Carlo po raz drugi.

- Mam jedną propozycję dla ciebie, senior, a mianowicie ofiaruję ci pół litra środka „Amorom”, który zapewni ci kwitnącą młodość i miłość twojej małżonki...

Ten ostatni argument mocno zachwiał nieufność pułkownika. Zawahał się na chwilę, gdy wtem do uszu jego dobiegł jakiś dziwny bulgot... Obejrzał się i spostrzegł Porfiria, który wyczyniał jakieś dziwne łamańce.

- Co mu się stało? - zapytał.

- Atak choroby świętego Wita - objaśnił Zefirio. - A więc czy mam przyrządzić dla ciebie pół litra „Amorolu”, pułkowniku?
- Dobrze, senior! Tylko uprzedzam cię, że operacja odbędzie się bez świadków.
- Przeciwnie, senior, możesz śmiało wezwać z pół setki twoich znajomych, tylko wybieraj zacnych i uczciwych hidalgów. Najważniejsze jednak, by wszyscy mieli katar!

Nieustępliwy hacjendero

Don Sebastiano nie dał za wygraną, pomimo dotkliwej nauczki, jaką otrzymał ostatnio.

Pewnego dnia kazał zaprzęgać powóz i ruszył do Saragossy. Przez całą drogę obmyślał piekielny plan zemsty, a gdy przybył wreszcie do stolicy Aragonii, udał się prosto do pałacu gubernatora.

Don Alvarez przyjął go łaskawie. Don Sebastiano Hioro miał opinię bardzo bogatego człowieka, płacił podatki bez szemrania i nieraz przysłużył się gubernatorowi. .

- Jakiej szczęśliwej okoliczności zawdzięczam twoją wizytę, senior? - zapytał uprzejmie don Alvarez.

Hacjendero wyciągnął drogie hawajskie. cygareto, poczęstował gubernatora, po czym zapalił i zaczął bez ogródek:

- Nie wątpię, że znana ci jest moja historia, senior gubernator!...

- O jakiej historii mówisz? - zapytał Alvarez, uśmiechając się nieznacznie, wiedział już bowiem o jego przygodzie z eliksirem miłości. - Czy zamierzasz wnieść skargę przeciwko młodemu Cortiemu?

Don Sebastiano machnął lekceważąco ręką.

- Nie mam zwyczaju żywić urazy do półgłówków - odparł. - Nie, senior, nie o to mi chodzi. Sprawa jest daleko poważniejsza i jeśli nie uda mi się osiągnąć celu, przypłacę to chyba życiem!... Don Alvarez zaciągnął się dymem cygara.

- Nie jest chyba tak źle - rzekł. - Życie poważnego obywatela i szlachcica jest zbyt cenną rzeczą, by nim szafować!... Hacjendero westchnął ciężko i. uniósł wzrok ku niebu.

- A jednak jestem bliski samobójstwa - jęknął i wskazał na lewą stronę piersi. - Ból, jaki tutaj odczuwam, staje się nie do zniesienia ...

- Czyżby serce?

- Tak, senior!.. Serce i nic więcej... Don Alvarez popatrzył nań uważnie.

- Wiem - rzekł lakonicznie. - Marquita, piękna młynarzówna...

Don Sebastiano westchnął jeszcze głośniej.

- Zgadłeś, senior gubernator, to ona siedzi w moim sercu. Nie wiem po prostu, co się ze mną dzieje. Nie jem, nie piję, nie doglądam gospodarstwa, nie dbam o nic, słowem, jest bardzo źle ze mną... Jedyne moje nadzieje w tobie, senior gubernator!...

Don Alvarez rozłożył bezradnie ręce.

- Biedny mój senior Sebastiano - odparł. - Cóż ja mogę poradzić w tym wypadku?.. Co prawda jestem wielkorządcą Aragonii, mam władzę prawie nieograniczoną nad Aragończykami, ale władza moja nie sięga tak daleko, ażeby rozkazać sercu pięknej seniority, by cię kochała!...

Don Sebastiano potrząsnął przecząco głową.

- Nie o to chodzi - rzekł. - Nie wymagam od ciebie, senior, byś wywarł presję na Marquitę. Chodzi mi zupełnie o co innego!...

- Słucham...

- Potrafiłbym dawno przekonać ją o potędze mego uczucia, gdyby nie obecność jej ojca oraz tych przeklętych czeladników młynarskich, którzy złośliwie utrudniają mi dostęp do wybranki mego serca!

- Hm!.. - mruknął don Alvarez.

Don Sebastiano ciągnął dalej:

- Wiem dobrze, iż młynarz fałszuje czy też kradnie mąkę swych klientów...

- Wątpię! - odparł gubernator. - Mówią o nim, że to uczciwy człowiek!

- To jest obojętne, senior - zniecierpliwiał się hacjendero. - Gdy się chce uderzyć psa, kij się znajdzie... Chodzi mi przede wszystkim o to, by usunąć młynarza i jego popleczników z młyna na kilka dni!.

-Hm!

Don Sebastiano spojrział nań przenikliwym wzrokiem, jak gdyby chciał wświdrować się do jego duszy. Przez chwilę trwało milczenie, po czym hacjendero rzucił krótkie pytanie:

- He?

Don Alvarez podrapał się w podbródek, zastanawiając się nad odpowiedzią. Wreszcie rzekł:

- Dwadzieścia pięć tysięcy - wymówił wolno. - Dwadzieścia pięć tysięcy do skarbcza najmiłościwiej nam panującej królowej oraz dziesięć tysięcy dla pułkownika don Carla Cevenny, który podejmie się tego zadania!

- Dobrze! - rzekł don Sebastiano i wydobyl gruby portfel. - Płacę z góry!

Odliczył trzydzieści pięć tysięcy peso.

- Dla ubogich Saragossy piętnaście tysięcy - rzekł don Alvarez, który najmniej w obecnej chwili myślał o ubogich.

Don Sebastiano dołożył piętnaście tysięcy.

- Dla żandarmów dziesięć tysięcy!... - ciągnął dalej don Alvarez.

Don Sebastiano westchnął boleśnie i wyłożył żadaną sumę.

- No i dla mnie piętnaście tysięcy - zakończył don Alvarez. - Zdaje się, że to już będzie wszystko!

Hacjendero jęknął, ale wydobyl z portfela żadaną sumę i położył ją na stosie innych banknotów.

- Sprawa zostanie załatwiona jeszcze jutro - oznajmił don Alvarez, zgarniając banknoty, po czym wyciągnął rękę i dodał żegnając się z nim:

- Wracaj do domu, senor, i bądź dobrej myśli!

A gdy don Sebastiano zniknął za drzwiami, don Alvarez zgarnął banknoty do szkatułki i szepnął:

- Pierwsze siedemdziesiąt pięć tysięcy, które zarobiłem uczciwie!

Paradny strój Malibrana

Zaplakana Marquita wbiegła do siedziby Anzelma Cortiego i natknęła się na Zefiria, który ćwiczył w tej właśnie chwili jakąś nową sztukę magiczną.

- Co się stało, senorito? - zapytał zdziwiony. - Nosek masz czerwony i oczy zaplakane!...

- Gdzie jest senor Malibran? - zapytała dziewczyna drżącym głosem. - Chciałabym z nim pomówić!...

- Z Malibranem? - zapytał Zefirio. - Nie wiem, czy wstał już z łóżka. - Spojrzał znacząco na Marquitę. - Ostatnio biedny mój przyjaciel źle sypia nocami... Podobno ma serce nie w porządku... Całymi nocami wzdycha i całuje poduszkę, zasypia dopiero nad ranem... Doprawdy nie rozumiem, co się z nim dzieje?

Marquita zarumieniła się gwałtownie. Wiedziała, że poczciwy grubasek często wygrywa serenady na gitarze, o zmroku pod jej oknami.

Zaczęła mówić szybko, by ukryć zmieszanie:

- Obudź go, senor Zefirio - prosiła. - Jeden tylko dzielny senor Malibran może mi pomóc w nieszczęściu!

Zefirio schował do kieszeni drewniane gałki służące mu do ćwiczeń magicznych i zapytał:

- A co się właściwie stało, Marquito? - Możesz mi śmiało powiedzieć, ja mu powtórzę!...

Dziewczyna załamała ręce, z oczu jej popłynęły łzy. .

- Zabrano mego ojca i wszystkich pracowników, a młyn zamknięto - wyjąkała.

- Któż to uczynił?

- Dowódca żandarmerii, don Carlo Cevenna!

- Kiedy to się stało?

- Dziś nad ranem!...

Zefirio skierował się ku drzwiom prowadzącym do sąsiednich komnat.

- Zaczekaj chwilkę, senorito - rzekł odchodząc. - Powtórzę mu nowinę....

Nie czekała zbyt długo. Malibran wpadł jak burza i zaczął okrywać pocałunkami jej rączki, wołając zarazem:

- O senorito, błagam cię, nie przejmuj się zbytnio... Ja, Hektor Mondevi de Malibran, zajmę się tym niezwłocznie. Przysięgam, że jeśli ojciec twój nie powróci dziś jeszcze do domu, poruszę wówczas niebo i

ziemię w Madrycie, by don Alvarez i jego pułkownik odpokutowali swój postępek.

- Dzięki ci, senor -, wyszeptła piękna dziewczyna. - Wiedziałam, że mogę liczyć na ciebie!...

- Jadę natychmiast do Saragossy - wołał Malibrán z zapalem. - I niech mnie pioruny spala, jeśli nie powrócę z młynarzem!

- Jadę z tobą, senor!... - zaproponowała dziewczyna.

- To jest zbyt cenne - odparł zakochany grubas, pozerając piękną twarz Marquity płonącym wzrokiem. - Wróć do domu, senorito, i czekaj na swego ojca!...

Przylgnął ustami do jej ręki, po czym Marquita udała się w powrotną drogę do domu.

Malibrán odszukał Zefirio.

- Czemu Carlo Cevenna to uczynił? - zapytał. - Co miał przeciwko ojcu Marquity?

Zefirio wzruszył ramionami.

- Podejrzewam tutaj rękę don Sebastiana - odrzekł. - Ale to nic pewnego....

- Jadę do Saragossy! Czy wybierasz się ze mną?

- Oczywiście!...

- Weźmiemy konie czy muły?

- Muły! Droga do Saragossy jest tego rodzaju, że muły prędzej przybędą do celu!...

- A może lepiej jechać karocą? Odwiedzając gubernatora, chciałbym wystąpić z całą okazałością!

Zefirio zgodził się i na to.

- Każę zaprzęgać paradny powóz - rzekł. - Rzeczywiście masz rację... Chcąc zaimponować don Alvarezowi, należy wystąpić godnie. Włóż strój dworski z orderami!...

Malibrán rozłożył ręce.

- Kiedy nie mam takiego stroju - oświadczył. - Ojciec mój jako gubernator Majorki ma co prawda różne stroje galowe, ale niestety znajdują się one w Madrycie!...

- To nic - rzekł Zefirio. - Zdaje się, że znajdę coś dla ciebie!

I rzeczywiście wygrzebał skądś niezwykle bogaty, fantastyczny mundur, obficie przyozdobiony błyszczącymi orderami. Malibrán sapnął i wzdychał wciągając go na siebie. Materiał popękał tu i ówdzie, ale Zefirio uważał, że to nic nie szkodzi.

Niebawem ruszyli w drogę. Na koźle siedział Porfirio, a Zefirio i Malibrán usadowili się w środku.

Do Saragossy przybyli późno po południu. Powóz zatrzymał się przed bramą wjazdową. Zefirio wyskoczył z pojazdu i krzyknął donośnie do straży pałacowej:

- Prezentuj broń przed wicegubernatorem Majorki!...

Straż zawahała się, lecz widok jegomościa okazałej tuszy, we wspaniałym mundurze, wyłazącego z karocy, sprawił, że oddała honory wojskowe.

- Gdzie są trębacze! - krzyknął. - Gamonie, w jaki sposób witacie dostojną osobę?

Trębacze wybiegli z odwachu. Rozległ się donośny marsz powitalny.

Don Alvarez zajęty był właśnie rozmową z don Carlem Cevenną, gdy potężna muzyka wstrząsnęła szybami jego gabinetu. Obaj śmiertelnie pobledli i z przerażeniem spojrzeli na siebie.

- Królowa! - wyszeptali obaj jednocześnie.

Zerwali się ze swych miejsc i podbiegli do okna. Oczom ich ukazał się dziwny widok.

Cała straż pałacowa stała uszeregowana w szpaler i prezentowała broń, a trębacze dęli co sił w swe instrumenty. Środkiem kroczył tęgi młodzieniec w dziwnym mundurze, obok zaś niego uwijał się Zefirio Corti.

- Wysłannik królowej - wyszeptał don Carlo. - W ten sposób straż pałacowa wita tylko królową albo jej wysłannika.

Don Alvarez nie odzywał się na razie. W miarę jak okazały jegomość zbliżał się do pałacu, z oblicza gubernatora zniknął wyraz przestachu, natomiast malowały się coraz większe oburzenie i wściekłość.

- Carramba! - syknął. - To nie jest wysłannik królowej. Poznaję go, to Malibrán, przyjaciel głupiego Zefirio.

Sprawa przybrała obrót niepomysłny. Na nic przydała się cała pompa, jaką otoczył się Malibrán, nie odniosły żadnego skutku prośby ani groźby. Don Alvarez ufny w poparcie don Alonza, ministra królowej, nie zląkł się wstawiennictwa gubernatora Majorki.

Malibrán oddalił się zgnębiony, a Zefirio próbował go pocieszać. Po wyjściu obu przyjaciół don

Alvarez oraz don Carlo śmieli się przez czas dłuższy. Gdy uspokoili się wreszcie, don Alvarez zmierzył ku drzwiom.

- Chodźmy do sali audiencjonalnej, pułkownika. Czeka tam na mnie kilku interesantów.

Ledwie jednak wyszedł ze swego gabinetu, wzrok jego padł na kartkę papieru przybitą sztyltem do framugi drzwi. Tknęło go nie dobre przeczucie. Znał ten sposób korespondencji, wiedział z góry od kogo ten list.

I nie omylił się w swych przewidywaniach. List brzmiał następująco:

Senor Alvarez! Cierpliwość moja wystawiona jest na ciężką próbę. Znow popelnileś wielką niesprawiedliwość. Daję ci jednak ostatnią szansę: jeśli wypuścisz dziś jeszcze młynarza i jego ludzi, nic ci się nie stanie. W przeciwnym razie będziesz zmuszony wymienić twych więźniów na trzech moich zakładników.

Z.

Don Carlo przeczytał list za jego plecami. Don Alvarez zmiął wściekle kartkę i zawołał:

- W moim pałacu są zdrajcy, którzy porozumiewają się z Zorzą. Inaczej nie mogę wytłumaczyć sobie tej okoliczności, że znajduję jego list w białym dzień, tuż naprzeciw mego gabinetu!

- Rozkaż, gubernatorze, a zaaresztuję całą służbę pałacową!... - zaproponował gorliwy żandarm.

Don Alvarez potrząsnął przecząco głową:

- To nie zda się na nic! - rzekł. -- Zorro pozwala sobie zbyt wiele, ufny w swą zręczność, ale nigdy nie ośmielił się nastawać na moją osobę!...

W tym samym czasie Zefirio, Porfirio i Malibrán wracali do domu.

- Co ja jej powiem? - biadał grubas. - Ona straci szacunek dla mnie!...

Zjawili się w domu późną nocą i po spożyciu kolacji udali się do swych pokoi.

Księżyc w nowiu wyjrzał spoza chmur. Gdzieś w pobliżu zaszczekały psy, lecz wkrótce umilkły.

Przez otwartą równinę posuwał się szybko cień ludzki. Dopadł do lasu. Pomimo panujących ciemności gnał pomiędzy drzewami ze zręcznością kota, unikając przeszkód, przeskakując przez zwalone pnie drzew. Zdawało się, że nie zna zmęczenia. Biegł nie zatrzymując się ani na chwilę i wreszcie wyłonił się z przeciwległej strony lasu. Tutaj wznosiły się skały. Cień zginął pomiędzy nimi i sobie tylko znaną drogą zaczął się wspinać stromą ścieżką.

Dotarł wreszcie do grotty i cicho gwizdnął. W głębi pieczary coś się poruszyło. Rozległo się końskie rżenie, po czym w wejściu ukazał się siwowłosy starzec prowadzący czarnego rumaka.

- Witam cię, senor Zorro! - rzekł starzec. - Pistolety oczyszczone, szpada naostrzona, a bicz, jak zwykle, zwinięty u siodła.

- Dobrze! - odrzekł Zorro, wskakując na konia. - Przygotuj miejsce dla trzech jeńców!...

Z tymi słowami skierował konia na ścieżkę i zaczął zjeżdżać na dół.

Niebawem gnał przez las, kierując się na wschód. Wbrew swemu zwyczajowi nie śpiewał ani też nie pokrzykiwał wesoło. Milczał. Jego rumak, który mknął jak strzała, ledwie dotykając ziemi kopytami, wyglądał wraz ze swym jeźdźcem jak jakaś nocna zjawia.

W oddali zarysowała się na tle ciemnego nieba sylwetka młyna. Zorro osadził konia i poklepał go po szyi. Zwierzę położyło się na trawie. A sam w kilku susach dopadł do młyna i obiegł go dokoła. W jednym z okien płonęło światło. Wspiął się zwinnie po ścianie i zajrzał do wnętrza. Ujrzał tam Marquitę, która modliła się przed obrazem Matki Boskiej.

Uspokojony tym widokiem ześlizgnął się na ziemię i powrócił do swego konia. A po chwili pędził w kierunku południowym.

Noc miała się ku końcowi. Brzeżek horyzontu na wschodzie zaczął się rozjaśniać...

Zorro galopował drogą biegnącą wśród lasu. W pewnym momencie droga zwężyła się na zakręcie. Koń stanął jak wryty. Jeździec w masce zeskoczył i zaprowadził swego rumaka w gęstwinę. Poklepał go po szyi. Wytresowane zwierzę położyło się na ziemi.

Jeździec w masce powrócił na drogę i wspiął się na przydrożne drzewo. Usiadł na grubym konarze. Gęste listowie zakrywało go zupełnie, tak że najwprawniejsze oko z trudem wykryłoby jego obecność.

Noc ustępowała. Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Ale była to cisza pełna naprężonego

wyczekiwania.

Wreszcie na widnokręgu wystrzeliły pierwsze, czerwone promienie wschodzącego słońca i jednocześnie w oddali dał się słyszeć tętent.

Zamaskowany mężczyzna sprężył się cały, podobny w tej chwili do rysia szykującego się do skoku z drzewa. Podobieństwo było tym większe, że poprzez otwory w masce świeciły się oczy jak dwa rozżarzone węgle.

Tętent kilku galopujących koni stawał się coraz wyraźniejszy. Zorro nie mógł na razie dojrzeć jeźdźców, gdyż drzewo, na którym się zaczął, znajdowało się tuż za zakrętem drogi.

Wreszcie wyłonił się pierwszy jeździec. Odwrócił się w tej samej chwili na siodle i zawołał niecierpliwie w stronę tych, którzy pozostali daleko w tyle:

- Śpieszcie się, niedołęgi!... W ten sposób nie zajedziemy do młyna i za tydzień!

Był to Sebastiano we własnej osobie. Poczciwy hacjendero prowadził swych zbirów do młyna, a cel tej porannej wyprawy był oczywisty. Chodziło mu o Marquité, która po zaarrestowaniu jej ojca, pozostała zupełnie sama w młynie.

- Prędzej, prędzej, carramba! - wołał do swych ludzi znajdujących się jeszcze poza zakrętem drogi.

Galopując znalazł się pod drzewem, na którym zaczął się zamaskowany mężczyzna.

Dalsza akcja potoczyła się z szybkością błyskawicy.

Zorro uczeplił się konarowi nogami i zwieszając się głową na dół, chwycił galopującego pod nim Sebastiana. Jedno krótkie, lecz silne szarpnięcie, a koń pobiegł dalej bez jeźdźcy. Zorro trzymał szlachcica w swych stalowych kleszczach. Po chwili rozbijał go i cisnął w głąb lasu. W następnej sekundzie zeskoczył z drzewa i był już przy nim.

- Ani słowa - syknął ściskając go za gardło. Porwał don Sebastiana z ziemi i zaniósł w stronę, gdzie znajdował się jego rumak.

Cała ta scena trwała zaledwie kilkanaście sekund i odbyła się w absolutnej ciszy, jeśli nie brać pod uwagę trzasku suchych gałęzi pod ciężarem hacjendera..

Nietrudno wyobrazić sobie zdumienie i przerażenie pozostałych konnych, kiedy wymijając zakręt, ujrzeli galopującego po drodze konia bez jeźdźcy. Zaczęli nawoływać, szukając go jednocześnie w okolicznych zaroślach.

Ale don Sebastiano znikł bez śladu.

Jeźdźcy skupili się i odbyli naradę, po czym z minami obitych psów udali się w powrotną drogę.

Drugi i trzeci jeniec

Wieść o zagadkowym zniknięciu don Sebastiana rozeszła się lotem błyskawicy.

Don Alvarez wezwał don Carla Cevennę do siebie.

- Zorro spełnił swoją groźbę - rzekł gryząc paznokcie z wściekłością. - Musimy zastosować jakiś odwet!...

- Wiem, co masz na myśli, gubernatorze - odparł żandarm. - Nie pozostaje nam nic innego, jak uwięzić również i córkę młynarza!...

- Właśnie! - przytaknął don Alvarez. - Pokażemy mu, że nie ulękliśmy się go! Liczę na ciebie, pułkowniku, że wykonasz swe zadanie jak należy.

Tego samego dnia don Carlo wyruszył w drogę na czele silnego oddziału.

Żandarmi przybyli do młyna o zmroku. Don Carlo rozstawił swych, ludzi dokoła, a sam zapukał do drzwi.

- Kto tam? - rozległ się głos Marquity.

- To ja, pułkownik don Carlo Cevenna. Otwórz seniorito...

Przybyłem w pewnej, bardzo ważnej sprawie.

- W tej chwili - odpowiedziała Marquita. - Tylko odsunę rygle.

Rozległ się zgrzyt odsuwanych żelaznych sztab. Drzwi uchyliły się.

- Zaczekajcie tutaj na mnie - zwrócił się don Carlo do swych ludzi. By uwięzić dziewczynę, nie potrzebował pomocy.

Ledwie jednak zagłębił się w ciemną czeluść przedsionka, gdy poczuł nagle parę silnych, męskich

rąk, które ujęły go za szyję i zaczęły dusić.

Drzwi zamknęły się za nim. Po chwili jednak otworzyły się ponownie.

- Hej, tam, który! - rozległ się wśród ciemności głos przypominający do złudzenia głos don Carla. - Zbliź no się!...

Wachmistrz żandarmerii zbliżył się do drzwi, nie mógł jednak wśród ciemności widzieć wyraźnie don Carla.

- Nie jesteście mi na razie potrzebni - mówił domniemany pułkownik. - Postanowiłem pozostać tutaj na noc. Zawróćcie nie zwlekając do Saragossy i wręczcie tę kartkę gubernatorowi!

- Rozkaz, pułkowniku!

Wachmistrz zwołał ludzi i cały oddział pogalopował z powrotem do Saragossy. Ludzie uśmiechali się, a wachmistrz mruczał:

- No, no, ten pułkownik, kto by pomyślał... a przecież jego żona, donna Anita, jest wcale piękną kobietą!...

Podkręcił węża i pomyślał:

- Trzeba będzie kiedyś złożyć wizytę tej młynarzównie.

Don Alvarez zdumiał się niezmiernie, gdy przeczytał śpiesznie skreśloną kartkę następującej treści:

Drogi gubernatorze!... Spotkała mnie niezwykła przygoda. Nigdy bym się tego nie spodziewał. Nie jestem jednak egoistą i wiem, że należy dzielić dołę i niedołę ze swym zwierzchnikiem. Toteż byłbym rad, gdybyś nie zwlekając przybył incognito do młyna. Najlepiej o zmroku. Poza tym proszę cię, gubernatorze, o zachowanie tajemnicy, szczególnie przed mą żoną.

Carlo Cevenna

Don Alvarez wezwał wachmistrza i kazał mu zrelacjonować okoliczności, w jakich otrzymał tę kartkę.

Wachmistrz wykonał rozkaz, nie przestając uśmiechać się pod wąsem, a gdy odszedł, don Alvarez uśmiechał się również i szeptał:

- No, no, nigdy bym się tego nie spodziewał po córce młynarza. Nie darmo przysłowie mówi, że w każdej kobiecie diabeł siedzi... Muszę jednak przekonać się naocznie, zanim uwierzę w powodzenie don Carla!...

Nie zwlekając wyruszył w drogę eskortowany przez żandarmów i zgodnie z poleceniem don Carla przybył do młyna o zmroku następnego dnia.

W oknie na pierwszym piętrze płonęło światło i rozległ się srebrzysty śpiew Marquity.

- He, he! - zaśmiał się don Alvarez. - Ten nicpoń wesoło spędza czas w młynie. Niech mnie pioruny biją, jeśli dziś jeszcze nie zajmę jego miejsca!...

Głównią szabli zastukał do drzwi. Śpiew umilkł i światło zgasło. Za drzwiami rozległ się tupot małych nóżek i srebrzysty głos zapytał:

- Kto tam?

- To ja, don Alvarez! Otwórz ślicznotko, chciałem pomówić z don Carlem Cevenną.

- W tej chwili! - rygle zazgrzytały i drzwi uchyliły się. - He, he! - śmiał się don Alvarez przestępując próg.

W następnej jednak sekundzie śmiech zamarł mu w gardle, zduszony stalowymi kleszczami.

- No i cóż, czy nie nadzwyczajna przygoda? - rozległ się nad jego uchem przyciszony głos Zorry. - Marquito, zamknij i zarygluj drzwi!

Żandarmi długo czekali na swego dowódcę, a gdy nie powracał, wachmistrz mruknął:

- Ta młynarzówna jest okropna. Każdy mężczyzna, który wszedł do młyna, to jakby wpadł w studnię bez dna!...

A tymczasem tylnym wyjściem Zorro wynosił cichaczem skrepowane ciało don Alvareza.

Grota w górach gościła trzech zakładników: Don Alvareza, don Carla i don Sebastiana.

Znajdowali się oni tak długo w gościnie u Zorry, aż wreszcie don Alvarez podpisał formalny rozkaz uwolnienia młynarza i jego ludzi oraz przyrzekł pozostawić ich w spokoju.

Don Alvarez i don Carlo zostali uwolnieni. Pozostał tylko don Sebastiano, któremu Zorro przez dłuższy czas sumiennie wybijał z głowy nieodpowiednią miłość do Marquity. Ale i tym razem postawionemu sobie zadaniu sprostał całkowicie: od chwili bowiem odzyskania wolności don Sebastiano unikał dziewczyny jak ognia.

Królestwo Zorry

Marszałek Serrano, który po upadku Izabelli II miał się stać wszechwładnym regentem Hiszpanii, posiadał rozległe dobra w okolicy miasta Tudeli oraz słynął z nieugiętego charakteru, żelaznej energii, wielkich bogactw tudzież... pięknej córki Juany.

Piękna Juanita odziedziczyła wiele cech swego ojca. Była odważna, nieugięta, uparta, poza tym żywiła pogardę dla rodzaju męskiego.

Większą część roku Juana spędzała w Paryżu u swej ciotki, wielkiej dziwaczki, która nikogo nie uznawała poza swą siostrzenicą. Na zimę powracała do Madrytu i tutaj od razu wpadała w wir zabaw i uciech świątecznych.'

Krażyły legendy o tej pannie niezwyklej urody, dumnej, samowolnej i kapryśnej.

Podobno w Paryżu z jej powodu odbyło się kilka pojedynków i popełniono dwa samobójstwa. W Madrycie nie było młodzieńca z wyższej sfery, który by nie kochał się na zabój w przecudnej córce marszałka.

Gdziekolwiek się ruszyła, ciągnął się za nią sznur fanatycznych wielbicieli, gotowych uczynić wszystko na jedno jej skinienie, dla łaskawszego spojrzenia lub uśmiechu.

Lecz seniorita Juana, w odróżnieniu od innych pięknych kobiet adorowanych przez mężczyzn, nie odczuwała najmniejszej potrzeby obecności licznej świty wielbicieli. Dumna władczyni męskich serc nie chciała wcale mieć poddanych. Dawała im to odczuć na każdym kroku, lecz wszystkie uszczypliwe uwagi, wychodzące z pięknych, ukarminowanych usteczek, nabierały takiego wdzięku, że jej wierni rycerze wzdychali jeszcze mocniej do księżycy i struny gitar częściej pękały od namiętnych akordów pod jej oknem.

W rozległych dobrach marszałka nigdy nie widziano Juany. Dzieląc swój czas pomiędzy Paryżem i Madrytem, seniorita nie pomyślała nigdy dotąd o posiadłościach wiejskich swego ojca. Toteż marszałek zdziwił się bardzo, gdy pewnego poranku córka oświadczyła mu, iż zmęczona życiem wielkoświatowym, pragnie wypoczynku w wiejskim zaciszu.

- Ależ, moje dziecko, pomyśl tylko, przy twych osiemnastu latach...

- Czuję się tak, jakbym miała pięćdziesiąt, ojczu! Ta zgraja błaznów, która mnie otacza, wywołuje we mnie mdłości. Bale, maskarady, kiermasze, tańce, wieczne tańce i flirt... Ach, nie! Mam tego dosyć. Jędę do Francji, zaszyję się w Normandii nad brzegiem morza, w jakiejś wiosce rybackiej!...

- Moje drogie dziecko, po co szukać zacisza aż w Normandii. Jedź do naszych posiadłości pod Tudelą. Masz tam zamek, pałac, willę, gaje oliwne, palmy, rzeczkę, rozległy widok na góry i tysiące innych cudów...

- I wszystko to należy do nas?

- Wszystko prócz gór na widnokręgu. .

- Postanowione więc, padro!*(* Ojczu!) Twoja córka wyrusza do Tudeli.

Tutaj Juana westchnęła:.

- Ach, żeby tak uciec, by żaden z mych znajomych ani przyjaciół nie wiedział, gdzie się podziałam!

Marszałek roześmiał się i położył rękę na ramieniu córki.

- Dziwna z ciebie dziewczyna - rzekł. - Nienawidzisz mężczyzn a pomyśl, że w końcu będziesz musiała któregoś pokochać, nie pozostaniesz przecież starą panną'

- Chciałabym nią zostać - odparła z westchnieniem Juana. - Ani w Paryżu, ani w Madrycie nie napotkałam mężczyzny, który by zmusił me serce do żywszego bicia... - Przerwała na sekundę. Jakieś wspomnienie ożyło w niej, gdyż zawołała: - Przepraszam, ojczu, skłamałam. Przed rokiem ujrzałam pewnego mężczyznę, którego gotowa byłam pokochać. Człowiek ten był wysoko postawiony, a gdy na niego patrzyłam, serce biło mi szybciej niż zazwyczaj.

- Tak? - zapytał marszałek i zdumiony spojrzał na córkę. - Czyżby istniał na świecie mężczyzna,

który wzbudził w tobie żywsze zainteresowanie? Mężczyzna wysoko postawiony?

- Tak!
- Księżę panujący czy zgoła król?
- Nie! Kominiarz!
- Cooo?

- Obserwowałam go w Paryżu, gdy wędrował po skraju dachu! Serce mi żywiej zabiło, bo poślizgnął się i omal nie spadł!

Marszałek wybuchnął głośnym śmiechem. Juana mu wtórowała.

Nazajutrz wyruszyły do Tudeli cztery karoce. Pierwszą karocą jechała donna Juana z ojcem, w następnych zaś służba oraz bagaże. Nie zdążyli jednak zbyt daleko oddalić się od Madrytu, gdy doгнаła ich poszóstna karoca.

Juana wyjrzała przez okno i rzuciła się z westchnieniem na poduszki powozu...

- Moi satelici - rzekła wzdychając. - Nie odcepnię się od nich chyba nigdy!
- Wyjdiesz za mąż i będziesz miała spokój - odparł marszałek.
- O nie, co to, to nie! Już wolę mych wielbicieli!

Powozy marszałka Serrany mijaly Saragossę.

- To dziwne! - odezwała się Juana. - W prowincji Saragossy i Huesco więcej napotyka się wojskowych i żandarmów niż cywilnych. Co się tu dzieje? Wygląda to na stan wojenny. Twarze żołnierzy są skupione, wymijając zaglądnają do naszej karety z miną najgorszych zbrodniarzy.

Marszałek nie zdążył odpowiedzieć. Z zakrętu wyłonił się liczny oddział żandarmów. Oficer przygalopował do karety, zasalutował i zapytał:

- Czy jego ekscelencja, marszałek don Serrano?

- Tak, to ja!

- Mam rozkaz gubernatora Aragonii, by towarzyszyć karetom aż do posiadłości marszałka!

- Jak to? Mam jechać pod eskortą żandarmów?

- Tak jest, ekscelencjo!

- To jest zupełnie zbyteczne! Czy nie widzisz, kapitanie, tych walecznych, młodych ludzi, którzy otaczają naszą karocę? Żaden bandycki napad nie grozi nam pod ich opieką!

- Mniejsza o bandytów, ekscelencjo! - zawołał oficer. - Chodzi o Zorrę!

- Ach tak, rzeczywiście! - szepnął marszałek, jakby na poły przekonany. - Zorro to co innego! Lecz nawet w wypadku, gdy zostaniemy napadnięci przez Zorrę, również i wasza eskorta niezbyt nam się przyda!

- Ekscelencjo!...

- Wiem dobrze, co mówię! - rzekł Serrano. - Nie potrzebujemy żadnej eskorty. Zaniesiesz, kapitanie, nasze podziękowanie gubernatorowi i powiesz, że marszałek Serrano nie życzył sobie strażników!

- Oficer zasalutował, z żalem spojrział na piękną Juane, po czym niechętnie i ociągając się znikł z oczu podróżnym wraz ze swymi żandarmami.

- Kto to jest ten Zorro? - zapytała Juana. - Szef niebezpiecznych rozbójników?

- Nie, moje dziecko! Zorro to rabuś, który chadza własnymi drogami. Nigdy nie występuje w towarzystwie, zawsze działa sam jeden!

- Jak wygląda?

- Licho go tam wie! Twarz ma zasłoniętą czarną maską, jest niesłychanie bezczelny, do tego stopnia, że aż pewnego razu poważył się zakraść do sypialni królowej!

- Ach!...

- Ma jedną szczególną manię. Nigdy nie tknie prywatnych pieniędzy. Zawsze napada na transporty rządowe lub na sekwestratorów podatkowych don Alvaręza. O, z tymi, jeśli natrafią na Zorrę, to już zupełnie źle!

- Co z nimi robi? Zabija ich?

- Nie, moja Juano! Nie zabija: lecz zabiera im wszystko, smaga batem, wypisuje znak „Z” na policzku i puszcza wolno!

- To okropne! Wypisuje literę „Z”?

- Nie inaczej! Poprzedni wielkorządca, stary Carwalho, nie mógł podołać temu bandycie. Pułkownik don Alvarez miał być tym mężem opatrnościowym i unieszkodliwić go. Niestety i on również w ciągu kilku miesięcy obnosił na policzku literę „Z”!

- Czy ludność Aragonii nie mogłaby wydać Zorry, oczywiście za nagrodą?

- Aragończycy? - roześmiał się don Serrano. - Juano, czy ty wiesz, co mówisz? Oni mieliby wydać swego bohatera, który rozsypuje hojną garścią złoto pomiędzy biednymi? Ten zamaskowany rabuś nie zatrzymuje ani grosza dla siebie, wszystko rozdaje. Czyn piękny, lecz pachnie szubienicą, gdyż w ten sposób rodzi się anarchia. Jeden jedyny człowiek wystawia na pośmiewisko instytucje królewskie, przerywa dopływ pieniędzy do państwowego skarbcza, powoduje zamęt i chaos. Podoba mi się ten śmiały do szaleństwa junak, lecz ja sam powiesiłbym go na pierwszym drzewie, gdybym go dostał w swe ręce!...

Juana milczała. Po chwili odezwała się spokojnie, spoglądając przez okno karocy:

- I dobrze byś uczynił, ojczu! Patrz, tam w oddali na pagórku, zdaje się, iż ten właśnie Zorro, o którym mówiłeś, wypróżnia sakwy podróжных!

Don Serrano zerwał się ze swego miejsca jak oparzony.

- Gdzie? Gdzie? - zawołał.

Jeden z urzędników siedział na ziemi, trzymając się za policzek, na którym wyryte zostały trzy krwawiące pręgi w kształcie „Z”. Mundur wisiał na nim w strzępach. Trzej inni stali rzędem z rękami wzniesionymi do góry. Zorro stał przed nimi, oparty niedbale o siodło swego konia, i prawil kazanie:

- Rozumiem, gdy ktoś dla kawałka chleba zgadza się być katem, wykonawcą najwyższej kary. Kogo ścina taki kat, łamie kołem lub wiesza? Wielokrotnego mordercę i zbrodniarza, bez czci i wiary! Jak jednak nazwać takiego człowieka, który dla nędznego wynagrodzenia odbiera ostatni grosz biedakowi, skazując jego żonę i dzieci na śmierć głodową? Ja nazwać takiego łajdaka, który zabiera ostatnie ciele, kożę żywicielkę lub narzędzie pracy? Komisarz królewski! Z czyjego czyni to rozkazu? Z rozkazu gubernatora, który jest zwyczajnym złodziejem. I dobrze wie, że przesiąkłe krwią, potem i łzami pieniądze nie dojdą w całości do królewskiego skarbcza. Dobrze wie, że te pieniądze są rozkradane w drodze do Madrytu. Pomimo to dla marnej pensji miesięcznej i błyszczącego munduru nie baczy na jęki, płacz i nędzę swych ofiar. Pod pokrywką obowiązku uprawia swój nieczny proceder...

Wtem urwał i spojrzał na drogę.

W odległości mniej więcej pięciuset kroków ciągnęły gościńcem cztery karoce podróжные. Obok galopowali eleganccy jeźdźcy. Następnie z zakrętu wyłoniły się znów karoce. Zorro naliczył ich jedenaście.

- A to co za orszak ślubny? - zdziwił się Zorro. - Co to za goście w tej bezludnej okolicy?

Jednym skokiem znalazł się w siodle, sprawdził, czy worek srebra, odebrany komisarzom, dobrze został przymocowany, zwinął bicz w kółko i skierował konia w stronę jadących. Milcząc przemknął obok powozów, uważnie wpatrując się w podróжных. Gdy zrównał się z ostatnim pojazdem, zawrócił i pognął w stronę karocy jadącej na czele.

- Witam cię, senor Serrano! - rozległ się jego metaliczny głos. - Mam zaszczyt powitać cię w naszej prowincji!

- Znasz mnie, senor? - zapytał marszałek.

- Kto by nie znał najdzielniejszego człowieka Hiszpanii! - zawołał Zorro, posuwając się obok powozu. - Człowieka, który tyle dobrego zrobił dla ojczyzny!

Don Serrano nie był pewny, czy w głosie Zorry brzmiało uznanie czy też ukryta ironia. Na wszelki wypadek rzekł z przekąsem:

- Tego nie mógłbym powiedzieć o tobie, senor Zorro!

- Każdy z nas wykonuje swój obowiązek, jak potrafi - odparł Zorro, odsłaniając białe zęby w beztróskim uśmiechu_

Podczas gdy obaj rozmawiali z sobą, senorita Juana z zaciekawieniem przyglądała się zamaskowanemu rycerzowi szerokich dróg: jedwabna maska, jedwabna materia otulająca głowę, długi bicz u siodła, rapier u boku i pistolet. Teatralny fanfaron, pomyślała. Stawia na efekt... Wszystko czarne: koń, maska, ubiór, a nawet zawój na głowie! Że też ludzie go się obawiają!...

Przyzwyczajona była do delikatnych postaci dworskich elegantów, toteż tajemniczy Zorro nie wywarł na niej najmniejszego wrażenia.

Niedawno przybyła z Paryża i niewiele wiedziała o jego wyczynach. W jej oczach był to przeciętny awanturnik, który dzięki swemu tupetowi zyskał sławę niepokonanego i zawdzięcza swą bezkarność tchórzostwu, niezaradności miejscowych władz oraz współnictwu i sympatii ludności.

Korzystając, iż Zorro nie zwrócił na nią uwagi, wychyliła się przez drugie okno karocy. Ujrzała swych dwóch wielbicieli, którzy jechali konno, nieco w tyle. Przywołała ich nieznacznym ruchem ręki.

- Senores – szepnęła - czy wiecie, kto jest ten zamaskowany, który rozmawia z mym ojcem?

- Nie! - brzmiała odpowiedź. - Zastanawiamy się właśnie, co ma oznaczać ta maskarada?

- To jest Zorro! Słyszeliście o nim?

- Och!... - Jeźdźcy spięli swe konie, lecz ten odruch przestrachu uszedł uwagi seniority.

- Jest was tu ośmiu, najdzielniejszych caballeros Hiszpanii - rzekła. - Czy nie zajmiecie się nim?

Jedno słowo seniority wystarczyło. Zawrócili konie i przyłączyli się do reszty młodych ludzi.

Zorro spokojnie jechał obok karocy marszałka, prowadząc z nim rozmowę. Zdawałoby się, że wcale nie dostrzegł manewru ośmiu jeźdźców za jego plecami. Przyglądał się z zachwytem obliczu cudnej seniority. Juana widziała ciemne oczy wpatrzone w nią uporczywie i ogarnął ją niepokój.

To co się dalej działo, było zgoła nieprzewidziane. Huknął wystrzał. Zorro schylił się i chwycił bicz tak błyskawicznym ruchem, że zanim marszałek i Juana zdążyli cokolwiek zauważyć, rzemień przeciął powietrze i rozległy się jęki.

Ojciec i córka wyjrzeni przez okno karocy. Zorro stał nie opodal w strzemionach i śmiał się. Juana po raz pierwszy w życiu słyszała taki śmiech. Brzmiało w nim tyle radości życia, tyle beztrudnej uciechy i rozkosz walki, że Juanę mimo woli przeszedł dziwny dreszcz.

A Zorro pracował swym biczem. Ten, który doń strzelił i chybił, leżał w piasku skręcając się z bólu. Do niego dołączyli dwaj inni, ściągnięci z siodła rzemieniem z bawolej skóry.

Pięciu jeźdźców uwijało się dookoła Zorry, który - podobny do rysia osaczonego przez ogarów - śmiał się głośno z ich wysiłków i rozdawał razy na prawo i na lewo.

- Dlaczego bronisz się biczem jak poganiacz wołów? - zawołał jeden z napastników. - Walcz tak jak my, szpada!

Zorro mógł odpowiedzieć, iż mając sam jeden pięciu przeciwników, może bronić się, jak mu się podoba. Odpowiedział jednak krótko:

- Chciałem przedłużyć zabawę!

Wyciągnął swą szpadę, zawiesił bicz u siodła i po raz pierwszy zaatakował wołając:

- Trzymajcie się dobrze, senores! Chcieliście tego!

Marszałek i Juana zrozumieli teraz, iż dotychczas to była igraszka. Zdawało im się, że widzą samego szatana w ludzkim ciele.

Zorro i jego koń zdawali się potrajać. Koń rzucał się jak oszalały na wszystkie strony, a Zorro rozdawał sztychy i cięcia. Trudno było uchwycić okiem ruchy jego szpady, widziało się rezultat.

Caballeros krwawili. Czterej byli już naznaczeni szpadą Zorry. Każdy z nich miał na policzku krwawiący znak „Z”.

Przyszła kolej na piątego jeźdźcę. I on również otrzymał trzy szybkie cięcia końcem szpady i litera „Z” zaczęła krwawić na policzku.

- A teraz, moi senores, po naznaczeniu was wszystkich mym monogramem - zawołał donośnie Zorro - muszę was ukarać za to, iż w sposób niegodny postępujecie ze swymi przeciwnikami. Nie strzela się w plecy i nie atakuje się w osiem osób jednego przeciwnika.

Odczepił bicz i zaczął rozdawać razy na wszystkie strony.

- Ojczy, ojczy! - jęknęła Juana drżąc cała. - Czy pozwolisz, by ten rozbójnik poniewierał kwiat szlachty hiszpańskiej?

- Cóż mam począć, moje dziecko? - zapytał don Serrano. - Czy mam wyleźć z karety i dać się osmagać?

- Zastrzel go, zastrzel, ojczy! - zawołała Juana.

Don Serrano wyciągnął pistolet z kieszeni i wycelował w Zorrę, który w tej samej chwili ściągnął ostatniego przeciwnika z siodła.

Marszałek nie zdążył jednak wystrzelić.

Niby rozpalone żelazo koniec rzemienia owinął się dookoła jego dłoni. Don Serrano syknął i

wypuścił pistolet, który upadł poza karocą. Jednak błyskawicznie sięgnął po drugi, ale Zorro też nie próżnował. Jedno pociągnięcie - koń jego znalazł się obok karocy. Jeździec w masce nachylił się, wsadził rękę przez okno, ujął don Serrana za kołnierz, jednym mocnym szarpnięciem wywłókł go z karety i rzucił na ziemię, mówiąc:

- Racz mi wybaczyć, senor, że tak postąpiłem z tobą, nie bacząc na twe stanowisko i rangę. Niestety, swym postępowaniem zmusiłeś mnie do tego. Nie żywiłem złych zamiarów wobec ciebie, dlaczego chciałeś mnie zgładzić?

W tonie jego słów, zamiast zwykłej ironii, zabrzmiał gniew, gdy zawołał:

- A teraz na ciebie kolej, okrutna seniorito. Patrz na swe dzieło. Oto twoi hidalgowie tarzają się w piachu i krwi. Patrz na swego czcigodnego rodzica, którego považam, a jednak zmuszony byłem rzucić go w pył przydrożny. Wszystko to twoja sprawa, piękna donno, która okazałaś się zwykłą, głupią gęsią! Wylaż z karety, żywo!

Juana, blada jak płótno, znieruchomiła i zaniemówiła. Po raz pierwszy w życiu zwracano się do niej w podobnie brutalny sposób. Wszystko co odbywało się przed chwilą przed jej oczami, było tak niewiarygodne, rozegrało się tak szybko, że zdawało się Juanie, iż jest to sen.

- Wychodź z karety, seniorito - rozległ się groźny okrzyk Zorry i Juana bezwiednie usłuchała.

Zaledwie postawiła nogę na ziemi, a już para silnych rąk uniosła ją w górę i posadziła na siodle.

Mężczyźni, pomimo swych ran, porwali za broń.

Don Serrano rzucił się w stronę konia Zorry. Lecz było już za późno. Porywacz, trzymając Juanę na siodle przed sobą, spiął konia ostrogami i pomknął naprzód.

Nagle kule zaczęły świstać koło uszu Zorry. Daleko w tyle niósł się potężny krzyk z licznych piersi. Za uciekającymi pędził oddział żandarmerii dowodzony przez kapitana, którego usługi odrzucił ze wzgardą don Serrano.

- Poddaj się, Zorro! - ryczeli ludzie. - Mamy cię, nie wymkniesz się! Stój, stój... strzelamy.

Zorro nachylił się nieco i mruknął jakieś niezrozumiałe słowo do swego konia. Szlachetne zwierzę położyło uszy na karku i pomimo podwójnego ciężaru wyciągnęło się jak struna w galopie. Rumak po prostu pożerał przestrzeń, ledwie dotykając ziemi kopytami. .

Pagórki, krzaki, głązy, wszystko migało przed oczami Juany. Powietrze świszczowało koło uszu i zapierało dech w piersiach. Dziewczyna ze zdumieniem stwierdziła, iż zamiast gniewu i przerażenia, doznaje dziwnego uczucia rozkoszy.

Prześladowcy maleli w oddaleniu. Rumak Zorry kluczył teraz pomiędzy skałami. Znajdowali się w okolicy piaszczystej, usianej głązami i spalonej żarem słonecznym.

Porywacz obejrzał się, skonstatował, iż pościg znikł z widnokręgu i puścił konia stępa. Niebawem zatrzymał się przed wejściem do wąwozu i zsadził senioritę z siodła.

- Co zamierzasz uczynić, senor? - zapytała Juana, stając na ziemi. - Czy chcesz mnie również osmagać?

Zorro nic nie odpowiedział, wskoczył na konia i pognął wzdłuż wąwozu, pozostawiając Juanę samą na tym pustkowiu. Po chwili znikł jej z oczu.

Łzy zabłyśły w oczach dumnej panny, zacisnęła pięści ze złości. Taki straszny afront. Porwał ją ojcu, wywiózł na pustkowie i pozostawił nie obdarzając ani jednym słowem, ani najmniejszym spojrzeniem. Co za bezczelny opryszek.

Juana ruszyła z powrotem. Szła dość długo, męczona pragnieniem i znużona niezwykle dla niej wysiłkiem. Po upływie niecałej godziny nogi ją bolały, w głowie huczało i przed oczami latały czarne płatki. Usiadła więc na przydrożnym kamieniu i w tej właśnie chwili natrafił na nią głupi Zefirio.

Jednocześnie w oddali ukazały się postacie jeźdźców. Był to oddział żandarmów, którzy stracili Zorrę z oczu i ciągnęli w kierunku północnym.

Powodzenie Zefiria

Młodzieniec dźwigał drewnianą skrzynkę na rzemieniu przerzuconym przez ramię. Sądząc z jego wysiłku, skrzynka musiała być dość ciężka.

Zaledwie wyszedł zza skały, nachylił się, by podnieść z ziemi jakiś kamyczek. Wtem wzrok jego

padł na Juane. Z okrzykiem zdumienia wypuścił ramię z ręki. Skrzynka upadła na ziemię i wysypały się z niej różnorodne kamienie. Rzucił się do zbierania swoich skarbów, zapominając o siedzącej nie opodal dziewczynie.

Juana ze zdziwieniem przyglądała się tej czynności. Dziwny młody mężczyzna, pomyślała. Bardziej obchodzi go jakieś kamuszki niż samotna kobieta na tym pustkowiu!

- Senior! - zwróciła się donna Juana do młodzieńca, który kończył zbierać kamyki. - Czy masz silne płuca?

- Czy mam silne płuca?.. Jak Ares, Stentor i Boreasz razem wzięci, seniorito!

- A więc wydobądź z siebie tak silny głos, senior, by ludzie jadący tam w oddali nas usłyszeli.

Młodzieniec powstał bez pośpiechu, otrzepał odzienie, po czym przyłożył dłonie do ust i zaczął wołać. Niestety, pomimo zapewnień, głos jego daleko był słabszy od głosu Aresa, Stentora i Boreasza.

Daremnie Juana dopomagała mu, wymachując rękami, by zwrócić na siebie uwagę jeźdźców. Oddział znikł za pasmem skał, nie dostrzegając sygnałów ani nie słysząc nawoływań,

- Bardzo mi przykro, seniorito - rzekł. - Pomimo że krzyczałem tak głośno, że aż skały się trzęsły, ludzie ci pozostali głusi i niemi na me rozpaczliwe wołania!

Juana zniechęcona usiadła z powrotem na kamieniu.

- I cóż ja teraz pocznę? - rzekła. - Nie mogę ruszyć się z miejsca, tak mnie nogi bołą!

- Poniosę cię, seniorito! - zaproponował młodzieniec, lecz już w następnej chwili pożałował swej propozycji.

- Nie, to będzie niemożliwe - rzekł drapiąc się w głowę. - Mam skrzynię pełną cennych kamieni. Jestem co prawda silny fizycznie, lecz skrzynia jest niezwykle ciężka i nie uniósłbym dwóch ciężarów naraz.

Dziwny nieznajomy zaczął bawić Juane. Zapomniała na chwilę o zmęczeniu i pragnieniu.

- Więc skrzynię pozostaw tutaj, senior! - zaproponowała Juana.

- O, seniorito, nie mówisz chyba tego poważnie - przestraszył się. - To są próbki geologiczne. Czy wiesz co znaczy dla ludzkości geotektonika?

- Nie wiem nawet, co oznaczają te słowa!

- Geologia to nauka o budowie i dziejach skorupy ziemskiej, geotektonika zaś zajmuje się badaniem rozkładu skał na naszej planecie! Zbierając kamyki to tu, to tam, nie oszczędzając zdrowia ani czasu, przygotowuję naukową rozprawę pod tytułem „O rozkładzie skał, czyli geotektonika Aragonii poprzez epoki i ery geologiczne”. - Przybrał natchnioną pozę i mówił dalej: - Dzieło moje wywoła prawdziwą rewolucję w sferach naukowych. Udowodnię, że Hiszpania nie przechodziła epoki lodowej...

- To jest bardzo piękne - przerwała mu Juana. - Niestety, lód przywodzi mi na myśl orzeźwiająca, chłodną wodę. Od godziny dręczy mnie pragnienie, więc...

- Seniorito! - zawołał młody uczonec. - Masz prawo powiedzieć, iż jestem okrutnikiem i egoistą. Zaczekaj chwilę, a będziesz miała wody pod dostatkiem!

- Czyżbyś miał zamiar uderzyć różdżką czarodziejską w skały, podobnie jak uczynił Mojżesz na pustyni?

- Lepiej, seniorito, lepiej! Zaczekaj chwilę i dopilnuj zarazem mej skrzyni, albowiem jakiś rywal, zazdrosny o me przyszłe wawrzyny, może mi zwędzić te drogocenne okruchy granitu, bazaltu i piaskowca! Zaraz wrócę!

Juana pozostała sama. Lekki uśmiezek zjawił się na jej ustach. Przystojny młodzieniec - pomyślała. Lecz jakież dziwne! Pomimo to szalenie sympatyczny, a nawet pociągający! Jeśli odrzucić wszystkie te bzdury geo... geoli... nozyjne... hm!... Ciekawa jestem, kto to jest? Sądząc po ubiorze, nie jest to przyjezdny, lecz rodowity Aragończyk!

Rozmyślenia jej przerwał okrzyk młodego geologa:

- Hop, ruszaj się, przekłete bydle! Co za uparciuch! Hoo, hoo!...

Spoza skały ukazał się jej nowy znajomy, ciągnąc za sobą osiodłanego muła.

- Uff, uparte bydle! - sapał mężczyzna. - Gdybym nie wiedział, że to muł, uwierzyłbym, że jest to osioł.

To mówiąc odczepił od siodła wielkie naczynie z czerwonej glinki.

- Pij, seniorito - rzekł. - Woda jest chłodna dzięki specjalnej, afrykańskiej glince, z której ta amfora jest zrobiona!

- Mój Boże, senior! - zawołała Juana. - Dręczysz mnie dobre pół godziny na tej pustyni, nie wspominając ani jednym słowem o tym, że masz muła!

- Wybacz mi, o piękna seniorito! - zawołał młodzieniec, klękając na jedno kolano i błagalnie wznosząc ręce. - Wybacz mi, że jak każdy prawdziwy uczony jestem roztargniony!

Juana ugasiła pragnienie i wstała.

- Senior - rzekła. - Sądzę, iż odwieziesz mnie do domu! - Wszędzie, gdzie tylko zechcesz, seniorito! Choćby na antypody!

- To byłoby zbyt daleko! - roześmiała się Juana. - Na razie wystarczy, jeśli zawieziesz mnie do Chiarea!

- Zamek marszałka Serrano? - zawołał młodzieniec.

- Tak!

- Tam mieszkasz, seniorito?

- Tak!

- Dziwne! O ile mi wiadomo, nie mieszka tam żadna piękna kobieta! Co ty tam robisz, seniorito?

- Nie jestem piękną kobietą, więc mieszkam w Chiarea!

- Żartujesz, seniorito! W życiu nie widziałem piękniejszej od ciebie kobiety!

- Masz spaczony gust, senior! - odparła Juana, sadowiac się w siodle. - Doprawdy, przesadzasz. To samo mogłabym o tobie powiedzieć, a mianowicie, że nie widziałam w życiu przystojniejszego od ciebie mężczyzny. Lecz tego nigdy nie powiem, gdyż stałbyś się zarozumiały.

Młodzieniec zmieszał się i westchnął:

- O, piękna seniorito! Przed rokiem padłbym do twych stóp, błagając o litość dla mego cierpiącego serca. Dziś, niestety, słowa twe nie wbijają mnie w dumę, gdyż serce moje zostało zajęte!

- Czyżby? - zapytała Juana, poganiając muła. - Któż to jest ta szczęśliwa wybranka twego serca?

Młodzieniec kroczył obok, trzymając rękę na łęku siodła. Skrzynię z kamieniami umocował u boku zwierzęcia..

- Czy słyszałaś, seniorito, o księciu Ramido y Carvalho?

- Nie tylko słyszałam, lecz nawet znam go bardzo dobrze! - Więc znasz zapewne i piękną Dolores, jego siostrzenicę! - Czy ją znam? Ależ to jest moja najlepsza przyjaciółka z lat dziecińczych!

- Dobrze nieba! Pani jest przyjaciółką Dolores? -zawołał młodzieniec. - Co za szczęście! Więc powie jej pani, gdy ją zobaczy, że pomimo wszystko kocham jeszcze i pragnę ją poślubić!

Juana zaczęła się śmiać:

- Założę się, iż zgadłam kto jesteś, senior! Czy nie nazywasz się przypadkiem Zefirio Corti?

Młodzieniec stanął i szeroko otworzył usta ze zdumienia.

- Rzeczywiście - wyjąkał. - Skąd wiesz, seniorito?

- Jesteś ornitologiem, botanikiem i geologiem, a nazywają cię głupi Zefirio. Czy prawda?

- I to się zgadza, seniorito, choć zastrzegam się, że wbrew tej ostatniej nazwie, wcale nie jestem taki głupi!

- Nie miałam zamiaru cię obrazić, senior! Jestem zdania, że ci, co uważają cię za głupiego, są głupszi od ciebie!

Zefirio znów otworzył usta jak ryba łykająca wodę i z rosnącym zdumieniem przyglądał się pięknej senioricie. Podobnie pochlebne słowa słyszał po raz pierwszy w życiu.

- Hm... hm... Słusznie powiedziałaś, seniorito - rzekł po chwili milczenia. - Istotnie, uważam, iż jestem bardzo mądry, dowcipny, odważny i...

- I obrzydliwy komediant zarazem...

- Jak? Co? - nie zrozumiał Zefirio.

- Nic! Mów pan o Dolores!

Zefirio rzucił z ukosa spojrzenie na Juane.

- Dobrze! - rzekł z westchnieniem. - Mówmy o Dolores. Kocham ją nad życie, niestety, okrutna seniorita kocha innego, kocha tego zbrodniarza, łotra spod ciemnej gwiazdy. Ona, księżęca siostrzenica i hrabiowska córka! Nie, to jest nie do pomyślenia! Kochać się w człowieku wyjętym spod prawa, podczas gdy uczciwy, mądry, wykształcony caballero Zefirio Corti oddałby życie za jeden jej paluszek!

- Dziwne to co mówisz! Kto jest ów człowiek, którego pokochała ?

- Zorro!

- Co? Dolores kocha Zorrę? Czy widziała go bez maski?

- Nie, lecz kocha go za jego rzekomą brawurę i niby niezwykłą odwagę...

Tutaj Zefirio wydał pogardliwie usta:

- Odważny człowiek!... A kto ujął go i oddał w ręce władzy? Kogo obawia się Zorro? Mnie, tylko mnie, Zefiria Cortiego. A więc kto ma większą wartość, ja czy on? Lecz okrutna Dolores nic nie chce wiedzieć, płacze za Zorrą, tęskni za nim i to nas rozdziela i mnie od niej oddala!

Juana śmiała się, podczas gdy Zefirio rozpaczał.

Położyła rękę na jego ramieniu i nachyliła się nad nim. Muł powoli i obojętnie kroczył po drodze wśród rozpoczynających się kęp zieleni.

- Senor Zefirio - rzekła miękko. - Dolores jest głupia, wierz mi! Gdybym miała do wyboru między tobą i Zorrą, wybrałabym ciebie!

- O, bo nie znasz Zorry, seniorito!

- Znam go! Nie zapytałeś nawet, skąd się wzięłam na tym pustkowiu, sama jedna, daleko od ludzi!

- Istotnie, nie pomyślałem!

- Porwał mnie Zorro, przywiózł i pozostawił tam, gdzie mnie znalazłeś. Sądził, że mnie w ten sposób ukarze za podburzanie ludzi do walki. Galopowałam długi czas na jego siodle i...

- I co?

- To jest niezwykle człowiek, lecz ja wolałabym ciebie, senor Zefirio! ...

I zanim Zefirio zdążył odpowiedzieć, piękna Juana, pogardzająca rodzajem męskim, dumna i samowolna córka marszałka Serrany, pochyliła się i złożyła gorący pocałunek na ustach przerażonego młodzieńca.

Liścik Z zamku

W hacjendzie Anzelma Cortiego wszyscy już wiedzieli o przybyciu marszałka Serrany z córką do sąsiadującej z zachodniej strony posiadłości.

Wiedziała o tym okolica i cała okoliczna młodzież szlachecka zaczęła krążyć w pobliżu zamku Chiarea.

Wiedziano powszechnie o dumie i pysze donny Juany, lecz ta okoliczność jeszcze bardziej rozogniała wyobraźnię młodych, pełnych ognistej fantazji kawalerów.

Teraz, podobnie jak w Madrycie, ledwie księżyc ukazał się na firmamencie, okolice zamku zaczęły rozbrzmiewać dźwiękiem tęsknych serenad. Melancholijne postacie, owinięte w szerokie peleryny, wałęsały się z zapadnięciem nocy w pobliżu miejsca zamieszkania pięknej Juany.

Złe psy, spuszczone z łańcucha, krążyły dookoła wielkopańskiej siedziby i pod wpływem owych nocnych serenad wyły żałośnie do księżycy, nie dopuszczając jednak rozkochanych caballeros bliżej niż na pięćset kroków.

O tym mówiono pewnego pięknego popołudnia w patiu Anzelma Cortiego.

- Od czasu pojawienia się na zamku seniority Juany Serrano - mówił Anzelmo Corti - młodzieńcy okoliczni potracili głowy...

- Nic dziwnego - wtrąciła Mercedes - skoro się weźmie pod uwagę, iż Juanę poprzedziła opinia panny niezwykle bogatej, wykształconej, znanej na dworach Hiszpanii i Francji. Widziałam ją kiedyś w Madrycie, jest niebrzydka, lecz doprawdy, nie widzę w niej nic nadzwyczajnego.

Mercedes, jak każda piękna kobieta, nie bardzo lubiła, gdy w jej obecności rozmawiano z zajęciem o innej pięknej kobiecie. Prócz tego historia porwania Juany przez Zorrę, powtarzana w całej prowincji, napawała ją niepokojem. Zakochana w tajemniczym jeźdźcu, obawiała się rywalizacji Juany.

- Nie masz słuszności, moja droga narzeczono - odezwał się Zefirio. - Juana jest nie tylko piękną, lecz również niezwykle kobietą!

- Cóż ty możesz o tym wiedzieć, biedny Zefirio! - zawołała Mercedes z przekąsem. - Nie chcę cię upokarzać, lecz doprawdy ze wszystkich caballeros, którzy ubiegają się o jej względy, ty będziesz miał najmniej szans oglądania na własne oczy dumnej córki marszałka!

- O, Mercedes! - jęknął biedny Zefirio. - Jakżeż jesteś wobec mnie okrutna! Więc uważasz, iż

jestem tym ostatnim, który może się podobać? Zraniłaś serce me, kuzynko!

Rozmowę przerwało ukazanie się służącego:

- Senor Zefirio! - zawołał. - Przybył konny wysłannik z zamku Chiarea!

- Do mnie? - zapytał Zefirio.

- Tak! Przywiózł list od seniority Juany Serrano.

Gdyby grom strzelił w patio, nie uczyniłby większego wrażenia niż słowa służącego.

List donny Juany do Zefiria? Co to miało znaczyć? Zmieszany Zefirio rozerwał pachnącą kopertę i czytał.

Mercedes, najbardziej ze wszystkich zdumiona, siedząc obok niego, nie mogła powściągnąć swej ciekawości i przez ramię Zefiria zaczęła odczytywać pismo Juany. Oto czego się dowiedziała:

Kochany i niedobry chłopcze!

Sześć dni już minęło od naszego spotkania, a jednak ani razu nie ukazałeś się na zamku. Czyżbyś mnie unikał? Czy naprawdę tamta tak głęboko utkwiała w Twym sercu? Nie, ja w to nie wierzę! A może onieśmielają Cię ci wszyscy głupcy kręcący się dookoła zamku? Jeśli tak, to każę wyszczać ich psami. Pamiętaj, kochany głuptasku, jutro pragnę Cię widzieć ! Jeśli nie przybędziesz, gotowa jestem popełnić szaleństwo, o którym będzie mówiła cała Hiszpania.

Twoja Juana Serrano

Ps. Już popełniłam nierozważny krok, pisząc list do Ciebie i przesyłając Ci go otwarcie w biały dzień. Ręczę, że jutro Aragonia o niczym innym nie będzie mówiła.

Ps. 2. Wyobraź sobie, ten zarozumialec Zorro krąży koło zamku. Wyśpiewywał pod moim balkonem serenadę tak piękną, że z pewnością zakochałabym się w śpiewaku, gdybym nie myślała tylko o Tobie. Chciałam wyszczać go brytanami, wysłałam więc służącego... Wyobraź sobie, służący znalazł w parku wszystkie brytany porżnięte jak króliki i ułożone szeregiem. To jest naprawdę okropny człowiek, ten Zorro! Zefirio, oczekuję Cię!

Zefirio westchnął i włożył list do kieszeni.

Mercedes siedziała nieruchomo, zdumienie zamknęło jej usta. Pierwszy odezwał się Anzelmo Corti.

- Ho, ho, chłopcze! - zawołał śmiejąc się. - Kto by to przypuszczał, że otrzymasz list od seniority Juany. Ależ odważna to panna. Przesyłać wobec wszystkich list do młodego człowieka? No, no! Cóż pisze?

- Zaprasza mnie do zamku, ojczcie!

- Pojedziesz?

- Nie pojedę!

- Jedź synku, ja ci każę! Gdyby marszałek dowiedział się, iż odrzuciłeś zaprosiny jego córki, mógłby rozgniewać się na mnie. A w marszałku Serrano nie chcę mieć wroga!

Dwie serenady

Senorito

Nadaremnie

Życ beze mnie

Chcesz okrutna

Juanito

Ukochana

Wezmę siłą

Czy ci miło

Czy niemiło

O, Juano!

Dźwięk gitary oraz słowa nabrzmiałe namiętnością i czysto hiszpańskim smętkiem, ulatywały z zarośli okalających klomby pałacowe.

Juana stała na balkonie, zasłuchana w tęskną, a zarazem dziką melodię. Wiedziała dobrze, kto to śpiewa. To był Zorro, postrach Aragonii.

W chwilach wolnych od rozbijania transportów złota, wyśpiewywał serenady pod balkonami pięknych senorit.

Juana dowiedziała się o tym nazajutrz, zaraz po pierwszym występie Zorry pod jej balkonem, albowiem usłudźni Aragończycy zdążyli ją uprzedzić. Niejednej pięknej senoricie serenady Zorry zabrały serduszko w niewolę.

Serenada umilkła i w poświęcie księżycy ukazał się Zorro. Spojrzał w górę, złożył głęboki ukłon, wyjął z zanadru jakiś przedmiot, pocałował i rzucił na balkon.

Juana schyliła się i podniosła olbrzymią, pasową różę o cudownym zapachu. Bezcelny! - pomyślała. Teraz przysyłasz mi różę, a przed tygodniem pozostawiłeś mnie na pastwę losu wśród skał!

Zorro znikł w zaroślach. Juana wróciła do pokoju, gdyż do uszu jej dobiegło dyskretne pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała Juana.

- To ja, seniorito! - rozległ się nieśmiały głos za drzwiami. - Czy nie śpisz jeszcze?

- To ty, Zefirio?

- Tak, Juano! Przepraszam, iż niepokoję cię o tak późnej porze! Juana otworzyła drzwi:

- Nie jest wcale tak późno, Zefirio! Miałam zamiar ułożyć się do snu, lecz już mi się odechciało.

- Rozumiem, serenada pod balkonem! - szepnął Zefirio.

- Możliwe! Serenady pod oknami zaczęły mnie ostatnio denerwować! Nie znoszę serenad, chyba...

- Chyba?..

Juana spojrzała głęboko w oczy Zefiria i zbliżyła się ku niemu. Młodzieniec cofnął się z głupkowatym wyrazem twarzy.

- Seniorito! - rzekł. - Czy wiesz, po co przybyłem?

- Domyślam się!...

- Chcę ci również zaśpiewać serenadę, która cię do snu ukołysze!

- Powiedziałam, że nie znoszę serenad..., chyba że ty mi zaśpiewasz, Zefirio!

Młodzieniec wydobyl z za pazuchy gitarę...

- O, nie, nie tutaj! - zawołała Juana. - Nie masz chyba zamiaru śpiewać w moim pokoju?

- Mam zejść do parku? - zapytał Zefirio i twarz mu się wyciągnęła. - Teraz, w nocy?

- Obawiasz się przeziębienia? - zapytała Juana z pobłażliwym uśmiechem.

- Nie to... lecz... - jękał się Zefirio. - Lecz tyle się kręci pod zamkiem ciemnych osobistości, że...

- Czyżby odważny Zefirio obawiał się kogokolwiek?

- Ja mam się obawiać? - zawołał Zefirio, prostując się dumnie.

- Seniorito Juano, Zefirio nikogo się nie boi, słyszysz? Nikogo, nawet Zorry! Zaraz usłyszysz arcydzieło sztuki śpiewaczego.

Z tymi słowami wpakował gitarę pod pachę i wybiegł z pokoju. Juana z uśmiechem na ustach wzruszyła ramionami, zamknęła drzwi pokoju i wyszła na balkon.

Biedny Zefirio nie miał szczęścia. Księżyc skrył się za chmurami i zaległy kompletne ciemności.

- Seniorito, czy słuchasz? - rozległ się na dole drżący głos Zefiria.

- Słucham! - odpowiedziała Juana.

- Słucham! - odpowiedział jakiś gruby głos.

- Aj, aj, seniorito! - wrzasnął Zefirio. - Co to było? Czy to ty wołałaś po raz drugi?

- Nie, Zefirio! Przecież nie mam tak grubego głosu.

- Więc co to było?.. Kto to był?.. Jakże tu śpiewać serenadę w takich ciemnościach?

- Śpieewaaj... bałwanie! - rozległ się potężny ryk. - Śpieewaaj... bo cię ubiję!...

- Seniorito... Seniorito... Ratunku... Co to jest?

Głupi Zefirio wzywał kobietę, by go ratowała!...

- Śpieewaaj - dudnił bas... - Śpiewaj!....

Brzęknęła gitara i rozległ się przepojony najwyższą trwogą, głos biednego Zefiria:

*Caballeros... drżą z... obawy...
Senority mnie... k... kochają...
Jam... Zefirio... śmiały... prawy...
Więc swe serca... mi oddają...*

Zefirio zamilkł.

- Już? - rozległ się wściekły bas. - Tylko jedna strofka? Śpiewaj dalej, bo cię wypatroszę i usmażę na wolnym ogniu!

- Senor! - jęknął Zefirio. - Zapomniałem drugą strofę...

- Śpiewaj!... Kończ serenadę....

Brzęknęła gitara i Zefirio jękając się rozpoczął płaczącym głosem:

*Stoję... dumny... caballerrro
Pod... twoim... balkonnem
Każdy wróg... to dla mnie... zerro
Bbo... je... jestem... dd... dzielny donnem!*

- Cha, cha, cha! - rozległ się głośny śmiech wśród ciemności. - Dzielny don! Cha, cha, cha!... A masz, a masz, bohaterze!.. .

- Aj, aj! - rozległ się kwik Zefiria. - Ratunku, zabije mnie!... Słysząc tylko trzask łamanych gałęzi, po czym zaległa głucha cisza. Widocznie Zefirio zdołał uciec swemu nieznanemu prześladowcy.

Juana daremnie starała się przebić wzrokiem ciemności.

Wtem przed nią rozległ się szelest. Ktoś po murze wdrapał się na balkon. Silna dłoń zacisnęła jej usta, a druga objęła wpiół.

Księżyc rozświetlił okolicę.

Teraz Juana mogła rozpoznać niosącego ją mężczyznę. Ujrzała zamaskowaną twarz Zorry.

Nieopodal rozległo się końskie rzenie...

Branka Zorry

Miejscowość pokryta jarami, usiana skałami, spalona, kamienista, bez śladu zieleni. Żadnej żywej istoty tylko czasem ponad ostrymi szczytami polatuje orzeł skalny. Głucha cisza dookoła, pustka, martwota. Osobliwość Półwyspu Iberyjskiego, przekleństwo Hiszpanii, tu martwa pustynia, tam, o pół dnia konnej jazdy, bujna roślinność, oazy wśród pustyni. Urodzajne okolice i nagie, skaliste przestrzenie, pasy zieloności, a dalej dziesiątki i setki kilometrów spalonej ziemi, kraina skał, piasku, śmierci i pragnienia.

Zdawałoby się, iż nie ma żywej duszy w miejscu, gdzie niezbyt wysokie skały o fantastycznych kształtach zakreślają półkole na południo-wschód. Najmniejszego śladu jakiegokolwiek zwierzęcia górskiego, ptaka lub nawet płaza. U podnóża skał wije się droga dla pojazdów. Podobnie jak skały, stanowiące ścianę dla tej drogi, droga wije się półkolem; prowadzi do Saragossy. Woźnice zazwyczaj poganiają konie w tym miejscu, po pierwsze dlatego, że zieloność, a co za tym idzie, cień i woda rozpoczynają się w odległości czterech mniej więcej mil, a po drugie, okolica ta nie cieszy się zbyt dobrą sławą.

Dawniej nad szczytami skał krążyły dumne orły. Od czasu gdy zaczął grasować tutaj Zorro, orły znikły z tej okolicy. Nie starczyło dla nich miejsca tam, gdzie rozpoczęło się panowanie Zorry.

Okolice ta pewnego upalnego poranka nie była bezludna. Gdyby ktoś obdarzony dobrym wzrokiem przyjrzał się szczytom skał sąsiadujących z drogą dla pojazdów, dostrzegłby na górze dwie ludzkie postacie oraz konia...

Na skale siedział mężczyzna, bacznie przyglądając się drodze, która biegła u podnóża skały. Mężczyzna był zamaskowany. Kobieta, młoda i piękna, siedziała w pobliżu na krawędzi. Koń szukał pożywienia, lecz nie mogąc znaleźć choćby najmniejszego ździebła trawy, dał wreszcie spokój i stał zrezygnowany z opuszczoną głową.

- Proszę cię, odpowiedz wreszcie, senior - rzekła kobieta - co to miało znaczyć? Dlaczego porwałeś mnie z zamku i wywoziłeś na pustynię? Po raz drugi czynisz to samo. Przed tygodniem porwałeś mnie z karety, ledwie przybyłam do Aragonii, tej nocy znów porwałeś mnie z balkonu. Dalibóg, to już staje się manią, u ciebie, senior Zorro! Nie posądziłabym cię o taki brak fantazji. Dwa razy ta sama sztuka, to staje się już nudne, doprawdy!

Zorro odsłonił zęby w szerokim uśmiechu.

- Seniorito! - odpowiedział. - Przed tygodniem była to kara, obecnie zaś ostrzeżenie!

- Ostrzeżenie! Nie rozumiem!

- Powinnaś się domyślić, seniorito! Nie można bezkarnie przesiadywać w jednym siodle z najpiękniejszą kobietą Hiszpanii i nie zakochać się. Jestem pomimo wszystko tylko mężczyzną, Juano. No i zakochałem się. A gdy Zorro się zakocha, wyśpiewuje serenady pod balkonem ukochanej. A gdy śpiewa ser_nady, nie pozwoli sobie sprzątnąć ukochanej sprzed nosa byle komu.

- Byle komu?

- No tak! Gorszego wyboru nie mogłaś dokonać, seniorito!

Wybrałaś młodzieńca, który jest pośmiewiskiem całej Aragonii, ba, całej Hiszpanii nawet! Wybrałaś Zefiria Cortiego, samochwałę, tchórza, durnia i patentowanego kretyna! Woliałaś ten okaz aniżeli mnie! To jest potworne, ohydne i śmieszne zarazem!

- Nie masz prawa tak mówić o nim, senior Zorro! - zawołała oburzona Juanita. - Nic mnie jego wady ani zalety nie obchodzą! Kocham go, i to wszystko!

- Wywoziłem cię tutaj, seniorito, w nadziei, iż wśród tych pustkowi, wśród dzikiej i nagiej przyrody opamiętasz się i staniesz się rozsądniejsza!

- Możesz rozkazywać żandarmom i żołnierzom, senior Zorro! Memu sercu nie możesz rozkazać! Nawet bicz twój nic nie pomoże!

Zorro westchnął, poprawił maskę i zawój, po czym rzekł:

- Ostatecznie jeśli nie chcesz być moja, nic na to nie poradzę. Rzucę się w wir śmiertelnych niebezpieczeństw, stracę życie w walce, a zranione me serce rozszarpią sępy! Serce, które biło dla ciebie, uniosą sępy w swych skrwawionych dziobach i dadzą swym małym na pożarcie. I w ten sposób nikomu niepotrzebne serce przyda się tylko młodemu sępom!

Po pięknym obliczu Juany przebiegł dziwny skurcz. Oczy zaszyły mgłą, zbladła, zagryzła wargi, lecz po chwili przemogła się.

- Senior Zorro! - rzekła cicho. - Na co to wszystko? Ta wieczna walka z rządem i władzą, to ciągle narażanie się na tysiączne niebezpieczeństwa... Czy to ci potrzebne do szczęścia? Zrzuć maskę i przyjdź do mnie z odkrytym czołem, a wówczas może...

Zorro roześmiał się głośnym, dźwięcznym śmiechem:

- Seniorito Juano! - zawołał. - Dotychczas ja prawilem kazania ludziom, teraz na mnie przysła kolej wysłuchać twego przemówienia. Nie, kochana Juano, walka to mój żywioł, niebezpieczeństwo to moje codzienne pożywienie. Gdy walczę i zwyciężam - czuję, że żyję, ogień płynie w mych żyłach, mam chęć śpiewać, tańczyć i skakać jak małe dziecko. Czy wyobrażasz sobie Zorrę w domowych pantoflach? Cha, cha, cha! A jednak, Juano, proszę cię, zostaw Zefiria, w przeciwnym bowiem razie, dni jego będą policzone!

- Przywiozłeś mnie tutaj, senior Zorro, by mi to powiedzieć? - Tak! Sądzę, iż tutaj zastanowisz się nad tym, iż nie chcę mieć rywala w osobie głupiego Zefiria. Nie zniosę tej myśli, że ośmieszasz się w oczach całej Aragonii. Zresztą Zefirio ma narzeczoną!

Juana zbladła. Zorro dostrzegł jej bladłość.

- Ale Mercedes go nie kocha! - mruknął. - I wątpię, czy Zefirio, pomimo pozorów, szczerze kocha swą narzeczoną! Juana odetchnęła i rzekła po chwili milczenia:

- Pragnę wrócić do domu!

- Dobrze! Niebawem przejeżdżać będzie tędy omnibus podróżny. Pojazd ten mija posiadłość marszałka Serrany. Zatrzymam omnibus, który zawiezie cię na zamek!

- W oddali na drodze ukazał się omnibus zaprzęgnięty w osiem koni.

Kilku żandarmów eskortowało wehikuł.

- Na koń! - zawołał Zorro, chwycił wpół Juane, złożył pocałunek na jej ustach, uniósł jak piórko i

posadził na siodle, po czym skoczył również i skierował konia wąską dróżką biegnącą w dół skały.

Wierchowiec, przyzwyczajony do wspinania się, gnał w dół pewny siebie, pomimo podwójnego ciężaru, i niebawem znalazł się u podnóża skały.

- Stój! - zawołał Zorro, zatrzymując konia w poprzek drogi. Lecz woźnica zaciął konie, a żandarmi przyłożyli broń do oka. Rozległy się wystrzały. Nawet podróżni strzelali z okien omnibusu.

Zorro zaczął umykać przed powozem.

Juana słyszała dzikie okrzyki za sobą oraz świst kul przelatujących nad głową.

- Uwaga, Juano! - zawołał Zorro. - Nie mogę rozpocząć walki, póki znajdujesz się na moim siodle... Droga rozszerza się przed nami, widzisz ten głaz po lewej stronie drogi? Postawię cię na ziemi obok tego kamienia, ukryjesz się za nim!

- Senor Zorro! - szepnęła Juana. Błagam cię... To są spokojni podróżni, więc co ci przyjdzie z walki bez zaszczytu?

Lecz Zorro nie słuchał. W galopie zszedł z siodła. Dziewczyna zachwiała się, lecz chwyciła się głazu, dzięki czemu zdołała utrzymać się na nogach.

Zorro zawrócił stojąc w strzemionach.

Był rozgniewany, nie miał bowiem złych zamiarów wobec jadących, przecież widzieli kobietę na jego siodle, dlaczego więc strzelali?

Odczepił od siodła swój straszliwy bicz i wywijając nim w powietrzu, zaczął wołać:

- Zorrrą... Zorro... Zorro!...

W pełnym galopie rozminął się z pędzącym wehikułem.

Jedna sekunda: oknami omnibusu znów lunął ogień z pistoletów, lecz ta sekunda wystarczyła, by Zorro zdążył ściągnąć końcem bicza z siodła jednego z żandarmów. Człowiek grzmotnął o kamienistą ziemię i pozostał bez ruchu.

Zorro znów zawrócił konia, dognał omnibus i wymijając go, ściągnął drugiego żandarma, zanim ten zdołał wystrzelić.

Droga była wyboista, trudno więc było celować do zamaskowanego jeźdźcy z wehikułu, który ciągle przechylał się i podskakiwał. '

I w ostatniej chwili, gdy omnibus mijał w szalonym pędzie Juane, nastąpił kulminacyjny moment walki. Rzemień owinał się dokoła szyi woźnicy. Ostre szarpnięcie, powożący spadł ze swego wysokiego siedzenia na ziemię i legł nieruchomo z rozkrzyżowanymi rękami.

Zorro wykonał skok z siodła i znalazł się na grzbiecie jednego z koni zaprzęzonych do omnibusu. Pochwycił lejce i konie zwolniły bieg, po czym stanęły, ciężko dysząc.

Ustał brzęk i grzechot żelastwa. Nastąpiła głucha, niesamowita cisza.

- W porządku! - rzekł spokojnie Zorro, zsiadając z konia. - Proszę bardzo, kto ma jeszcze chęć strzelać?

- Ja! - odpowiedział spokojny głos z wehikułu. - Spróbuję wpakować ci kulę w głowę!

Prawie jednocześnie rozległ się wystrzał i pistolet rozleciał się w kawałki.

To strzelił Zorro, który szybkim ruchem wyciągnął swój pistolet z kieszeni i celną kulą roztrząsał broń przeciwnika.

- Może jeszcze raz, senor? - zapytał Zorro.,

- Wystarczy! - rozległ się flegmatyczny głos. - Na razie mam dosyć.

Człowiek siedzący w omnibusie, pomimo iż mówił płynnie po hiszpańsku, był cudzoziemcem, zdradzał go obcy akcent.

- Wychodzić z powozu, señoritas e señores, panowie i panie! - zawołał Zorro. - Pragnę się przyjrzeć dzielnym obrońcom twierdzy na kołach!

Mówiąc to, Zorro pilnie śledził ruchy żandarmów, którzy powstali z ziemi i kulejąc zbliżyli się do omnibusu.

Podróżni stanęli szeregiem. Były to cztery kobiety i jeden mężczyzna.

- Co? - zawołał Zorro zdumiony. - Jeden tylko mężczyzna? A ja spodziewałem się co najmniej całego oddziału strzelców alpejskich, sądząc po liczbie kul wystrzelonych z powozu w moim kierunku! Czy panie do mnie strzelały?

- Nie strzelałyśmy! - odpowiedziały chórem kobiety, a spojrzenia ich pełne zachwyty świadczyły,

iz nie kłamały.

- A więc to ty, senor - zwrócił się Zorro do cudzoziemca.

- Tak, to ja! - z zimną krwią odpowiedział wysmukły, młody człowiek o atletycznej budowie. - Wystrzeliłem wszystkie kule z trzech pistoletów. Ocalenie zawdzięczasz tylko wyboistej drodze. Powóz trząsał się i podskakiwał, nie mogłem dobrze celować!

- Dlaczego strzelałeś? Czy sądziłeś, iż Zorro dobierze się do twojej kieszeni?

- Nie obawiałem się tego, senor! - obojętnie odpowiedział młodzieniec. - Słyszałem o tobie w Anglii. Londyńskie gazety rozpisują się o twoich wyczynach. Dlatego też porzuciłem Anglię, by zmierzyć się z tobą!

- Witam pana, panie Buffalo Bill vel czcigodny Lecoq*(* Słynny wywiadowca amerykański XIX stulecia oraz policjant francuski)! - z ironią zawołał Zorro.

- Nie jestem wywiadowcą ani policjantem! Czy rozumiesz po angielsku, senor?

- Od biedy zrozumiem!

- A więc powiem ci po angielsku. To co ty robisz w Hiszpanii, senor, ja robię to samo w Anglii. Zabieram bogatym, a oddaję biednym. Lecz ja uprzedzam zawsze swe ofiary, kiedy i gdzie zabiorę im pieniądze, złoto i diamenty!...

- Rozdajesz pomiędzy biednych, lecz zatrzymujesz dla siebie odpowiedni procent, nieprawdaż?

- Mniejsza o to! Grunt, że opowiadają niestworzone rzeczy o mej brawurze, szalonej odwadze i tak dalej. Ostatnio policja następowała mi zbyt na pięty, postanowiłem więc zwiedzić Europę jako turysta. Przybyłem do Hiszpanii, no i zamierzam wyręczyć cię chwilowo w rozdawaniu złota.

- Strzelając do mnie....

- Wcale nie celowałem - przyznał się Anglik. - Chciałem tylko sprawdzić, czy rzeczywiście jesteś taki odważny!

Zorro roześmiał się. W oczach jego zabłyśły wesołe ogniki.

- A więc pojedynek? - zapytał.

- Tak, pojedynek zręczności, sprytu i odwagi!

- Szanse są nierówne - rzekł Zorro. - Jesteś obcy w tym kraju, nie znasz mego oblicza, ja zaś widzę cię doskonale.

- Mylisz się, Zorro, nie widzisz mej twarzy, gdyż jestem ucharakteryzowany. A co do kraju, ha, tym lepiej dla ciebie!

- Jeśli zostaniesz pokonany, mogę dać ci okazję do rewanżu. W przyszłym roku zawitam do Anglii. Tam się zmierzymy powtórnie!

- Ba - wyduł wargi Anglik. - Sądzę, iż nawet tutaj pokonam cię z łatwością... Czy nie słyszałeś przypadkiem o pewnym londyńskim dzentelmenie włamywaczu?

- Nie!

- Czy hiszpańskie gazety nie pisały o pewnym lordzie Listerze, zwanym powszechnie Raffles, mistrzu boksu, fechtunku i kradzieży?

- Nie!

- Tym lepiej!

Zorro zbliżył się ku niemu, poklepał go po ramieniu i rzekł:

- Życzę szczęścia, lordzie!

Po czym odwrócił się i zawołał:

- Juano, Juano!

- Jestem - odpowiedziała dziewczyna, zbliżając się do powozu. Zorro pomógł wsiąść kobietom, pożegnał się z lordem, po czym podszedł do woźnicy, który stękając usadowił się na koźle.

- Słuchaj, łajdaku! - rzekł doń groźnie. - Wybaczam ci, że pognałeś konie, gdy krzyknąłem stój! Jeśli nie chcesz, bym ci złożył skórę, gdy będziesz wracał, uczyni to, co ci rozkażę. Zboczysz z głównej drogi i zawieszysz senoritę Juanę Serrano aż pod bramę zamku Chiarea! Zrozumiano?

- O tak, senor! - A więc jazda!

Woźnica strzelił z bata i konie ruszyły. Zorro skoczył na siodło i skrył się w obłokach kurzu.

W ślad za nim patrzyli wszyscy podróżni. Anglik, z ironicznym uśmiechem na ustach, przyglądał się znikającej postaci Zorry i przeniósł wzrok na Juanę siedzącą w kącie omnibusu.

- Seniorito! - rzekł do niej z ukłonem. - Jak widzę, jesteś dobrą znajomą senora Zorry!

- Mylisz się, senior - odpowiedziała Juana. - Nie jestem jego znajomą. Zostałam tej nocy porwana z zamku, w którym mieszkam.

- Porwana? O, zgrozo! Ten bandyta wiele sobie pozwala! Ale niedługo, seniorito, niedługo! Nie jestem lordem Listerem, jeśli młodzik ten nie dostanie po nosie!

- Całą noc wiózł mnie z sobą. Nawet nie wiem, która teraz godzina?

- W tej chwili!

I dżentelmen włamywacz sięgnął do kieszeni kamizelki. Nie znalazł jednak zegarka i z rosnącą niecierpliwością zaczął przeszukiwać wszystkie swoje kieszenie. Błądł przy tym i czerwienił się na przemian.

- Tysiąc szatanów, dziesięć tysięcy kas ogniotrwałych i milion policjantów! - ryknął z wściekłością. - Okradziono mnie!... Zabrano mi zegarek oraz portfel z pieniędzmi i dokumentami...

Urwał, wlepił oczy w okno, następnie zerwał się jak oparzony i stuknął się przy tym głową o sufit omnibusu.

- To Zorro... Nikt inny, tylko Zorro!

Wychylił się i zawołał na woźnicę:

- Stop, stop! Zatrzymać powóz... Wysiadam!

Woźnica dosłyszał wołanie i odwrócił się ku wołającemu: - Co się stało, senr? Dlaczego krzyczysz?

- Okradziono mnie, ograbiono! Muszę dogonić Zorrę!

- Co, na piechotę, w tym pustkowiu? A zresztą Zorro wręczył mi coś i kazał panu oddać, gdy pan się zacznie niepokoić.

To mówiąc, woźnica wyciągnął rękę do tyłu, trzymając jakiś kwadratowy, płaski przedmiot.

Był to portfel lorda Listera, lecz zegarka nie było!

- Mniejsza o zegarek wysadzany brylantami! - westchnął Anglik, sadowiac się na swoim miejscu. - Ten Hiszpan dał mi jednak porządną nauczkę! Kiedy mi to ściągnął? Diabelnie zręczny!... Ale to nic, już ja go nauczę rozumu!...

Zagadka zamku Chiarea

Radość mieszkańców zamku na widok Juany wysiadającej z omnibusu była nieopisana.

Spośród wszystkich młodych ludzi najbardziej cieszył się Zefirio.

- O, seniorito! - wołał. - Szukaliśmy ciebie po całej okolicy. Jesteśmy zmęczeni, rozbici!...

Juana opowiedziała ojcu oraz wszystkim obecnym o swej przygodzie z Zorrą.

- Jeden tylko spośród podróżnych - zakończyła swe opowiadanie - jeden tylko lord Lister stawiał czoło bandycie. Ojczcie, nie masz chyba nic przeciwko temu, że zaprosiłam milorda do zamku!

Anglik uklonił się ceremonialnie, dłonie wszystkich obecnych wyciągnęły się ku niemu. Po czym wypytywano go o szczegóły walki z Zorrą.

W oczach Aragończyków człowiek, który ośmielił się stawić opór tajemniczemu jeźdźcy, był bohaterem.

Chcąc nie chcąc musiał Anglik opisać zebraniem zajście, ze wszystkimi szczegółami. Gdy doszedł do sceny kradzieży, zaciął się na sekundę.

- Miałem zegarek w tej kieszonce - opowiadał. - I oto...

Opowiadając, machinalnie włożył palce w kieszonkę. Wtem zbladł i urwał swe opowiadanie, gdyż w tej właśnie chwili wyczuł zegarek w kieszeni kamizelki. Ktoś niepostrzeżenie włożył mu zegarek. Sięgnął do drugiej kieszeni, w której przechowywał portfel, i zadrżał. Portfel znikł bez śladu. Anglik zrozumiał, iż jest igraszką Zorry.

Przedtem zginał zegarek, lecz zwrócono mu portfel, obecnie zaś skradziono portfel, lecz zwrócono zegarek.

- Senores! - zawołał lord Lister. - Zorro znajduje się pomiędzy wami. On to w tej chwili, podczas gdy rozmawiałem z wami, wsunął mi zegarek do kieszeni, lecz z powrotem odebrał portfel.

Obecni z przestraszeniem spojrzeli po sobie. Czy to możliwe, by Zorro znajdował się pomiędzy tymi

piętnastoma ludźmi, którzy otaczali Anglika?

- Zarządzam rewizję! - zawołał marszałek Serrano. - Niech nikt się nie oddała.

- Zgadzą się! - zawołali chórem mężczyźni.

Marszałek najpierw skrupulatnie sprawdził wszystkie kieszenie lorda. I... znalazł ów portfel. Znajdował się w bocznej kieszeni surduta Anglika.

- Milordzie, co to znaczy? - zawołał marszałek zdumiony. - Przecież portfel znajduje się u pana.

- Senor, przysięgam, iż przed chwilą go nie było! Nie jestem wariatem...

- Nikt cię o to nie pomawia - rzekł don Serrano, poklepując go dobrodusznie po ramieniu. - Po prostu włożyłeś portfel do innej kieszeni, a że strach ma wielkie oczy...

Obecni wybuchnęli śmiechem, a lord zbladł. Przenosił kolejno badawczy wzrok z twarzy na twarz, lecz oprócz roześmianych oczu i błyszczących zębów młodych ludzi zgrupowanych dookoła, nic podejrzanego nie zauważył.

- Niech i tak będzie! - rzekł z westchnieniem. - Możliwe, że się omyliłem... Zresztą można to przypisać znużeniu podróżą!...

Włożył rękę do kieszeni surduta, chcąc się upewnić, iż portfel rzeczywiście się odnalazł i zimny pot zrosił jego czoło. Kieszeń była pusta, portfel znów znikł.

Anglik był bliski płaczu z bezsilnej wściekłości. To było niesłychane. Czy czasem nie ulega halucynacji? Przecież podczas rewizji portfel znalazł się w jego kieszeni, z chwilą zaś gdy rewizja została zakończona, znikł po raz piąty chyba. Lecz teraz lord nie powiedział o zniknięciu portfela. Nie miał żadnych złudzeń: gdyby oznajmił, że portfel znów zginął, wszyscy uważaliby go za skończonego obłąka. Rozejrzał się dookoła, by się przekonać, kto w obecnej chwili stał przy nim. Najbliżej znajdował się don Serrano. Czyżby on? - przemknęła myśl przez zgorączkowany mózg Anglika, lecz prawie natychmiast odrzucił ten niedorzeczny pomysł. Najznakomitsza persona w Hiszpanii, człowiek, którego uważano za najświetniejszego przywódcę opozycji politycznej i przyszłego dyktatora, don Serrano stał poza wszelkimi podejrzeniami. A więc kto? Który z tych młodych ludzi? Zorro znajduje się pomiędzy nimi, a może tylko jego niezwykle zręczny pomocnik?

Zagadka ta dręczyła lorda Listera cały wieczór, a nawet podczas snu w jednej z komnat zamkowych.

Nagle obudził się w nocy. Zdawało mu się, iż coś jakby szeleściło pod poduszką. Sięgnął ręką i pod poduszką znalazł... swój portfel.

Lister usiadł na łóżku. Sen go opuścił zupełnie.

- Pod pewnym względem mam uznanie dla Zorry - rzekł lord Lister, nakładając na talerz porcję indyka. - Odbiera pieniądze grabieżcy i rozdaje biednym.

- To jest anarchia! - zawołał marszałek Serrano. - Ładnie może wyglądać państwo, gdy każdy zechce rządzić się według własnego widzimisię!

- To nie jest anarchia, skoro tego człowieka aprobują wszyscy biedacy Hiszpanii. A jednak Zorro nie spełnia należycie swego zadania.

- Dlaczego? - zapytał Zefirio, pakując do ust potężny kawał mięsa. - Dlaczego nie spełnia swego zadania?.

- W Londynie mieszka pewien tajemniczy osobnik. W aktach policji zapisany jest jako Raffles.

- Czytałem o nim - zawołał don Serrano. - Jest to pospolicie włamywacz.

- Niepospolicie, senor. Wcale niepospolicie - zaprotestował lord Lister. - Zawsze uprzedza swe ofiary, że je ograbi, a następnie rozdaje pieniądze biednym...

- Zatrzymując okazałą część łupu dla siebie!

- Ha, cóż robić, musi przecież żyć! Otóż ten Raffles nie tylko walczy z rządem, lecz również zabiera majątek bogaczom i rozdaje biednym. Gdyby Raffles był tutaj, ręczę, że pierwszej nocy ograbiłby ciebie, senor Serrano, ciebie, który jesteś milionerem, i rozdałby pieniądze okolicznym wieśniakom!

- Dzięki Bogu, kochany lordzie, że Rafflesa nie ma w Hiszpanii! - zawołał ze śmiechem don Serrano. - Bo musiałbym pożegnać się z moją szkatułką zawierającą około dwustu tysięcy peso w złocie.

- Dwieście tysięcy peso to spory grosz! - rzekł lord w zamyśleniu, po czym dodał z dziwnym uśmiechem: - Ja na twym miejscu, senor, nie opowiadałbym nikomu, iż trzymam tyle pieniędzy w zamku.

Tyle tutaj służby i biednych ludzi dookoła, o pokusę nietrudno! .

- Ludzie moi są uczciwi, milordzie - odparł don Serrano. - Zresztą jesteśmy wśród swoich..

- Przecież nie znasz mnie, senor - rzekł z uśmiechem lord Lister. - Gdybym był Rafflesem, wyobraź sobie, jaki byłby rezultat mych odwiedzin!

Zefirio wybuchnął głośnym śmiechem i omal nie udławił się kęsem pożywienia.

Zaczął się krztusić, dopiero uczynna senorita Juana, która siedziała obok niego, lekkim klepnięciem w plecy przywróciła mu oddech.

- Cóż cię tak rozśmieszyło, senor? - zapytał zdziwiony lord Lister.

- Cha, cha, cha! - śmiał się Zefirio. - Gdybyś był Rafflensem, milordzie, nie dałbyś się okraść z taką łatwością! Zorro zabrał ci portfel, a zwrócił zegarek i zwrócił portfel, po czym znów zabrał portfel... oj... oj... nie mogę, cha, cha, cha!...

I Zefirio znów się krztusił ze śmiechu. Wtórowała mu Juana; reszta biesiadników trwała w głębokim milczeniu.

Lord Lister zbłądł, poczerwieniał i rzekł przez zaciśnięte zęby:

- Jeśli się nie mylę, senor Zefirio, ty sobie kpisz ze mnie!

- Broń Boże, milordzie! - zawołał młody Corti. - Ale te magiczne zniknięcia portfela i zegarka są doprawdy śmieszne...

Lord gwałtownie zerwał się ze swego miejsca i stał przez chwilę nieruchomy, nie mogąc wymówić słowa. Wreszcie pohamował gniew i odsuwając krzesło z hałasem, rzekł:

- Wybaczcie mi, senores e senoritas, że opuszczę już wasze towarzystwo, lecz jestem znużony i odczuwam potrzebę spoczynku.

Krzesła odsunęły się od stołu, wszyscy wstali i zaczęli żegnać się z Anglikiem. Gdy przyszła kolej na Zefiria, ów wyciągnął rękę, lecz dotknięty lord udał, że jej nie widzi.

Znikł za drzwiami, a Zefirio długo jeszcze oglądał swą dłoń wzgardzoną przez Anglika i z bolesnym zdziwieniem kiwał smutnie głową.

Wszyscy się rozeszli, Zefirio zaczął żegnać się na dobre z Juaną i jej ojcem.

- Kochany senor Corti - rzekł marszałek - czyżbyś nas już opuszczał?

- Tak jest, senor! Bawię tutaj od czterech przeszło dni, sądzę, iż nie należy nadużywać gościny. Zresztą w domu niepokoją się o mnie, muszę więc wracać! - Nie puścimy ciebie wśród nocy! - zawołał don Serrano. - Wyjedziesz jutro rano!

- Nie, senor - uparł się Zefirio. - Jedna godzina konnej jazdy to głupstwo dla mnie. Naprawdę, wierz mi, muszę dziś jeszcze powrócić do domu. Jutro przybywają do mnie w odwiedziny Porfirio i Malibrán, dwaj moi wierni przyjaciele i koledzy z uniwersytetu w Madrycie. W tych dniach będę miał zaszczyt przedstawić ci tych dwóch dzielnych chłopców, senorito - rzekł zwracając się do Juany. - Ręczę, że będziesz zadowolona z tej znajomości; są to dwa wspaniałe zuchy!

Nic nie pomogły perswazje Juany i marszałka, Zefirio dosiadł swego muła i niebawem znikł w ciemnościach nocy.

Piękna Juana długo patrzyła za nim w ślad. Stała oparta o kamienną poręcz balkonu.

- To dziwne! - szepnęła rozmarzona. - Nigdy nie przypuszczałam, iż mogłabym pokochać... A jednak kocham go, nie wiem tylko, czy on mnie kocha... Jest taki dziwny! Głupi Zefirio, tak go nazywają... Głupi Zefirio... Mój Boże, jakie to śmieszne!

Z tymi słowami cofnęła się do pokoju i zamknęła drzwi balkonu. Odwróciła się i omal nie krzyknęła z przestachu: na jej panieńskim łóżku siedział Zorro.

- To jest bezczelność! - wykrztusiła. - Co tu robisz, senor?

- O to samo mógłbym. ciebie zapytać, piękna senorito! - uśmiechnął się Zorro.

- Jak to! Przecież to jest moja sypialnia!

- Wcale nie wątpię, senorito!

- Tu nie jest twe miejsce, senor!

- Miejsce Zorry jest wszędzie, gdzie mu się żywnie -spodoba! - Zawołam o pomoc!

- Żarty na bok! - zawołał Zorro, wstając. - Słyszałem, jak szeptałaś przed chwilą na balkonie: kocham go, nie wiem tylko, czy on mnie kocha, jest taki dziwny, ten głupi Zefirio!... - Pokiwał melancholijnie głową. Opowiadano mi niegdyś, iż istnieją piękne kobiety zakochane bez pamięci w

potworach brzydoty, ułomnych, garbatych i tak dalej. Nie chciałem temu wierzyć. Teraz widzę, że to prawda. Jeśli taka piękna senorita może stracić głowę dla skończonego kretyna, to już koniec świata!...

- Wychodź, senor! - rozkazała Juana.

- . Zaraz opuszczę ten pokój, lecz poproszę o jedną łaskę, seniorito!

- Słucham!

- Zaprowadzę cię do pewnej komnaty w zamku. Chcę ci pokazać coś ciekawego, dlatego właśnie tu przyszedłem! Zechciej zdjąć pantofelki, musimy bowiem uniknąć hałasu! Chodź ze mną!

Słowa te zabrzmiały władczo i Juana bez słowa protestu zdjęła buciki.

Zorro ujął jej rękę i położył palec na ustach:

- Tss! Zachowaj się jak najciszej!

Uchylił ostrożnie drzwi i wyprowadził ją na korytarz.

Juana szła za nim bez oporu. Co miało znaczyć to zagadkowe zachowanie się zamaskowanego człowieka? Dokąd ją prowadził przez korytarz i komnaty pogrążone w ciemnościach?

Wreszcie Zorro zatrzymał się przed wielkimi, rzeźbionymi drzwiami. Ostrożnie nacisnął klamkę i powoli uchylił drzwi.

Juana ujrzała dziwny widok i omal nie krzyknęła. Silna dłoń Zorry zasłoniła jej usta.

- Tss! - szepnął jej do ucha. - Zachowaj spokój, seniorito! Patrz i nic nie mów!

W głębi obszernego gabinetu jej ojca migotał płomyk świecy. Jakiś człowiek, odwrócony do nich plecami, klęczał przed żelazną kasą i ostrożnie czymś manewrował. Po dźwięku Juana poznała, iż były to metalowe narzędzia. I zrozumiała, że do kasy jej ojca włamuje się złodziej. Już chciała wbiec do pokoju, lecz silna dłoń

Zorry zatrzymała ją w miejscu. Stała więc nieruchomo i patrzyła rozszerzonymi oczami.

Włamywacz otworzył kasę, wydobył szkatułkę i postawił obok siebie. Następnie wyciągnął z kieszeni ćwiartkę białego papieru, położył na podłodze i coś na niej nakreślił.

- Kładzie mój znak "Z"! - szepnął Zorro do ucha Juany. - A to łajdak! Kradnie i chce zwalić winę na mnie.

Pociągnął Juanę i ukrył się z nią przy drzwiach sąsiedniego pokoju.

Po chwili tajemniczy złodziej wyszedł z pokoju na korytarz i zgasił świecę.

Juana nic nie dostrzegła w otaczających ją ciemnościach, Zorro widział widocznie, gdyż pociągnął Juanę za sobą. W ten' sposób, w ślad za złodziejem, wyszli z zamku i krętymi drogami dostali się do parku.

Oczy Juany przyzwyczyły się do ciemności. W świetle gwiazd dostrzegła włamywacza klęczącego pod rozłożystym dębem.

- Zakopuje szkatułkę - szepnął Zorro. - Czekajmy na ciąg dalszy!

Złodziej wstał wreszcie i skierował swe kroki z powrotem do pałacu.

- Wraca! - szepnęła Juana. - A więc to ktoś z zamku? - Tak!

- Senior, ty wiesz, kto to jest! Błagam cię, powiedz!

- Sama domyślisz się nazajutrz. Miej tylko oczy otwarte! - Jakże poznam? Przecież złodziej nie wyda się sam!

- Owszem! Pożegna się z wszystkimi i opuści jawnie zamek, lecz powróci niebawem pod błahym pozorem...

-Nocą?

- Nie, otwarcie w dzień!

- Po cóż miałby powracać?

- Przekona się, iż szkatułka pod dębem zniknęła, a że jest diabelnie uparty, powróci, by przekonać się, kto mu spletał figła! - Rozumiem! Wygrzebiemy szkatułkę z ziemi!

- Tak! I ty to uczynisz! Masz oto małe zawiniątko i połóż je zamiast szkatułki.

Juana wzięła zawiniątko i pobiegła pod dąb. Wygrzebała szkatułkę, wrzuciła do jamy zawiniątko i zasypała z powrotem, uklepując starannie ziemię.

- Mam szkatułkę! - szepnęła wracając do Zorry.

-Schowaj ją w bezpiecznym miejscu, lecz nie w kasie, i nic nie mów nikomu. Ani jednym spojrzeniem nie daj poznać po sobie, iż wiesz cokolwiek o nocnym włamaniu. Dopiero po odjeździe złodzieja szkatułkę zwrócisz ojcu i poprosisz, by ją dobrze ukrył. - Czy poznam złodzieja?

Lecz nie otrzymała odpowiedzi. Rozejrzała się dookoła. Zorro znikł.
Juana pobiegła do zamku, mocno przyciskając szkatułkę do piersi.

Kłopoty Anglika

Nazajutrz wczesnym rankiem lord Lister opuścił zamek, wymawiając się pilną sprawą, i wyruszył do Saragossy. Nieco później kilku młodych gości marszałka również opuściło siedzibę wielkopańską, wyruszając do Madrytu.

Juana przypomniała sobie zagadkowe słowa Zorry i czekała na powrót nocnego włamywacza.

Podczas gdy młodzi ludzie ciągnęli w swych karocach do Madrytu, na drodze do Saragossy Anglik zatrzymał swego wierzchowca, skręcił do lasu, zsiadł, przywiązał konia do drzewa i ruszył piechotą z powrotem.

Zbliżając się do zamku, zwalniał kroku i ostrożnie rozglądał się dookoła. Wreszcie tuż przy ogrodzie położył się na ziemi i zaczął się czołgać. Przez otwór w żywopłocie przedostał się do parku i zatrzymał się obok rozłożystego dębu. Nie podnosząc się, gorączkowo rozgrzebywał rękami ziemię. Wtem na usta jego wybiegło przekleństwo. Rozgrzebał ziemię, lecz nie natrafił na szkatułkę, natomiast palce jego trafiły na zawiniątko. Wydobył je z ziemi i odwinął szmatę. W rękę trzymał swój własny portfel, ten sam, który mu Zorro zagrabił poprzedniego dnia w zagadkowy sposób.

- Damned - zaklął. - Szkatułkę ukradł Zorro! Po raz trzeci jest górą. To nie do wiary!

Zaczął czołgać się z powrotem, wydostał się na gościniec i po wrócił do lasu, gdzie pozostawił konia.

- Zorro znajduje się pomiędzy domownikami - rozmyślał. Dziwna, ciekawa zagadka... muszę ją rozwiązać. Kto to jest Zorro? Skąd wiedział, że włamię się do kasy Serrana?

Odwiązał konia od drzewa.

- Muszę wrócić, lecz jaki powód podam? Aha, już wiem!

Wyszedł z koniem na drogę, podniósł ostry kamień i zaczął ścierać nim skórę na swoim czole. Po chwili skóra rozdarła się i ukazała się krew. Wyciągnął chustkę z kieszeni i owiązał nią głowę. Następnie wytarzał się w ubraniu w pyłe przydrożnym, potem wsiadł na konia i ruszył z powrotem do zamku.

Niemale zdumienie ogarnęło służbę i domowników don Serrana, gdy ujrzeli powracającego Anglika, lecz w jakim stanie?

Resztkami sił szlachetny lord trzymał się w siodle, głowę miał owiniętą zakrwawioną chustką, całe odzienie było w kurzu.

- Co się stało, milordzie? - zawołano podbiegając ku niemu i ściągając go z konia.

- Koń... poniósł! - jęknął Anglik. - Poniósł i wyrzucił mnie z siodła... Zraniłem się w głowę!...

Zaniesiono go do jednej z komnat zamkowych i ułożono na łóżku.

Senorita Juana delikatnie zdjęła chustkę z głowy rannego, by zrobić okład.

- Rana niezbyt groźna! - roześmiała się Juana. - Życiu pańskiemu nie zagraża niebezpieczeństwo.

- Och, seniorito! - westchnął Anglik, wznosząc ku niej oczy. - Już czuję się daleko lepiej, twoje cudowne rączki to zdziałały. Ogłuszył mnie upadek z konia, obecnie jednak czuję się zdrow i silny!

I łącząc czyn ze słowami, lord Lister powstał z łóżka.

- Lekkie zawroty głowy - rzekł - oraz pewne osłabienie, a za jakieś dwie, trzy godziny dosiędę konia i wyruszę w drogę. Jeśli pozwolisz, seniorito, wyjdę do parku, by zaczerpnąć nieco powietrza.

Wyszli razem i zaczęli spacerować alejami, gawędząc. Wtem Anglik zatrzymał się jak wryty:

- Patrz, seniorito, ślady kobiecych nówek... Jakaś kobieta szukała czegoś pod tym drzewem!

- O, milordzie - uśmiechnęła się Juana. - Zaprzątasz sobie głowę rzeczami bez najmniejszego znaczenia. Czy to mało kobiet przebiega tędy w ciągu całego dnia? Była to zapewne żona lub córka ogrodnika!

Anglik milcząco poszedł dalej. Nieco później opuścił pod błahym pretekstem towarzystwo Juany. Dziewczyna odczekała chwilę i pobiegła do swego pokoju, stąpając ostrożnie na korytarzu. Otworzyła drzwi jednym szarpnięciem i ujrzała mężczyznę na czworakach, zaglądnącego pod jej łóżko. Milcząco czekała, aż mężczyzna się wyprostuje. Wreszcie nieproszony gość powstał z podłogi, trzymając w rękach szkatułkę, którą wydobył spod łóżka.

Był to lord Lister.

- Zostaw pan tę szkatułkę w spokoju, panie Raffies – rozległ się głos Juana.

Anglik drgnął i stanął jak osłupiały.

- Domysły pańskie były słuszne - ciągnęła dalej Juana. - Tak, to ja odebrałam panu szkatułkę poprzedniej nocy. A teraz zechce pan łaskawie pozostawić ją w tym pokoju i opuścić zamek jak najprędzej.

Raffies uczynił krok w stronę okna, chcąc uciec przez balkon.

- Wstydź się, senior! - rzekła pogardliwie Juana. – Chcesz uchodzić za dżentelmena, a okradasz kobietę.

Włamywacz zbladł, położył szkatułkę na stoliku i wyszedł z pokoju z opuszczoną głową. Powrócił jednak i zapytał pozornie obojętnym tonem:

- Jedno słowo, seniorito! Czy sama odkryłaś nocną kradzież, czy też uprzedzono cię?

- Uprzedzono mnie!

- Domyśliłem się tego! Wydał mnie Zorro!

- Domyślaj się czego chcesz, senior, lecz opuść czym prędzej zamek, którego gościnności nadużyłeś.

- Zorro zapłaci mi za to!

- W każdym razie nie z kasy mego ojca.

Anglik zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości i znikł za drzwiami.

Goście Cortich

Drogą włókł się zwykły wóz chłopski. Na podściółce ze słomy leżał tęgi młodzieniec i śpiewał przerywając sobie od czasu do czasu ziewaniem. Drugi młody człowiek, przeraźliwie chudy, o smętnym wyglądzie, kroczył obok wozu, by rozprostować zdrętwiałe członki. Woźnica leniwie poganiał zaspane konie, źle nasmarowane koła rozdzierały ciszę upalnego południa.

- Miewasz szczególne pomysły, Malibran! - odezwał się chudy. - Mogliśmy wygodnie jechać karocą, którą przysłał po nas Zefirio, lecz ty uparłeś się, by jechać zwykłym wozem, na podściółce ze zgniłej słomy!

- Wiesz dobrze, iż duszę się w karecie. Ani też nie mogę wygodnie się wyciągnąć - odparł grubas. - A słoma nie jest zgniła, woźnica dał świeżutką!

- Zaczęła gnić od chwili, gdy się na niej rozłożyłeś!

- Wiem, że chcesz mnie obrazić, Porfirio! - rzekł Malibran, przeciągając się. - Lecz ja nie dam się sprowokować. Założyłem pancerz obojętności i uzbroiłem się w nadmiar pobłażliwości dla ciebie.

- Jestem wściekły! Droga wlecze się w nieskończoność. Kiedyż dotrzemy wreszcie do hacjendy Cortich?

- Dzisiaj jeszcze!

- Bodajbyś szczeł! Dzisiaj jeszcze! To mi pociecha, gdy język przysycha do podniebienia od tej spiekoty!

Westchnął i rozejrzał się dookoła:

- Żeby choć jakakolwiek rozrywka! - rzekł. - Przydałaby się ofiara ludzka!

- Minęły czasy, gdy składano ofiary z ludzi. Abraham składający Izaaka w ofierze należy do błogiej przeszłości biblijnej!

- Nie myślę o składaniu ofiar z ludzi - mruknął Porfirio. - Słońce padło ci na mózg i gadasz od rzeczy!

W oddali ukazał się jeździec na koniu.

- Uwaga! - rzekł Porfirio. - Dobrotliwy stwórca zsyła mi rozrywkę. Oto ofiara!

Jeździec wyminął wóz i rzucił:

- Dzień dobry! Ładna pogoda, co?

- Jak dla kogo - odpowiedział leniwie Malibran, który poznał Anglika po akcencie. - Dla synów dżdżystego Albionu pogoda jest piękna, dla nas na odwrót.

Jeździec zatrzymał konia:

- Poznaliście we mnie Anglika, senores? - zapytał.

- Łatwo poznać ofermę w kratkę! - mruknął Porfirio.

- Co powiedziałeś, senor? - zapytał Anglik, ściągając brwi. - Nic strasznego, senor! - odpowiedział za Porfiria Malibrano - Wybacz mu, albowiem jest nieco ułomny na umyśle! Wyrzucono go z domu rodzicielskiego i z tego powodu jest w okropnym humorze!

Anglik machnął lekceważąco ręką i uderzył konia ostrogą.

- Czy dobrze jadę do Saragossy? - zapytał oddalając się.

- Do Saragossy? - udali zdumienie obaj przyjaciele jednocześnie. - Udajesz się do Saragossy, senor?

- Tak!

- A więc podążasz w złym kierunku, senor! - rzekł Malibrano. - Wskazano mi tę drogę!

- Oszukano cię! My właśnie jedziemy do Saragossy! Anglik zawrócił konia i ruszył obok wozu.

- Pojadę z wami - rzekł krótko.

- Towarzystwo twoje witamy z radością! - odezwał się Porfirio. Pomilczał chwilę, po czym zapytał: - Wy Anglicy jesteście podobno mocni w Biblii! Powiedz, senor, czy od czasu Abrahama i Izaaka nie składano ofiar z ludzi?

Anglik spojrzał przenikliwym wzrokiem na obu przyjaciół, podejrzewając, iż kpią z niego.

- Nie znam się na tym - rzekł. - Zapytajcie mnie, jak należy rozbijać szczęki ludzkie, to wam powiem, gdyż ukończyłem akademię boksu i byłem kilkakrotnym czempionem świata!

Malibrano zerwał się ze słomy:

- Och, jakże się cieszę! Witaj mi, kolego! -zawołał wyciągając doń rękę.

- Jak to, również jesteś czempionem? - zapytał Anglik. - Tak, kolego! Jestem kilkakrotnym czempionem świata! - Boks!

- Prawie! Jestem czempionem gry w klipę!

- Klipa? - zdziwił się Anglik. - Co to za gra?

- Wytłumaczę ci innym razem! - udał zażenowanie Malibrano. Lecz Anglik nalegał zaciekawiony tą nie znaną mu grą.

- Widzę, że ci bardzo na tym zależy, senor! - rzekł grubas. - Lecz obawiam się, iż twa duma narodowa ucierpi na tym. Wolę ci nie opisywać tej gry!

- Nie obawiaj się, senor! W sprawach gier i sportów nie uznaję obrazy!

- Naprawdę? Nie obrazisz się?

- Nie!

- W takim razie pozwolisz, że zagramy w nią przy sposobności! Do tej gry potrzebni są właśnie Anglicy, którzy nie obrażają się!

- Mówże do licha, senor, na czym ta gra polega! - zawołał zniecierpliwiony Anglik.

- Dobrze, powiem ci! A więc uważaj, senor! Klipa, zwana inaczej szachy angielskie, polega na tym, iż sześciu Hiszpanów rozciąga na ziemi prawdziwego Anglika, który nosi swój strój narodowy, czyli spodnie w kratkę. Kładzie się więc takiego pokratkowanego Anglika brzuchem do ziemi i numeruje się kratki na jego spodniach. Następnie każdy Hiszpan bierze do ręki długą szpilkę i kłuje. Sztuka polega na tym, iż Anglik musi odgadnąć numer kratki, w którą wsadzono szpilkę!...

Lister zacisnął zęby i zapytał:

- Jaką nagrodę otrzymuje, jeśli odgadnie numer? - Otrzymuje pudding z rodzynkami!

- A jeśli nie odgadnie?

- Jeśli nie odgadnie, otrzymuje bezpłatny bilet do Londynu. Lord Lister spostrzegł się, iż Malibrano kpi z niego. Rozmowa z całą pewnością zakończyłaby się bójką, gdyby nie widok, który odwrócił uwagę Anglika. Droga zamiast do Saragossy prowadziła prosto do hacjendy Anzelma Cortiego. Naprzeciw biegł Zefirio, wołając:

- Witajcie mi, towarzysze najmils!

Ujrzał lorda i zapytał zdziwiony:

- Co ja widzę, milord?

- Przedstawiam ci ofiarę ludzkiej złośliwości! - oznajmił poważnie Malibrano i zakończył okrzykiem: - Końcowa stacja Saragossa! Anglicy wysiadać!

A tego dnia w hacjendzie Anzelma Cortiego panowało niezwykle ożywienie. Wszyscy wybierali

się do Tudeli na doroczną walkę byków i popisy nowych, młodych torreadorów. Walka byków połączona była z wielkim jarmarkiem i tańcami. Najście okolicznych sąsiadów wniosło w spokojną dotąd atmosferę domu starego Anzehna zgiełk, wrzawę i rozgwar.

- Zefirio, Zefirio! - wołano zewsząd. - Jeszcze się guzdrzesz? Prędko, maruderze, nie będziemy wiecznie na ciebie czekali!

- Jeszcze nie wiem, czy pojedę! - opierał się Zefirio. - Odwiedzili mnie dwaj moi przyjaciele, Porfirio i Malibrán, oprócz tego mamy gościa, lorda Listera!

- Wszyscy pojedą! - zawołała piękna donna Klaryssa. - Ty i twoi goście! Cóżby to była za zabawa bez naszego Zefiria!

- Olle, Zefirio, niech żyje nasz niezrównany bohater i najdzielniejszy ze wszystkich miejscowych zuchów! - ryknęła młodzież, śmiejąc się rozgłośnie.

- Dziękuję wam z całego serca, senores e senioritas - odpowiedział Zefirio, przybierając skromną, lecz pełną godności postawę. - Jestem wzruszony do głębi serca waszą przyjaźnią i uznaniem dla mych męskich cnót!

- Wiwat ornitologia! - zawołał jakiś wesołek.

- Wiwat! - odpowiedziano chórem.

- Niech żyją geologia i botanika!

- Niech żyją!...

- Nasz genialny poeta, duma i ozdoba Aragonii, niech żyje! - Niech żyje i niech jedzie z nami!

Zefirio miał prawie łzy w oczach ze wzruszenia. Przyjmował te okrzyki widocznie za dobrą monetę.

Porfirio i Malibrán wznosili okrzyki w dobrej wierze, na równi z innymi.

Jeden tylko Anglik ironicznie obserwował młodego Cortiego. Nie łudził się ani przez chwilę. Zdawał sobie sprawę, iż wszyscy tutaj obecni kpili w żywe oczy z biednego głuptasa.

By God, na Boga! Jak mogłem poczuć się dotknięty przez tego durnia - pomyślał ze wzgardą. Cała okolica stroi sobie z niego żarty, ja jeden uważałem go za normalnego człowieka!

Gdy okrzyki wreszcie przycichły, Zefirio wyciągnął rękę na znak, iż pragnie mówić.

- Moi drodzy przyjaciele! - zaczął. - Wzruszyliście mnie, a zarazem przekonaliście, że powinienem wyruszyć z wami. Nie stanie się to jednak prędeż, dopóki nie przekonacie mych czcigodnych gości, to jest senora Porfiria Carapacego, senora Hektara Mondevi de Malibrana oraz lorda Listera, iż powinni przyłączyć się da nas. Jeśli choć jeden z nich odmówi, wówczas oświadczam z bólem serca, że nie pojedę!

- Jedziemy z tobą! - zawołali Porfirio i Malibrán.

- Muszę być w Saragassie - rzekł lord Lister. - Niestety, nie mogę wam ta warzy szyć, czcigodni państwa!

Lecz zewsząd rozległy się ogłuszające okrzyki i nalegania tak długo, aż Anglik musiał wreszcie ustąpić.

- Nie pożałujesz tego., milordzie! - odezwała się jedna z pięknych seniorit. - Jaka turysta ujrzy w Tudeli wiele ciekawych rzeczy!

- O, tak! - potwierdził skwapliwie Zefirio. - Nie tylko ujrzy, lecz przeżyjesz wiele emocjonujących chwil!

Mówiąc to zerknął na Porfiria i Malibrana. Przyjaciele odpowiedzieli mu nieznacznym mrugnięciem. Bystry Anglik dostrzegł jednak te mrugnięcia i zrozumiał ich znaczenie. Zechcą znów spletać mi figła - pomyślał. Muszę się mieć na baczności. He, he, mai drodzy, raz się wam udało i na tym koniec. Baczcie, bym ja wam nie zrobił jakiegoś kawału. Nie wiecie, mili chłopaczkowie, na koga trafiliście. Nie darmo. cały Londyn wyprowadzam ad dwóch lat w pale, tym łatwiej mi ta pójdzie z kilkoma marnymi Hiszpanami!

W duchu obiecywał im odwet, nie wiedząc, iż będzie miał da czynienia z Hiszpanami szczególnie niebezpiecznego gatunku. Skąd by zresztą mógł się domyślić? Malibrán o tłustej twarzy i małych wesołych oczkach, Porfiria wiecznie zaspany chudeusz a długiej, cienkiej szyi oraz Zefirio o bezdennie głupim wyrazie oblicza, nie wyglądali wcale na osobników, których należałoby się wystrzeżać.

Lord Lister zaczął obmyślać plan postępowania. Nawiązał znajomość ze wszystkimi uczestnikami wyprawy, przy czym szczególną przyjaźnią obdarzył Porfiria i Malibrana.

Wyruszana w drogę na mułach, kanna i w powozach.

Po kilku godzinach jazdy mężczyźni uznali, że ten sposób podróżowania jest zbyt nudny. Zsiedli więc z kani i z mułów, seniority wysiadły z powozów i całe towarzystwa śmiejąc się; śpiewając i gawędząc odbywała dalszą drogę piechotą, trzymając się pad ręce.

- Caballeros! - zawałał Zefiria. - Prapanuję, by wypocząć nieco, w cieniu drzew, zanim wjedziemy pomiędzy skały!

Kobiety przystały z radością na tę propozycję i wkrótce orszak zatrzymał się na skraju lasu. Zwierzęta i powozy stanęły na szerokiej drodze.

- Hop, hop! - zawołał nagle Zefirio, sadowiąc się wraz z innymi na murawie. - A gdzie się podział nasz Anglik w kratkę? Nie widzę go tutaj. Hej, dumny synu chmurnego Albianu, gdzie jesteś?

Wszyscy zaczęli rozglądać się za Anglikiem, który znikł bez śladu. - Pożegnał się po angielsku! - zaopiniował jeden z młodzieńców.

- Nie ma tak dobrze! - krzyknął Zefiria. - Porfirio, Malibran, biegnijcie do koni i sprowadźcie tutaj Anglika żywego. lub umarłego! ...

Dwaj przyjaciele pobiegli w stronę powozów.

Nie czekano zbyt długo na ich powrót. Po dziesięciu najwyżej minutach powrócili zdyszani, prowadząc zmieszanego lorda.

- Mamy naszego zbiega! - zawałał Malibran. - Uciekał konna i zagroził nam zboksowaniem!

- Doprawdy, senioritas e senores - próbował tłumaczyć się lord Lister. - Nie mogę wam towarzyszyć w podróży do Tudeli, mówiłem państwu, iż mam pilną sprawę da załatwienia w Saragossie!

- Bez wykrętów! - rzekł Zefirio - Jest pan naszym jeńcem. Saragossa nie spali się w tym czasie i nie wyleci w powietrze!

Anglik, acz z wielką niechęcią, musiał jednak pozostać.

- Słuchaj, Zefirio.! - zawołał Malibran. - Skoro tu jesteś, powinieneś zabawić nas wszystkich!

- W jaki sposób? - zapytał Zefiria.

- Pokaż kilka nowych sztuczek magicznych!

- Tak, tak, Zefirio! - rozległy się zewsząd ogłuszające okrzyki. - Żądamy magicznych popisów! Zefirio., pokaż, co umiesz!

Zefirio posłusznie powstał i zakasał rękawy, rad z nadarzającej się sposobności popisania się przed licznym towarzystwem.

- Moi drodzy! - zaczął. - Widzicie moje ręce, nieprawdaż? Umyślnie zakasałem rękawy, by nikt nie pomyślał, że coś w nich ukrywam. A więc zaczynam!

Rozejrzał się uważnie po wszystkich obecnych. Wzrok jego przypadkowo zatrzymał się na lordzie, obok którego stali Porfirio i Malibran. Porfirio mrugnął nań znacząco, Malibran zerknął na Zefiria i przeniósł wzrok na Anglika. Lekkim, niedostrzegalnym drgnięciem powiek Zefirio dał swym przyjaciołom do zrozumienia, iż wie, o co im chodzi.

- A więc, moi drodzy, uważajcie dobrze! - kontynuował Zefirio. - Do nikogo z was nie podchodzę, nikogo nie dotykam, nie mogę więc nic skraść żadnemu z was, czy prawda?

- Tak, Zefirio! - rozległy się głosy.

- Zgadzacie się, iż nie mogę was okraść?

- Zgadzamy się!

- Doskonale!... Uwaga!...

Wyciągnął kraciatą chustkę z kieszeni, machnął nią kilka razy w powietrzu, dmuchnął w nią, zwinął w kłębek i chusteczka znikła. Wszyscy przyglądali się tej operacji szeroko rozwartymi oczami.

- Lafan... Hokus... Belzebub... Marokus! - rozległy się dziwne zaklęcia Zefiria. - Chusteczko, za sprawą duchów, diabłów, szatanów, upiorów i zmór wszelakiego rodzaju i gatunku odwiedź wszystkie kieszenie i zabierz, co ci się spodoba!

Machnął ręką i chustka ukazała się w jego dłoni.

- Gdzieś schowała skradzione rzeczy? - zapytał groźnie Zefirio i przyłożył zwiniętą chustkę do ucha. Nasłuchiwał uważnie przez chwilę. Usta jego rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

- Aha, to tak? - zawołał. - Ach ty, figlarko! Już teraz wiem, gdzie schowałaś swój łup!

Zwrócił się do obecnych:

- Senioritas e senores, panie i panowie! Mam zaszczyt oznajmić wam, iż moja magiczna chusteczka okradła was. Niech każdy sprawdzi u siebie, czy nic mu nie brakuje.

Wszyscy zajrzeli do swoich kieszeni.

Lord Lister nieznacznie zaczął się wycofywać.

- Czekaj, milord! - szepnął Porfirio, chwytając go za rękę. - Nie uciekaj. To jest takie ciekawe! Zefirio jest świetnym magikiem. Wszyscy doskonale się ubawimy, zobaczysz!

- Mój naszyjnik z pereł! - krzyknęła rozpaczliwie Klaryssa, chwytając się za szyję. - Zginął mój naszyjnik!

- Mój woreczek z pieniędzmi! - rozległ się inny głos.

- I mnie zginęły pieniądze!...

- Moja kolia brylantowa!...

- Dziesięć tysięcy peso w banknotach!...

Powstała nieopisana wrzawa.

- Uspokójcie się! - zagrział Zefirio. - Nic wam nie zginęło! Wiem, gdzie moja chusteczka schowała to wszystko!... Uwaga!...

Zapanowała głucha cisza.

- Hokus... Pokus... Magikus! - zaintonował Zefirio, zamknął oczy i wyciągnął ręce. Z wolna skierował się w stronę Anglika.

Z zapartym tchem przyglądali się wszyscy tej tajemniczej manipulacji.

Zefirio zatrzymał się przed lordem Listerem i zagłębił rękę w jego kieszeni z taką szybkością, iż ten nie zdążył zaprotestować, i wyciągnął z niej kolię z pereł.

- Czyj ten naszyjnik? - zapytał.

- Mój, mój! - krzyknęła Klaryssa, chwytając w locie rzucony jej naszyjnik.

- Czyja ta kolia? - zapytał znów Zefirio, wyciągając ją z kieszeni Anglika bladego jak płótno.

I w ten sposób wyjmował po kolei przeróżne cenne drobiazgi i pieniądze.

Lord Lister stał nieruchomy, nie śmiając odetchnąć, on to bowiem okradł wszystkich podczas podróży. I teraz ten przeklęty magik odbierał mu zdobycz.

- No i co, milordzie? - roześmiał się Zefirio, klepiąc go po ramieniu. - Wspaniała sztuczka, co?

- Przyznaję! - kwaśno uśmiechnął się Anglik. - Sztuczka rzeczywiście imponująca!

- Coś nie bardzo jesteś zachwycony, milordzie! Czyżbyś potrafił lepiej?

- Może!

- Zdaje ci się, senor! - rzekł poufnie Zefirio. - To żadna sztuka, by rzeczy znikwały, trudniej, by zjawily się z powrotem!

Detektyw z przypadku

W Tudeli wrzało jak w ulu. Uliczki miasta nie mogły pomieścić malowniczych tłumów.

Ludzie zjechali się z najdalszych okolic, by wziąć udział w dorocznym święcie. Młodzieńcy w grupach, po trzech i więcej, przebiegali ulicą z gitarami przystrojonymi różnokolorowymi wstążkami i medalikami. Gdzieniedzie tańczono, rozlegał się suchy trzask kastanietów, wiwatowano i flirtowano na zabój. Mężczyźni obdarzali piękne nieznajome- kwiatami, kobiety obdarzały mężczyzn najmiłszymi uśmiechami.

Pod palącym słońcem Hiszpanii wrzało życie i kipiała uciecha. Tłumy ciągnęły na korridę.

Zefirio, Porfirio, Malibran i lord Lister stanowili nierozłączną czwórkę od chwili przybycia do Tudeli. Anglik pogodził się wreszcie z myślą, iż nie zobaczy tak prędko Saragossy i ciekawie rozglądał się dookoła, uderzony niezwykłym dlań, a tak pięknym widokiem rozbawionych Hiszpanów. Byli tu Baskowie w swych obszernych beretach, Kastyljczycy w szerokoskrzydłych sombrerach i Aragończycy w złocistych strojach. Nie brakło i dumnych hidalgo w łachmanach oraz ciemnych osobistości nieokreślonej kondycji.

Nasza czwórka przedostała się wreszcie do swego miejsca na trybunie. W przepychaniu się przez tłumy najwięcej energii i zręczności wykazał Anglik. Ręce jego pracowały jak śmigła wiatraka, rozgarniając ludzi jak fale morskie.

- Uff! - westchnął ocierając pot z czoła i siadając na swym miejscu. - Ledwie się precisnąłem!

- To było zbyt cenne! - rzekł Malibrán. - Nikt nie zająłby naszych miejsc, gdyż są ponumerowane! Zefirio skierował swój wzrok w stronę łóż, gdzie usadowiła się śmietanka towarzyska.

- Aj, aj! - zawołał. - Co ja widzę, sami znajomi z Madrytu, księżę Mendoga z małżonką, hrabianki Orsea y Cerenna, markizowie de Tassina...

Zerwał się ze swego miejsca i chwycił lorda Listera za ramię:

- Milordzie, podziękuj opatrności, że przybyłeś ze mną do Tudeli. Poznasz najpierwsze rody i najbogatsze osobistości Hiszpanii. Takiego przepychu i bogactwa strojów, przysięgnę, że nie oglądałeś w Londynie!

Pociągnął go za sobą. Wydostali się z trybun i przeszli do łóż. Tutaj mógł Anglik stwierdzić, jak popularny jest Zefirio. W każdej prawie łoży rozlegały się okrzyki powitania, przerywane wesołym śmiechem.

- Ach, senor Zefirio Corti! - wołali hrabiowie, księżne i markizy. - Co za niespodzianka!

- Królowa często ciebie wspomina! - wołał księżę Mendoga, witając ze śmiechem wchodzącego. - Powiada, że nigdy nie będzie miała takiego jak ty szambelana!

- Kiedy odwiedzisz dwór w Madrycie, senor Corti? - pytały urocze hrabianki Orsea, powstrzymując się, by nie parsknąć śmiechem na wspomnienie występów Zefiria w Eskuriale. - Tęsknimy wszystkie za tobą, nie wyłączając najjaśniejszej pani!

Zefirio kłaniał się na wszystkie strony, jaśniejący zadowoleniem, i przedstawiał Anglika swym arystokratycznym znajomym.

Lord Lister czuł się - jak u siebie w domu. Prawił damom komplementy, schlebiał panom, jednym słowem, dystygowane towarzystwo bawiło się doskonale. Zjawienie się Zefiria wprawiło wszystkich w dobry humor.

Wreszcie młodzieniec wycofał się z łóż, pociągając Anglika za sobą. - Jacy to mili ludzie, członkowie hiszpańskiej arystokracji! - odezwał się lord. - Nie mają tej sztywności, jaka cechuje naszych angielskich arystokratów.

Powrócili na trybunę, gdzie czekali na nich Porfirio i Malibrán. - Przedstawienie niebawem się rozpocznie - rzekł Porfirio. - Lecz zdążymy jeszcze obejrzeć byczki w klatkach!

- Idziemy - rzekł Zefirio.

- Czy to konieczne? - zapytał lord Lister.

- Rozumie się! - zawołał Zefirio. - Znajduje się tam kilka byczków naszej hodowli!

Poszli w stronę klatek umieszczonych poza ogrodzeniem areny. Anglik nie spostrzegł szybkich spojrzeń, jakie zamienili z sobą trzej przyjaciele. Gdyby coś zauważył, z pewnością stałby się bardziej ostrożny. Lecz lord Lister podążał spokojnie w stronę młodych byków.

Pierwszy znikł Malibrán. Udał się do łóż, śpiesznie przywitał się z członkami arystokracji madryckiej i zapytał:

- Czy paniom nic nie brakuje? Proszę sprawdzić, czy kolie i naszyjniki są na miejscach!

- Moja kolia! - krzyknęła hrabianka Orsea. - Ukradziono mi ją!

- Moje diamenty!...

- Mój diadem!

- Perły, skradziono mi perły!...

- Policja, gdzie jest policja?...

Podniósł się hałas i wrzawa. Po chwili cały amfiteatr huczał i grzmiał:

- Policja... Tutaj są złodzieje!... Łapać, trzymać!

Zefirio i lord Lister stali przed klatką, w której miotał się młody byk o krwawych ślepiach. (Klatka ta znajdowała się na wprost szerokich, zbitych z desek podwoi prowadzących na arenę.)

- Przyjrzyj się temu bydłciu, milordzie! - mówił Zefirio. - Jest to młody, lecz obiecujący byczek Aga. Sam go chowałem, wspaniałe bydlatko, mówię ci, senor! Patrz na ten potężny kłęb! Czy widzisz, że wcale nie ma szyi? Łeb osadzony wprost na tułowiu. Za rok byczek ten stanie się postrachem torreadorów... Ale co się tam dzieje? Co to znaczy?

Lord Lister uniósł głowę. Ponad ogrodzeniem ujrzał tłumy na amfiteatrze. Głuchy szum, jakby pomruk burzy, przebiegał wśród publiczności. Kilkunastu policjantów biegło w stronę łóż.

- Łapać złodzieja! - ryczał tłum.

Porfirio stał za plecami Zefiria i lorda Listera. Gdy tłum zaczął ryczeć, cofnął się o dwa kroki i skinął na posługaczy stojących w pobliżu. Następnie wyjął z kieszeni ciężką sakiewkę i cisnął najbliższemu stojącemu. Brzęknęło złoto. Człowiek skwapliwie pochwycił sakiewkę i mrugnął na swych towarzyszy.

To co się dalej działo, odbyło się w okamgnieniu.

Zefirio wyjął z kieszeni czerwony kawałek materii i zaczepił na plecach nic nie podejrzewającego lorda.

Podwoje zgrzytnęły i otwały się ukazując olbrzymią arenę wysypaną żółtym piaskiem.

Zefirio i Anglik stali pomiędzy klatką i areną.

Prawie jednocześnie z otwarciem podwoi, drzwiczki klatki poszły w górę.

- Uwaga! - wrzasnął Zefirio, chwycił Anglika za rękaw i pociągnął na arenę.

Z otwartej klatki wybiegł byk. Zawahał się sekundę. Ujrzał umykających dwóch ludzi, na plecach jednego z nich widniała czerwona plama. Czerwony kolor momentalnie sprawił byczka we wściekłość. Schylił rogi i rzucił się w ślad za lordem Listerem.

Głucha cisza zaległa na widowni. Tłum zamarł w bezruchu.

- Milordzie! - wrzasnął rozpaczliwie Zefirio. - Ratuj się, byk cię goni!

Przerażenie dodało Anglikowi skrzydeł. Nie biegł, lecz po prostu fruwał.

Niestety, byk był szybszy. Dopadł lorda z tyłu i wyrzucił na ziemię. Następnie zaczął ryć rogami ciała leżącego, rozdzierając na nim ubranie w strzępy..

Anglik miał szczęście, iż nie był to dorosły byk, lecz młody byczek, który niedawno był cielęciem, bowiem przypłaciłby śmiercią swą przygodę.

Zefirio uczeplił się ogona byczka i ciągnął go do tyłu, wrzeszcząc:

- Aga, daj spokój!... Puść go, Aga... To nie jest torreador... To jest Anglik... Lord!... Aga, zostaw w spokoju lorda!...

Byczek usłyszał znajomy głos i poczuł, że ktoś ciągnie go za ogon. Wściekłość jego znikła bez śladu, możliwe, że nabrał szacunku dla angielskiego arystokraty, dość, że gdy nadbiegli posługacze, dał się spokojnie odprowadzić do klatki.

Lister leżał na piasku jęcząc. Nie odniósł żadnej rany, najwyżej kilka zadraśnięć, był jednak mocno poturbowany i poprzez rozdarte ubranie przebierało nagie ciało. A z rozdartych kieszeni wypadły na piasek areny jakieś błyszczące przedmioty.

Zefirio skoczył wraz z innymi ludźmi do leżącego, z zamiarem wymeslema go z areny.

- Co to jest? - zawołał zdziwiony Zefirio, biorąc do ręki jeden z błyszczących przedmiotów, które wypadły z -rozdartej kieszeni Anglika. Podniósł ten przedmiot w górę, by mu się lepiej przyjrzeć pod światło.

- Moja kolia! - rozległ się kobiecy okrzyk z łoża. - Moja skradziona kolia!

Wśród tłumu rozległ się groźny pomruk.

Zefirio rozglądał się dookoła, nic nie rozumiejąc. Podniósł następny przedmiot, potem drugi i trzeci. Za każdym razem rozlegał się krzyk:

- To są moje perły!

- To jest mój diadem!

- Mój woreczek!

Posługacze nie tknęli leżącego. Zdębieli i głupimi oczyma wpatrywali się w świecidełka, które Zefirio kolejno podnosił z piasku.

- To jest złodziej, ten co leży! - rozległy się wściekłe okrzyki. - Bij, zabij!

Pierwsi oprzytomnieli policjanci pełniący służbę w przejściach. Rzucili się na arenę i dopadli leżącego Anglika. Chwycili go na ręce i rzucili się z nim do ucieczki, uprowadzając jednocześnie Zefiria, który trzymał ciągle w rękach wszystkie te cenne rzeczy znalezione przy lordzie. Był czas najwyższy, bowiem z trybun na arenę skoczyło kilkudziesięciu mężczyzn. Gdyby nie szybki refleks policjantów, Anglik zginąłby pod nożami rozwścieczonych caballeros.

A gdy lord Lister otworzył po kilku minutach oczy, zobaczył, że znajduje się w dużej sali, a dookoła niego stoją policjanci oraz Zefirio, Porfirio i Malibran.

Zefirio był zakłopotany, Porfirio i Malibran uśmiechali się, policjanci spoglądali nań surowo.

Zrozumiał.

- Jak to się stało? - zapytał. - Kto odkrył?
- To ten byk! - rzekł Malibran.
- Magiczny, podobnie jak chustka! - dodał Zefirio.
- Nie, prędzej byk-detektyw z przypadku - poprawił Porfirio. Anglik zamknął oczy i westchnął, po chwili otworzył je i zapytał: - Co się ze mną stanie?
- Nic szczególnego - odpowiedział Zefirio. - Najwyżej kilka lat bezpłatnego mieszkania.
- Nie macie prawa! Jestem obywatelem angielskim. Te perły podłożono mi. Należę do londyńskiej arystokracji i nikt nie ma prawa posądzać mnie o kradzież.
- Czy w Londynie nie ma złodziei? - zapytał Porfirio. - I czy nie zdarza się czasem, że syn arystokratycznych rodziców pójdzie złą drogą?
Lord Lister nic nie odpowiedział.

Ucieczka lorda

W dzień święta ludowego klucznik więzienia miejskiego w Tudeli zarobił wiele pieniędzy. Pochód ciekawych ujrzenia autentycznego lorda za kratami - nie ustawał.

Raffles w swej celi co chwila słyszał przyciszone szepty na korytarzu, po czym judasz w drzwiach uchylał się i do środka zaglądała coraz to inna twarz. Zniecierpliwion_ Anglik ułożył się na posłaniu twarzą do zakratowanego okna. W ten sposób ciekawscy widzieli tylko włosy więźnia, plecy i podeszwy butów.

Największego rozczarowania doznawały kobiety. Była nawet jedna, która natarcywie domagała się od klucznika zwrotu pieniędzy. Anglik słyszał to zupełnie wyraźnie.

Po pewnym czasie klucznik otworzył drzwi i wszedł do celi. - Czego znowu? - zapytał Lister opryskliwie.

Klucznik chrząknął:

- Senor - rzekł przestępując z nogi na nogę. - Jestem biednym człowiekiem, mam pięcioro dzieci, a na żołądź więziennym wyżyć trudno!...

- Zmień zajęcie!...

- Kiedy nic nie umiem robić prócz pilnowania więźniów... - Co mnie to wszystko obchodzi?

- Senor, mam do ciebie wielką prośbę!

- Słucham!

- Zmień pozycję, odwróć się twarzą do drzwi!

- Żądasz zbyt wiele, przyjacielu! - odparł Raffles, siadając. Nie leży to w moim interesie, by cała Tudela oglądała moje oblicze!

Klucznik złożył błagalnie ręce:

- Litości dla mych sześciorga dzieci, senor! - jęknął. - Mówiłeś, że masz pięcioro!

- Tak, ale szóste jest w drodze!... Senor, jest to dla mnie jedyna okazja zarobienia kilku dodatkowych peso. Odwiedzający są niezadowoleni, że kryjesz swą twarz i żądają pieniędzy z powrotem...

- Możesz nie zwracać!

- Niestety muszę, senor! W większości są to panie należące do dworskiej arystokracji. Jedno słówko takiej hrabiny lub markizy, a wylecę na zbity łeb z posady!

- Nie zrobi się dziura w niebie!

- Senor, senor! A co na to powie moich sześciorgo dzieci i siódme, które jest w drodze, gdy nie będę miał za co kupić im mleka?..

- Jak widzę, co chwila przybywa ci jedno dziecko - zauważył Raffles. - Dopiero co szóste było w drodze, a teraz siódme?

- Bo to będą bliźnięta! Zlituj się nad nimi, senor!

- Zaczekam, aż naliczysz do tuzina, a wówczas zaproponuję ci tysiąc peso za ułatwienie mi ucieczki!

Klucznik cofnął się przerażony i przeżegnał się:

- To jest niemożliwe, senor! Nie znasz widocznie dyrektora tego więzienia. Przed rokiem uciekł z sąsiedniej celi taki jak ty złodziejaski kieszonkowy i wiesz co się stało, senor? Mój poprzednik, klucznik tego więzienia, siedzi dotychczas w tej samej celi, z której uciekł ten złodziej!

- A więc nie mamy o czym mówić! - zakończył rozmowę Anglik, kładąc się z powrotem na swój barłóg.

- Co będzie z odwiedzającymi? Czy pokażesz im swe szlachetne oblicze, senior?

- Wynoś się! - ryknął wściekle Anglik i przestraszony klucznik wycofał się śpiesznie z celi. Zamknął starannie drzwi i odszedł mruczając pod nosem jakieś przekleństwa.

Była godzina piąta po południu.

Anglik spoglądał przez okratowane okno na skrawek błękitnego nieba i nucił "It is a long way to Tipperary" i się nudził.

Wtem na korytarzu rozległy się kroki i Judasz uchylił się tego dnia po raz dwudziesty.

- Płatna wizyta - mruknął Raffles przez zęby i odwrócił twarz ku oknu. Dwudziesta wizyta, all devils, niech wszyscy diabli porwą tych natrętów!

Za drzwiami rozległy się przyciszone głosy.

- Czy to jest ten lord schwytyany na kradzieży?

- Tak jest, senior!

- Przecież nie widać jego twarzy! Skąd mam tę pewność? - Daję ci słowo honoru, senior! To jest on!

- Czy nie można wejść do celi, by mu się bliżej przyjrzeć? - Niemożliwe, senior!

- Dobrze zapłacę!

- Nawet za milion nie zrobię tego. Dyrektor więzienia nie żartuje. Zabronił mi wpuszczać kogokolwiek do celi, a ja jestem ojcem ośmiorga dzieci, senior!

Ostatnie słowa dosłyszał Anglik i krzyknął:

- Bardzo dobrze, mój strażniku! Przepędź tego intruza!

Prawie jednocześnie do uszu jego dobiegł cichy, ledwie dosłyszalny odgłos, jak gdyby kulka papieru upadła na kamienną podłogę celi. Lord powoli uniósł głowę i tuż pod drzwiami zobaczył mały, podłużny zwitek papieru.

Judasz został zatrzaśnięty i kroki mężczyzn oddaliły się. Raffles ostrożnie powstał z posłania, zbliżył się do drzwi i podniósł zwitek. Po chwili ujrzał cienki pilniczek owinięty w papier, na którym napisano:

Milordzie! Nie było w naszej umowie, że dasz się schwytać, zanim odbędziemy pojedynek zręczności, sprytu i odwagi. To co Ci się przydarzyło, jest niezbitym dowodem, że nie jesteś godnym mnie przeciwnikiem. Nie wiem, kto Ci wyrobił reklamę w Anglii, przekonałem się jednak, że w rzeczywistości, pomimo wszystko co o Tobie mówią lub piszą, nie jesteś niczym więcej jak tylko zwykłym i to niezbyt zręcznym złodziejem, z tą tylko różnicą, że pochodzisz z lepszej rodziny. Dostałeś niegdyś tego zaszczytu, że podałem Ci nieopatrznie rękę. To wystarczy, że nie pozwolę, byś gnął w więzieniu. Uwolnię Cię. Uprzedzam jednak, że musisz czmychnąć jak najprędzej do swego kraju, gdzie nadal będziesz imponował głupcom. Dalszy pobyt tutaj narazić Cię może na zbyt poważne konsekwencje. Powietrze tutaj jest niezdrowe dla Ciebie.

Zorro

Ps. O jedenastej w nocy, po przepiłowaniu kraty, wydostaniesz się przez okno. Dalszym Twym losem ja się zajmę!

Anglik zgrzytnął zębami z bezsilnej wściekłości. Po dłuższym jednak namyśle nabrał przekonania, iż najrozsądniej dla niego będzie zastosować się do wskazówek Zorry.

Zegar wieżowy powoli wybijał godziny. Więzień z niecierpliwością oczekiwał umówionej chwili. O dziesiątej wieczór zaczął przepiłowywać pręty. Pilnik, pomimo swej cienkości, był z wyśmienitej stali. O jedenastej, z zachowaniem wszelkich ostrożności, Anglik gotów był do opuszczenia celi.

Usunął kratę i w tej samej chwili coś przesunęło się w powietrzu i uderzyło go z lekka w twarz. Instynktownie chwycił tę rzecz. Była to linka rzucona z dołu. Umocował jej koniec u framugi okna i wysunął się na zewnątrz. Zawisł na sznurze i w słabej poświacie księżycy zaczął się zsuwać na dół. Niebawem nogi jego wyczuły ziemię i ktoś chwycił go za ramię. Zrozumiał, że to Zorro, choć widział tylko czarne kontury człowieka w długim płaszczu. Zamaskowany mężczyzna pociągnął go za sobą w kierunku wrót więzienia.

Wydobył z kieszeni pęk kluczy i cicho podzwaniając dobierał odpowiedni do żelaznych podwoi. Wreszcie zamek szczęknął i wrota uchyliły się ze zgrzytem.

Nagle w gmachu więzienia rozległ się okrzyk wściekłości i przestraszu. Zawtórowały mu inne głosy.

- Odkryli związanego przeze mnie klucznika pilnującego wrót - szepnął Zorro. - Śpieszmy się!

Rozległ się huk wystrzału. Był to alarm. Zaraz potem odezwał się dzwon więzienny i z bocznego skrzydła gmachu wysypali się uzbrojeni ludzie.

Zorro i Anglik dopadli koni, które spokojnie oczekiwały w sąsiedniej uliczce, uwiązane do sztachety.

Żandarmi, pilnujący więzienia, wybiegli za nimi. Inni, przytomniejsi, prowadzili konie.

- Trzymajcie się zdrowo, zuchy! - zawołał Zorro, odwracając się w ich stronę.

Rumak, przynaglony uderzeniem ostróg Zorry, pognął wzdłuż uliczki. Anglik podążył za nim.

Żandarmi z największym pośpiechem dosiedli koni i pognali naprzód, bodąc z wściekłością ostrogami boki końskie.

A tymczasem w dół ulicy pędziły w huraganowym tempie dwa rumaki z jeźdźcami rozpląszczonymi na siodle.

Na skrzyżowaniu dwóch ulic pełnili nocną służbę dwaj strażnicy. Usłyszeli z oddali niezwykle hałas, tętent koni i strzelaninę. W następnej sekundzie dostrzegli wyłaniających się z mroków nocy i pędzących w ich kierunku zbiegów. Porwali za broń. Otwory luf uniosły się i zatrzymały na wysokości tułowia jeźdźców, bo w tym momencie rozległ się ostry świst rzemienia przecinającego powietrze. Strażnicy stali obok siebie i jednocześnie uczyli ostry ból na szyi, po czym jeden z nich, pociągnięty końcem bicia, zwałił się na drugiego i obaj z rykiem bólu i wściekłości runęli, zaś ich strzelby wypaliły jednocześnie, żłobiąc dwie dziury w ziemi.

Po pewnym czasie zbiegowie zniknęli z oczu ścigającym. Zorro popędzał konia milcząc. Anglik sunął za nim, trwożnie oglądając się poza siebie.

Wreszcie jeździec w masce zatrzymał konia na skrzyżowaniu dróg, daleko od miasta.

- Patrz, senor - rzekł ukazując rękojeścią bata drogę ciągnącą na północo-zachód. - Oto droga do granicy. Radzę ci nie oglądać się poza siebie i wiać czym prędzej z Hiszpanii, jeśli chcesz ujrzeć Anglię za życia! Tutaj ludzie nie żartują z partaczami!

Anglik chciał coś odpowiedzieć, lecz zamilkł po pierwszym słowie, bo zauważył, że Zorro znikł jak duch wśród ciemnych drzew. Czuł, że słowa zamaskowanego mężczyzny nie zawierają ani odrobiny przesady. Opuściła go zwykła pewność siebie i znikła wszelka fanfaronada. Poczul się jak bezradne dziecko wśród obcych mu żywiołów. Smagnął konia i rzucił się do ucieczki.

Długo trwała jego podróż. Zgodnie z poleceniem Zorry nie zatrzymywał się nigdzie po drodze. Dopiero w Anglii.

Następstwem jego niefortunnej podróży było to, że ilekroć wymawiano przy nim słowo: Hiszpania, mieszał się, bladł i tracił natychmiast całą swą nonszalancję.

W okolicy zaś Huesco, Tudeli, Chiarea ze śmiechem wspomniano dystyngowanego Anglika, który co prawda miał długie ręce, lecz za to nie umiał trzymać tego, co brał.

Gubernator ostrzega

Podłużną salę pałacu gubernatorskiego jaskrawo oświetlał olbrzymi żyrandol. Pośrodku stał długi stół nakryty zielonym sukniem, przy nim siedzieli mężczyźni w mundurach i cywilnych ubraniach. Rozmawiali.

Główne miejsce przy stole, fotel gubernatora, nie było dotychczas zajęte. Wzrok zebranych spoczywał od czasu do czasu na tym fotelu. Wyczekiwano gubernatora z niecierpliwością.

Wreszcie drzwi otworzyły się z trzaskiem i wszedł don Alvarez. Obecni powstali ze swych miejsc i głowy pochyliły się z szacunkiem.

Wielkorządca był zasepiony. Szybko zbliżył się do stołu, niedbałym skinieniem głowy odpowiedział na ukłon zebranych i zasiadł w fotelu.

Zapanowała głucha cisza, oczekiwano przemowy gubernatora.

- Senores! - rozpoczął don Alvarez suchym głosem, wyraźnie wymawiając każde słowo. - Spodziewałem się po was wielkich rzeczy i zawiodłem się na was sromotnie. Ani wy panowie dyrektorzy policji miast Aragonii, ani też wy oficerowie żandarmerii, ani wy szefowie tajnej policji nie stanęliście na wysokości zadania. Skarb państwa wypłaca wam znaczne pieniądze w postaci pensji i gaż miesięcznych, lecz cóż w zamian otrzymuje? Nic, absolutnie nic! Aragonia to kraj względnie spokojny, ludzie tutaj nie upijają się za bardzo, nie kradną, nie mordują się nawzajem. Od pewnego czasu można by bez broni podróżować po Aragonii, gdyby nie jeden jedyny opryszek Zorro. Tak, jeden jedyny człowiek, któremu wy wszyscy tutaj zebrani, z całym swym aparatem szpiegów, wywiadowców, policjantów, donosicieli i innych, nie możecie sobie dać rady. To jest niesłychane! Był czas, kiedy nie sprawowałem jeszcze urzędu gubernatora i mogłem poświęcić się walce z tym człowiekiem! Udało mi się wówczas dostać go w swe ręce. Wymknął się, lecz do tej pory nikt nie natrafił na jego ślad. Senores, tak dalek być nie może! Osobiście nie mogę go już tropić, gdyż ciąży na mnie obowiązki związane z funkcją gubernatorską. I uprzedzam was, że nie ścierpię na mej służbie ludzi niedołężnych... - W tym miejscu twarz jego przybrała srogi wyraz i podniósł głos: - Oto ostatnie zlecenie, jakie wam daję, senores. Jeśli do dziesiątego lipca, czyli w ciągu siedmiu dni nie schwytacie Zorry, będę zmuszony wydalic was ze służby, wszystkich co do jednego, senores, a na wasze miejsce przyjąć nowych, energicznych ludzi z Madrytu!

Słowa te były rzucone z taką brutalnością, że zebrani poruszyli się niespokojnie.

Don Alvarez wstał i rzekł odchodząc:

- To wszystko, co miałem do powiedzenia, senores. Naradźcie się, co do wspólnej akcji lub też czyńcie, co się wam żywnie podoba. Zaznaczam, że nie należy się cofać przed żadnym wydatkiem. Wszelkie koszty pokrywam!

Wyszedł trzaskając drzwiami.

Przemówienie jego podziało jak bat w rękach woźnicy. Zebrani ożywili się, jakby wyrwani z letargu. Postanowiono po długich sporach i naradach uciec się do ostatecznych środków.

Następnego dnia okolica Aragonii, stanowiąca trójkąt pomiędzy Saragossą, Huesco i Tudelą, przedstawiała niezwykły widok. Na każdym prawie zakręcie drogi, za każdym pagórkiem czy gładem siedział lub leżał człowiek. Z pozoru byli to leniwi wieśniacy lub włóczęgi, którzy zażywali wypoczynku i drzemali. Kto by jednak uważniej przyjrzał się tym ludziom, przekonałby się, iż ich oczy, czujne i rozbiegane, nie pomijały najmniejszego szczegółu w okolicy, ręce zaś trzymali w pobliżu pistoletów zatkniętych za pasem.

W ciągu dnia ludzi przybywało. Włóczyli się z obojętnymi minami dookoła każdej wioski, w miasteczkach zatrzymywali się na rynkach, zaglądali do każdej bodegi* (* Knajpa), przystawali na skrzyżowaniach ulic. Aragończycy ze zdumieniem obserwowali to dziwne najście obcych. Nie było punktu strategicznego lub obserwacyjnego, którego by nie zajął ktoś z tych nowych. Z każdego zagajnika wyglądała podejrzana twarz lustrująca przechodzących drogą wieśniaków lub obserwująca podróżnych.

Policja i żandarmeria zatrzymywała podróżnych w karocach i sprawdzała dokumenty. Biada wieśniakowi, który by zabłąkał się w lesie. Aresztowano go i przyprowadzano do najbliższego posterunku. W każdym widziano sojusznika, poplecznika lub pomocnika Zorry.

Stan ten trwał cztery dni. Był to prawdziwy stan wojenny. Piątego dnia dyrektor policji okręgu Huesco zgłosił się do gubernatora i oświadczył z głębokim westchnieniem ulgi:

- Ekscelencjo! Zdaje się, iż trzymamy Zorrę w rękach! Don Alvarez podskoczył z wrażenia, lecz w następnej chwili usiadł zniechęcony i machnął ręką:

- Nikt mnie nie nabierze na ten kawał! Tysiące razy zapewniano mnie, iż Zorro już... już gotów. A on nadal spokojnie przebiega drogi i trakty i rabuje pieniądze państwowe!

Lecz urzędnik policji przybliżył usta do ucha gubernatora i długo szeptał.

Na obliczu don Alvareza odbiły się kolejno niedowierzanie, zwątpienie, następnie w oczach jego zajaśniał promyk nadziei. Zatarł ręce z widoczną satysfakcją:

- Jeśli przypuszczenia twe są słuszne - rzekł - to jak mi Bóg miły, trzymamy wreszcie tego ptaszka!

- I tak jest, ekscelencjo, trzymamy go! Jeśli nawet pierwszy atak zawiedzie, pozostaje jeszcze stary węglarz!

- Koniecznie muszę być przy tym! - zawołał don Alvarez, w którym odezwała się żyłka dawnego oficera żandarmerii. - Muszę wziąć udział w łowach! Zbyt mnie ta historia pasjonuje, bym spokojnie mógł

siedzieć w domu, podczas gdy będziecie chwytać Zorrę!

Obleżenie

Koło zamku Chiarea zaczęli krążyć jacyś ludzie. Ukryci za każdym prawie drzewem, w gęstwinie, na gałęziach, wzrok mieli zwrócony na zamek. Miało się wrażenie, że oczekiwali sygnału.

Marszałek Serrano ze zdumieniem zauważył, że służba zamkowa zwiększyła się w trójnasób. W ogrodzie zamiast jednego ogrodnika pracowało aż sześciu. Twarze tych ludzi były mu zupełnie nieznane.

Wezwał swego majordoma.

- Co tu się dzieje, mój wierny sługo? - zapytał. - Nie wiedziałem, że mamy tylu służących na zamku. Naliczyłem dobre trzy setki ludzi!

Zarządca zmrużył oczy i szepnął do ucha marszałka:

- To nie nasi ludzie, ekscelencjo!

- Co?...

- Policja, ekscelencjo!

Don Serrano zrobił wielkie oczy.

- Nic nie rozumiem! Co tu ma policja do czynienia?

- Zorro!...

- Słuchaj, Diego! - zawołał marszałek zniecierpliwiony. - Żądam wyjaśnień. Nic nie rozumiem z twych lakonicznych odpowiedzi!

- Bardzo przepraszam, ekscelencjo! Wytłumaczę jaśniej. Podobno Zorro co noc przychodzi pod zamek i wyśpiewuje serenady!...

- Zorro wyśpiewuje serenady pod moim zamkiem? - zdumiał się don Serrano. -.- Co za brednie?

- Ja go nie słyszałem ani nikt ze służby, śpiewa bowiem pod balkonem z zachodniej strony zamku.

Tak twierdzi policja.

- Pod balkonem mojej córki Juany?

- Ano, tak wypada!

- Nie, to niemożliwe. Juana by mi powiedziała!...

Diego rozłożył ręce:

- Dostojny panie, nie ja to twierdzą, lecz policja...

- Muszę to wyjaśnić! Poproś tutaj donnę Juanę! Majordomus wyszedł i powrócił niebawem w towarzystwie Juany.

- Wzywałś mnie, ojczy? - spytała.

- Tak, moje dziecko! Dziwne rzeczy dzieją się w tym zamku, a ja o niczym nie wiem! Co to za nocne serenady pod twoim balkonem?

Juana roześmiała się wesoło:

- Ach, ojczy! - zawołała. - Niech się biedak wysila, pozwól mu!

- Jaki biedak? Co za biedak?

- Zorro, ojczy!

- Zorro? - zerwał się marszałek. - A więc to prawda, co twierdzi policja!

- Co? - zdziwiła się Juana. - Policja wie o wizytach Zorry pod moim balkonem?

- Tak, wyjrzyj oknem, a zobaczysz kilkunastu drwali, sześciu ogrodników, czterdziestu lokajów, służących i tak dalej bez liku. Ci wszyscy to policja. Zamek mój jest obleżony. I to wszystko przez te serenady, do licha! Co też mu przyszło do głowy, że akurat obrał sobie moją rezydencję dla swych muzycznych popisów?

- Czy ja wiem? - uśmiechnęła się lekko Juana. - Może zakochał się we mnie?

- Tego jeszcze brakowało do twojej kolekcji. Słuchaj, Juano, wieczorem przyjdę do twego pokoju!

Muszę przeszkodzić temu łotrowi.. .

- Przeszkodzić w czym?

- Jak to, nie rozumiesz? Osaczony w ogrodzie, może wdrapać się na balkon i ukryć w twoim pokoju. Stanę na straży ze spadą w rękę!

- Jak sobie życzysz, ojczy! - wzruszyła ramionami Juana i wyszła z gabinetu.

Ledwie znalazła się za drzwiami, wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie. Zagryzła wargi i zmarszczyła brwi.

Biedny chłopiec! myślała. Jak tu przeszkodzić policji? Nie mogę przecież pozwolić, by z mego powodu Zorro gnił w więzieniu. Boże, Boże, w jaki sposób mam go uprzedzić o grożącym mu niebezpieczeństwie?

Przeszła do swego buduaru, pogrążona w głębokiej zadumie.

Jeśli się wymknę, rozważała, policja będzie mnie śledzić. Zresztą gdzie ja go znajdę? Gdyby chociaż mój ojciec nie uparł się czuć w moim pokoju! Nie mogę jednak zamknąć drzwi przed nosem mojego ojca!... Co robić, co robić...

Chodziła nerwowo tam i z powrotem, załamując ręce. Wreszcie jakaś idea zaświtała w jej głowie. Uśmiechnęła się i odetchnęła z ulgą.

- Tak, to pomysł - szepnęła. - Na pewno mnie zrozumie!

A gdy noc zapadła, marszałek wysłał Juana z jej pokoju i sam stanął uzbrojony w oknie.

Niesamowita cisza panowała dookoła, przepojona jakąś grozą. W ogrodzie zamkowym, w parku, w lesie, przyczaili się ludzie. Nawet w zamku, tuż przy wejściu. Czteryście serc biło przyspieszonym tętnem, czteryście par oczu starało się przebić ciemności nocy. Osiemset rąk zaciskało strzelby, pistolety i szable. Pułapka była gęsto obstawiona. Tak gęsto, że pomimo ciemności przekradający się kot zostałyby bez najmniejszego hałasu przebity szpadą.

Wtem ktoś wbiegł do pokoju Juany, ciężko dysząc. Był to urzędnik policji.

- Senor! - zawołał wzburzony. - Kto to podaje sygnał ostrzegawczy z pańskiego zamku?

- Sygnał z mojego zamku? Czyś oszalał, senor?

- Nie oszalałem, senor! Z pokoju nad nami ktoś przesłania świecę w miarowych odstępach! .

Marszałek jak oparzony pobiegł na górę.

W pokoju o nagich ścianach zastał córkę z zapaloną świecą w ręku..

- Co ty tu robisz! - krzyknął gniewnie. - Co to za zabawy ze świecą?

- Nudzę się, ojcze! - odpowiedziała spokojnie Juana. - Bawię się ogniem!

- Uwważaj, byś się nie sparzyła! - wybuchnął don Serrano - i wydarł jej świecę z ręki.

- Jesteś okrutny, mój ojcze! Czy mam pozostać w Ciemnościach?

- Pozostań, gdzie chcesz i jak chcesz, byle nie w tym pokoju!

- Oj, ojcze! - pogroziła paluszkami Juana. - Bo ja już czuję gniew wzbierający w moim sercu. Co to za tyrania?

Lecz don Serrano był dzisiaj w wyjątkowo wojowniczym nastroju. Wyciągnął córkę z pokoju, zamknął drzwi na klucz, zgasił świecę i rzekł:

- Masz natychmiast pójść do apartamentów we wschodnim skrzydle zamku. Zaczekaj na mnie w rycerskiej sali.

- Brr! Tam są szczury!

Don Serrano nie słuchał dalej. Pobiegł z powrotem do pokoju Juany i stanął w drzwiach prowadzących na balkon.

Ciągle panowała złowroga cisza.

Nagle gdzieś w oddali zawył pies. Lekki wiaterek szeleścił gałęziami drzew i ten szelest był denerwujący.

Oczy wpatrzone w ciemności bolały od napięcia. Słuch kilkuset zaczajonych ludzi chwycił najlżejszy szelest. Co chwila zdawało się, że Zorro jest tuż, tuż. Ale cisza panowała nadal.

Na kilku zegarach zamkowych zaczęła wydzwaniać północ. Nie przyjdzie tej nocy, pomyślał don Serrano.

Ledwie przebrzmiało ostatnie uderzenie zegara, gdy na dole, pod balkonem, rozległy się dźwięki gitary i melodyjny głos zaczął śpiewać:

Czy nie widzisz, okrutnico,

Bezlitosna ma Juano,

Że mi ból zasnuwa lico,

A w mym sercu krwawi rana?

*Dookoła źli wrogowie
Wyostrzone dzierzgą szpady,
Im zależy na mej głowie,
A mnie smutek dręczy blady.*

*Przyczajeni w tej gęstwinie
Są jak wilki krwi spragnione...
Lecz do ciebie pieśń ma płynie
I z miłości cały płonę!*

*Powiedz: kocham! - w zapomnieniu,
Przytul skroń do mojej skroni,
A przepędzę w okamgnieniu
Pół tysiąca tych wałkoni!*

Nagle rozległ się potężny okrzyk:

- Co, my jesteśmy wałkoni?... Naprzód chłopcy, to jest Zorro! Brać go! Strzelaj! Bij! Rąb! Naprzód! Otoczyć go!

- Naprzód! - rozległy się okrzyki z paruset piersi. - Zorro, poddaj się!... Chwytać go!... O, tam pod balkonem!... Czarny cień! Otoczyć go!... Trzymać się razem!... Szable do ciosu!... Broń do oka!... Nie ujdzie nam!...

Lecz zanim ludzie zdążyli go dopaść, czarny cień przesunął się po sznurze i skoczył na balkon. Tutaj czekał nań don Serrano ze szpadą w ręku. Chwytał Zorrę za rękę i wołając: na pomoc, on jest tutaj! - pociągnął go za sobą.

W pierwszej sekundzie, gdy Zorro skoczył na balkon i ujrzał przed sobą marszałka, miał zamiar obalić go jednym uderzeniem. Lecz don Serrano, pomimo swych nawoływań, nie okazywał żadnych wrogich zamiarów, toteż Zorro dał się spokojnie prowadzić.

Don Serrano, nawołując ciągle, wyciągnął go na korytarz i pobiegł pierwszy, szepcząc:

- Prędko za mną!

Znikli obaj za zakrętem korytarza, a z jednej z komnat wyjrzała Juana. Oblicze jej wyrażało głębokie zdumienie, widziała bowiem, jak ojciec jej ciągnął Zorrę za sobą i nie mogła zrozumieć tej sceny.

Tymczasem uzbrojeni ludzie wpadli do zamku i w przejściu rozległ się tupot licznych, biegnących nóg.

W tej samej chwili don Serrano powrócił, wołając:

- Tędy, tędy uciek!... Próbowałem go zatrzymać, ale wytrącił mi pistolet z ręki i złamał szpadę. Prędko za mną, senores, może go jeszcze schwytemy!

Znów zawrócił, prowadząc tłum policjantów i żandarmów za sobą.

Przebiegli szereg komnat i don Serrano zatrzymał się jak wryty przed tajemniczymi drzwiczkami, które obecnie były otwarte na oścież.

- Ach, to łajdak! - krzyknął don Serrano. - Skąd znał to potajemne przejście?

Odwrócił się do ludzi, którzy zatrzymali się razem z nim:

- Senores, ten opryszek uciekł tym podziemnym korytarzem! Biegnijcie za nim, to może go jeszcze zdołacie schwytać!

Ludzie, przeklinając i złorzeczając, wpadli hurmem w tajemny korytarz i zaczęli schodkami zbiegać na dół.

Don Serrano uśmiechnął się, zatarł ręce i zadowolony z siebie powrócił do pokoju Juany.

Zastał swą córkę przy stole, na którym stała zapalona lampa.

- No i cóż, ojczu? - zapytała Juana.

Don Serrano przybrał groźny i zawzięty wyraz twarzy:

- Wyobraź sobie, moja córko, że ten bandyta znał tajemne wyjście z zamku. Tym razem udało mu się uciec, lecz ja go złapię, dając ci słowo!

- Jak to, czy zamek ma tajemne wyjście?

- Tak! Podziemny korytarz biegnie daleko poza zamkiem i kończy się wśród lasu! Nie mogę sobie darować, że dałem się zwyciężyć przez tego rabusia!

Juana uśmiechnęła się i rzekła patrząc ojcu w oczy:

- Dziwna to była ucieczka! Wyglądało na to, że ty biegleś pierwszy...

- Uciekałem przed nim, przyznaję się! - odparł don Serrano lekko zmieszany.

- Biegleś pierwszy, mój ojczu, i ciągnąłeś go za sobą!

Po tych słowach zaległo dłuższe milczenie.

Wreszcie don Serrano roześmiał się i cicho zapytał:

- Widziałas?

- Widziałam, lecz nie pojmuję!...

- On tak pięknie śpiewa serenady! - westchnął marszałek. I jeszcze ciszej dodał: - Zresztą to dzielny chłopiec!

Wypowiadając te ostatnie słowa, nie dostrzegł wysokiej postaci, która stanęła w obramowaniu drzwi. Był to gubernator we własnej osobie.

- Wybacz mi, senor - rzekł don Alvarez, przestępując próg pokoju. - Słyszałem całą rozmowę. Jeśli się nie mylę, okazałeś pomoc w ucieczce temu bandycie!

Don Serrano drgnął na dźwięk głosu don Alvaraza, lecz w następnej sekundzie zapanował nad sobą i odparł:

- Mylisz się, senor! Słowa, które podsłuchałeś...

- Nie podsłuchałem, senor, lecz usłyszałem zupełnie przypadkowo!

Gniew don Serrana zaczął wzbierać:

- Przekładkowo usłyszałeś?! - krzyknął przystępując doń. - I równie przypadkowo stanąłeś przy tych drzwiach i bez zameldowania wszedłeś do sypialni mej córki? Czy wiesz, senor, która teraz godzina?

- Mam prawo, senor, ścigam bowiem niebezpiecznego bandytę...

- Który dawno uciekł z zamku!

Oblicze don Serrana przybrało groźny wyraz:

- Nie, mój gubernatorze, nic nie upoważniało cię do wkroczenia bez zezwolenia do mego zamku...

- Pięćdziesięciu ludzi wbiegło tutaj przede mną!

- To byli policjanci, którym ja nie wzbraniałem wstępu! Pierwszy raz jednak w moim życiu widzę, by wielkorządca we własnej osobie uganiał się po nocy za zbrojcami jak zwykły żandarm! Gdzie tu godność osobista? To tak, senor, reprezentujesz w Aragonii majestat królowej?

- Senor!...

- Zapomniałeś widać, senor don Alvarez, z kim masz do czynienia! Ja jestem don Serrano, rozumiesz, marszałek don Serrano! Jeśli zapomniałeś, kto jest panem tego zamku, tym gorzej dla ciebie!

- Jestem gubernatorem Aragonii! - wrzasnął don Alvarez, blednąc.

- Niedługo nim będziesz, senor, jeśli ja się temu przeciwstawię! - zawołał don Serrano, wyciągając grożącą rękę. - Jeśli liczysz na ministra don Alonza, mogę cię zapewnić, że wystarczy jedno me dmuchnięcie, a minister również poleci jak liść na wietrze.

Don Alvarez zadrżał. Dopiero teraz przypomniał sobie, jak potężną osobistością jest don Serrano. Nie mieszał się chwilowo do polityki, lecz gdy chciał, obalał ministerstwa jak domki z kart. Sama nawet królowa często nie śmiała mu się przeciwstawić.

Don Alvarez zrozumiał, że zabrnął zbyt daleko, narażając się tak potężnemu człowiekowi. Postanowił więc wybrnąć czym prędzej z niebezpiecznej dlań sytuacji.

- Senor - rzekł kłaniając się - zbyt surowo mnie oceniasz. Wcale nie myślałem, że wywołam twój gniew, wchodząc do zamku w ślad za moimi ludźmi. Przecież nie wiedziałem, że Zorro uciekł z zamku. Sądziłem, że został schwyty i wszedłem zaniepokojony tym, że ludzie tak długo nie ukazują się z powrotem. Przechodząc tym korytarzem, usłyszałem czyjś głos wyrażający, jak mi się zdawało, sympatię dla bandyty. Byłem niezwykle podniecony i zdenerwowany, dlatego też nie zwróciłem uwagi, do jakiego pokoju wchodzę, za co najmocniej przepraszam senioritę i ciebie, senor. Nieporozumienie zechciej złożyć, senor, na karb zdenerwowania. Już sam fakt, że osobiście brałem udział w wyprawie, powinien cię przekonać, jak ważne dla nas jest schwytywanie Zorry! Jest to sprawa wagi państwowej! Racz mi łaskawie wybaczyć,

ekscelencjo!

Don Alvarez uznał, iż w ten sposób obronił się przed gniewem dygnitarza dworskiego. Rzeczywiście, wyraz twarzy don Serrana złagodniał:

- Wybaczam ci chętnie, senor Alvarez, i współczuję szczerze, że wyprawa się nie udała!

- Jeszcze nic nie wiadomo! - odparł don Alvarez. – Ludzie moi są na jego tropie. Może w obecnej chwili już go schwytali?

- Więć idź, senor, i przekonaj się naocznie, czy tak się stało!

A gdy don Alvarez wyszedł rozpluwając się w ukłonach, don Serrano rzekł z pogardą:

- Płaszczący się gad!...

Druga zasadzka

- Pościg za Zorrrą spełził na niczym! - rzekł naczelnik policji. - Nie moja w tym wina, uczyniłem wszystko, co było w mej mocy!

- Nie wszystko! - odparł zgryźliwie don Alvarez. - Dlaczego nie ustawileś ludzi w komnatach zamku?

- Marszałek Serrano nie pozwolił!

- Czy podał jakiś powód?

- Nie podawał żadnego powodu. Po prostu zamknął dostęp do komnat, mówiąc: „Jeśli Zorro zechce przedostać się do zamku, ze mną będzie miał do czynienia i z moją szpadą!”

- Ten butny Serrano zbyt wiele sobie pozwala! - zgrzytnął zębami don Alvarez. - Uważa, że jego wpływy u dworu na wszystko mu pozwalają. Ja mu jednak obetnę skrzydła!

Dyrektor policji milczał. W duchu mocno wątpił, by don Alvarez faktycznie miał zamiar przeciwstawić się potężnemu marszałkowi.

Noc szarzała. Panował przenikliwy chłód poranny. Dookoła don Alvareza i naczelnika policji skupili się ludzie, w ponurym milczeniu czekając na rozkazy.

- Wspomniałeś o drugiej zasadzce na Zorrrę, senor! - rzekł don Alvarez.

- Moi ludzie trafili na ślad starego węglarza...

- Pomocnika Zorrry? - chwycił go za ramię don Alvarez. - Tego samego Baska, którego zdybaliśmy raz w lesie, a który wymknął się nam, odbity przez Zorrrę. Znikł wówczas bez śladu.

Obecnie natrafiono na jego kryjówkę!

- Gdzie to jest? Mów prędzej!

- W skałach Sierra Madre!

- W odległości sześciu mil od Chiarea?

- Tak, tam wąska ścieżka prowadzi po zboczu stromej skały do pieczary dobrze ukrytej przed wzrokiem obcych ludzi.

- Jeśli to prawda, że węglarz się tam ukrywa, wówczas jestem pewny, że schwytamy Zorrrę!

- Nie może być inaczej, skoro węglarz ten opiekuje się koniem i bronią Zorrry.

- Jestem pewny, że Zorro pognał prosto do tego węglarza, by pozostawić u niego konia i maskę!

- Jestem tego samego zdania!

- Jeśli więc nie zwlekając pognamy w stronę Sierra Madre, możemy go jeszcze schwycić!

- Otaczając pieczarę i ścieżkę na zboczu skały lub też zatrzymując go, kiedy będzie wracał pieszo i bez maski!

- Ba, czy go rozpoznamy?

- Zatrzymamy wszystkich ludzi napotkanych na naszej drodze! - Dobrze. Plan jest doskonały!

Don Alvarez zawołał podniesionym głosem, zwracając się do ludzi zbitych w gromadę:

- Ci, co mają konie, podążą z nami; reszta zaś, rozwinięta w długą linię, uda się pieszo do Sierra Madre. Pamiętajcie, że w odległości mniej więcej mili od grupy skał Sierra Madre nie wolno wam puścić ani jednej osoby. Wszystkich napotkanych zatrzymać, zrewidować, zakuć w kajdanki i nie tracić z oka aż do naszego powrotu. Staniecie u podnóża skał i zamkniecie wyjście z wąwozu.

Don Alvarez dosiadł konia i popędził na czele oddziału liczącego około dwustu jeźdźców.

Słońce ukazało swój rąbek na horyzoncie, gdy oddział znalazł się u podnóża skał przeciętych

wąwozem. Kilkunastu jeźdźców pozostało na straży, reszta zagłębiła się w wąwozie, zachowując absolutną ciszę. Kopyta koni owinięto szmatami i sprawdzono, czy każdy szczegół uzbrojenia jest w porządku.

Oddział, któremu przewodził don Alvarez, wjechał do wąwozu, po dwa konie rzędem, gdyż szczelina była wąska. W połowie drogi jeden z ludzi, który wyszedł kryjówkę węglarza, zawołał przyciszonym głosem:

- To jest tutaj!... Ścieżka po lewej stronie.

W wąwozie panowały kompletne ciemności. Pomimo to don Alvarez, w którym obudziła się uśpiona dusza żandarma, prędzej wyczuł, niż dojrzał ścieżkę biegnącą zboczem skały ku górze. Padł cichy rozkaz i ludzie zsiadli z koni.

- Przygotować broń!

Rozległ się szcęk odwodzonych kurków.

- W razie ucieczki podejrzanych osobników lub próby oporu, strzelać bez pardonu!

Oddział zaczął milcząco wspinać się ścieżką ku górze. Przodem szedł przewodnik, tuż za nim podążał don Alvarez oraz naczelnik policji Pablo Cormona.

W ten sposób dobrnęli do miejsca, gdzie ścieżka skręcała w lewo, pod ostrym kątem. Z jednej strony ścieżki sterczała stromo skała, z drugiej zaś czerniła się przepaść, czyli dno wąwozu.

Gubernator mimo woli podziwiał w duchu zręczność i odwagę Zorry, który wspinał się konno wśród ciemności nocnych tak niebezpieczną dróżką, na której nawet człowiek idący pieszo nie czuł się pewnie.

Tuż przy zakręcie przewodnik zatrzymał się i ścisnął dłoń Alvareza. Miało to oznaczać, iż znajdują się u celu wyprawy.

Pułkownik postąpił dwa kroki naprzód, wyminął zakręt i nagle cofnął się gwałtownie.

- Pieczara i ogień rozpalonego ogniska! - szepnął do Pabla Cormony. - Uwaga, musimy działać ostrożnie!

Świt stawał się coraz jaśniejszy. Don Alvarez obejrzał się poza siebie i ujrzał długą linię przyczajonych ludzi. Wykonał szeroki gest ręką. Stojący za nim zrozumieli, że zaraz rozegra się drugi akt dramatu. Drobnymi krokami, ostrożnie posuwali się ku pieczarze.

Don Alvarez stanął koło pieczary, przycisnął się do ściany skalnej i nadśluchiwał.

Odblask płonącego ogniska oświetlił twarz jego na czerwono, lecz dwaj mężczyźni siedzący w pieczarze przy ognisku, nie dostrzegli go. Jeden z nich mówił i don Alvarez poznał głęboki głos Zorry. Był więc w pieczarze, w odległości zaledwie dziesięciu, dwunastu kroków. Wystarczy ręką sięgnąć. Lecz gubernator nie chciał ryzykować. Nie odwracając się, uczynił kilkakrotny ruch ręką.

Żandarmi i policjanci zrozumieli. Zaczęli skupiać się koło niego, tuż obok wejścia do pieczary.

- Już świta! - mówił Zorro. - Muszę wracać do domu, mój stary przyjacielu. I nie zapomnij o mojej prośbie.

- Nie zapomnę, senior Zorro - odpowiedział starzec. - Mam wyszukać nową kryjówkę.

- Nie tylko to! Poprawisz siodło, dasz nieco mniej paszy koniowi, staje się bowiem nieco ociężały w biegu, i sprawdzisz zamek pistoletu bez muszki!

- Zacina się?

- Tak mi się zdaje!

- Czy znowu wyprawa?

- Dziś o piątej po południu ciągnie transport do Madrytu. Nie jestem pewny, czy wiozą złoto, nie zawadzi jednak przekonać się! - Czy to jest transport wysłany przez tego łajdaka?

- Don Alvareza? Rozumie się. Któż by inny wysyłał transporty do Madrytu?

- Czy nie czas skończyć z nim od razu, zamiast bawić się w ciuciubabkę?

Zorro roześmiał się głośno i dreszcz przeszedł przez ciało don Alvareza, który nie uronił ani jednego słowa z tej rozmowy.

- Nie śpieszy mi się, przyjacielu! Pobawię się z nim jak kot z myszą, a gdy dostrzegę, że włosy mu całkiem posiwiały ze zgryzoty, wówczas skończę z nim jednym zamachem, podobnie jak z jego protektorem, tym drugim łotrem, ministrem don Alonzem.

Don Alvarez zacisnął zęby i wyprężył się do skoku.

- Czas na mnie! - ziewnął Zorro. - Wracam do rodzinnych pieleszy!

Gubernator nie wytrzymał i ostrożnie wysunął głowę.

Tak był przekonany o nieuchwytności Zorry, że po prostu wierzyć mu się nie chciało, że straszliwy ten rabuś siedzi tutaj przed nim bez maski, całkowicie w jego, don Alvareza, mocy.

Wychylił więc ostrożnie głowę, by przyjrzeć się twarzy Zorry. Spotkał go jednak zawód. Zorro siedział przy ognisku, odwrócony doń plecami.

Grota była olbrzymia. Dwa siodła wisiały na jednej ze ścian. W głębi koń żuł owies.

Tańczący płomień dogasającego ogniska oświetlał pomarszczoną twarz towarzysza Zorry, starego węglarza, który siedział bokiem do zagląającego pułkownika.

W chwili gdy don Alvarez wychylił nieco głowę, by zbadać wnętrze groty oraz by przyjrzeć się rysom swego znenawidzonego przeciwnika, wzrok starego węglarza padł na otwór w pieczarze. Dostrzegł ludzką głowę, lecz ani jednym drgnięciem nie dał poznać po sobie, iż coś widział. Zrozumiał od razu, iż człowiek, którego dostrzegł w ułamku sekundy, nie przyszedł tu sam. Wyczuł, iż zbrojny atak nastąpi w następnej chwili. Pragnąc ją odwlec, odezwał się spokojnie:

- Zanim odejdziesz, Zorro, proszę cię, wyjaw mi tę tajemnicę, której nie powinien znać don Alvarez!

- Tajemnicę? - zdziwił się Zorro, lecz z twarzy starca pojął w lot, iż za jego plecami dzieje się coś niedobrego.

- Tajemnicę, która dotyczy don Alvareza; czy zapomniałeś?

- Ach tak!... Wiem o jakiej tajemnicy mówisz! Wyjawię ci ją, lecz w najgłębszym sekrecie. Gdyby cię kiedyś schwytał ten łotr Alvarez, nawet pod wpływem tortur nie wolno ci jej wyjawić, rozumiesz?...

- Rozumiem! Gdyby mnie żywcem krajał ten złodziej, nie wyjawię mu tajemnicy, która jego dotyczy!

- Nie tylko jemu, lecz nawet własnej żonie ani córce!

- Nie mam żony ani córki!

- W takim razie mogę ci zawierzyć tę straszliwą tajemnicę. Słuchaj więc...

- Zaraz, zaraz, chwileczkę. Czy ona jest rzeczywiście taka okropna, ta tajemnica?

- Sam osądzisz, gdy usłyszysz!

Don Alvarez, stojąc tuż obok pieczary, uniósł rękę, by dać sygnał do ataku. W chwili jednak gdy usłyszał, że mowa o jakiejś tajemnicy, której on nie powinien znać, ręka jego zawisła w powietrzu i cały zamienił się w słuch. Co to za tajemnica? myślał. Mam czas, zaczekam z atakiem. Zorro, tak czy owak, nie wymknie się z tej groty, a ja tymczasem dowiem się o co chodzi.

Zorro rozsiadł się wygodnie i zaczął:

- Wyobraź sobie, mój drogi przyjacielu, iż tak jak mnie tu widzisz, jestem ni mniej, ni więcej, tylko rodzonym wujkiem don Alvareza!

- Czyżby? - udał zdziwienie stary węglarz, powstrzymując jednocześnie szaloną chęć do śmiechu. - W jakież to sposób jesteś wujkiem gubernatora, jeśli łaska?

- Nikt nie powinien o tym wiedzieć, gdyż byłoby to wielką hańbą dla mnie, gdyby dowiedziano się, iż w rodzinie mej znajdują się złodzieje. Prócz tego okoliczności naszego pokrewieństwa są tak niezwykle, że słuchaczom stygnie zazwyczaj krew w żyłach...

Zorro zamilkł i głośno westchnął.

- Miałem się dowiedzieć, w jaki sposób stałeś się rodzonym wujaszkiem gubernatora don Alvareza! - odezwał się węglarz. - Zaraz ci to wytłumaczę...

Don Alvarez pomyślał z wściekłością: „co za bzdury!” lecz cierpliwie słuchał dalej, Zorro zaś ciągnął z niezmaconą powagą:

- Zanim ci opowiem tę dziwną historię naszego fatalnego pokrewieństwa, zwracam twą uwagę, że zmarzłem i nieco gorącej zupy przydałoby się, by rozgrzać me wnętrzności!

- Drzę z niecierpliwości, Zorro, a ty mi mówisz o wnętrznościach. Mówże nareszcie o tej historii pokrewieństwa!

- Nie potrafię opowiadać, gdy jestem głodny i zziębnięty. Cała moja opowieść wyda ci się zimna i bez smaku...

- Pozostało nieco zupy w kotle - rzekł węglarz, wstając ociężale. - Postawię ją na ognisku, ty jednak nie przerywaj opowieści.

- Dobrze! - rzekł Zorro, śledząc oczami węglarza, który oddalał się w głąb groty. - A więc to było tak. Trzeba ci wiedzieć, że jego matka, szlachetna senora y Gonzano, pochodziła z mieszczańskiej rodziny. Poczciwa była to kobieta i nie jej wina, że urodziła łajdaka...

- Gdy się urodził, nie był jeszcze łajdakiem - wtrącił węglarz. - Był przecież niemowlęciem...

- Nie, był już łajdakiem. Gdy się urodził, nie otworzył jeszcze oczu, a już chwycił w rączkę złoty łańcuszek od zegarka przy kamizelce ojca i za nic w świecie nie chciał złota wypuścić. Musiano odczepić łańcuch od zegarka. Matka cierpiała nad tym niewymownie. Starła się bezskutecznie wypełnić w nim chorobliwy pociąg do złota...

- Biedna kobieta! - westchnął węglarz, zbliżając się do ogniska z kotłem w rękach. Jakże jej współczuję!...

I w tej samej chwili wylał cały kocioł wody na ognisko, które momentalnie zgasło.

Kompletne ciemności zaległy grocie.

- Za mną! - krzyknął rozpaczliwie don Alvarez. - Zorro nam się wymyka!

Zrozumiał poniewczasie, że Zorro i węglarz zakpili z niego. Cała ta bajeczka służyła po to, by zamydlić mu oczy i odwlec fatalny moment. Don Alvarez nie mógł zrzucić winy na nikogo. To był wyłącznie jego błąd. Policja zrobiła swoje: znalazła kryjówkę Zorry. On ponosił odpowiedzialność za to, co zaszło, gdyż: wstrzymał ludzi, by wysłuchać zmyślonej historii skomponowanej naprędce.

- Za mną! - rozległ się okrzyk don Alvareza i uzbrojeni ludzie wpadli do groty.

- Nie robić tłoku! - wołał gubernator. - Część ludzi pozostanie przy wejściu! Zapalić pochodnie!

W grocie zajaśniało światło. Gorączkowe podniecenie ogarnęło ludzi.

Zorro nie mógł się wymknąć, Zorro musi gdzieś tu być. A jednak grota była pusta. Ani śladu konia, ani tych dwojga, pomimo że jedyne wyjście zamykał silny kordon policji i żandarmerii. Pieczara nie miała innego wyjścia. Gdzież podzieli się ludzie, którzy przed chwilą siedzieli przy ognisku?

Don Alvarez miał wrażenie, iż śni; że to co widział i słyszał przed chwilą, było po prostu halucynacją.

- To niemożliwe! - wyjąkał, rozglądając się po nagich ścianach groty, na których tańczył migotliwy odbłask zapalonych pochodni, walczący z szarym światłem dnia.

- Obejrzyjcie jeszcze raz wszystkie zakamarki! - zawołał naczelnik policji, zmieszany nie mniej od swego zwierzchnika. - Zbadajcie dokładnie ślady.

Skrupulatne poszukiwania nie dały najmniejszego rezultatu.

Zorro, węglarz oraz koń znikli w niewytłumaczalny sposób, po prostu wyparowali.

Ludzie żegnali się, mruczając:

- Czary, czy co do licha? Carramba!...

Niebawem policjanci stanęli bezradnie, oczekując dalszych rozkazów. Chropawe, nieforemne ściany pieczary zostały dokładnie P. przeszukane, opukane i zbadane. Uwierzono w cud. Nie pozostawało im nic innego, jak opuścić pieczarę.

W ponurym milczeniu ciągnął oddział ścieżką po zboczu Sierra Madre. Na dole, wśród posępnej ciszy, dosiedli koni i odjechali.

Po ich odejściu w pieczarze zapanowała cisza. Nagle jedna z nieforemnych ścian groty jakby drgnęła. Cały blok skalny poruszył się bezszelestnie, odsłaniając wielki, czarny otwór. W otworze tym ukazał się Zorro. Wszedł do pieczary i wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Cicho gwizdnął i z otworu wyłonił się stary węglarz ciągnący konia.

- Nie ma ich! - rzekł Zorro. - Droga jest wolna! No, bywaj, mój wierny przyjacielu, a nie zapomnij o nowej kryjówce!

- Dobrze, że mieliśmy zapasowy schowek! Wyszadziliby całą pieczarę w powietrze, lecz nie znaleźliby nas za tym głazem!...

- Gdyby nawet ten schowek nie istniał, jak sądzisz, czy dałbym się schwytać?

- O, ja wiem, że nie, lecz zawsze szkoda konia. Zresztą i mnie nie uszłoby na sucho.

- Wydarłbym cię z ich niewoli. Zresztą dobrze się stało, jak się stało!

Zorro dosiadł konia i wyjechał z pieczary, wołając:

- Odnajdziesz mnie tam, gdzie zwykle. Pamiętaj o wyszukaniu nowej kryjówki!

Słońce ukazało się na horyzoncie, gdy koń Zorry, ostrożnie stąpając, schodził ścieżką w dół. U

podnóża skały jeździec uniósł się w strzemionach, strzelił z bicia, krzyknął swym zwyczajem raz i drugi: Zorro... Zorro... i pognał naprzód.

Pędził w tym kierunku, w którym oddalił się zbrojny oddział.

Niebawem zbrojne szeregi ukazały się jego oczom. Przynaglił więc swego wierzchowca do szybszego biegu.

- Zbierz wszystkie swe siły, koniku! - zawołał. – Będziemy zaraz mieli wyścig nie lada!

Kilku żandarmów, jadących na tyłach oddziału, odwróciło się słysząc tętent. Ujrzeni jeźdźca pędzącego wprost na nich. W pierwszej chwili sądzili, że to jeden ze spóźnionych żandarmów dogania swój oddział. Lecz postać zbliżała się ciągle i gdy znalazła się w odległości mniej więcej piętnastu długości końskich, dostrzegli czarną maskę na twarzy mężczyzny..

- Zorro... Zorro! - rozległy się okrzyki, lecz w tej samej chwili zamaskowany jeździec wpadł pomiędzy nich. Zanim którykolwiek zdołał się zorientować, Zorro jak huragan wyminął ich i zrównał się z czołem oddziału. Świsnął bicz i swym końcem owinął się dookoła szyi gubernatora jadącego w pierwszym szeregu. Ułamek sekundy i don Alvarez, wyciągnięty jednym, silnym szarpnięciem z siodła, znalazł się na ziemi, na oczach całego oddziału. Rzemień powłókł go kilkanaście kroków po ziemi.

Don Alvarez, na wpół uduszony, pozostał nieruchomy na piasku i zanim otworzył oczy, Zorro był już daleko.

- Gonić go! - zawołał ochryple. - Nie gapić się na mnie! Gonić go!

Rozpoczął się pościg, lecz żandarmi gnali w ślad za Zorrami bez wielkiego przekonania. Wiedzieli z góry, że w otwartym polu nie dogonią go.

Obrońcy Zefiria

Na ganku pawilonu zamku Chiarea, wychodzącym na park, znajdowało się liczne towarzystwo złożone z samej młodzieży.

Juana siedziała na rzeźbionej ławie, tuż przy oszklonych drzwiach. Na innych ławach i krzesłach, nawet na stopniach ganku, siedzieli strojni, młodzi ludzie. Była to okoliczna młoda szlachta, która z okazji urodzin Juany zjechała się do zamku.

Wszyscy ci młodzi ludzie byli w mniejszym lub większym stopniu zakochani w pięknej Juanie. Każdy z nich przybył żywić w głębi serca nadzieję, że zdoła podbić kapryśną piękność swym osobistym czarem.

Dziwne to były konkury, na modłę starej Kastylii. Młodzieńcy wypalili mnóstwo długich cigarillos, rzucali wokoło zabójcze spojrzenia, jakby chcieli przebić niewidzialnego wroga swym wzrokiem, przeżyli mięśnie ramion i wypinali bohaterko tors. Z rzadka tylko padało wśród ciszy jakieś zdawkowe, ogólnikowe zdanie.

- Piękną mamy pogodę, seniorito!

- Rzeczywiście! - zgadzała się znudzona córka marszałka Serrany.

Znów zapadła cisza. Kilka chrząknięć.

- Za trzy tygodnie będziemy mieli korridę, seniorito!

- Za trzy tygodnie? To prędko!

- Wystąpią najlepsze byki Aragonii!

Juana powstrzymywała się od ziewnięcia:

- Bardzo mnie to cieszy! - rzekła.

- Przyjedzie słynny torreador, Joaquin Jose Maria Vaspartella z Madrytu, seniorito!

- Widziałam go, to dobry torreador!

Rozmowa się urwała. Onieśmieleni młodzieńcy nie wiedzieli, o czym mają mówić z piękną Juaną, córką potężnego marszałka. Gdyby teraz była noc, każdy z tych małomównych, młodych caballeros, wzięłby gitarę do ręki, owinąłby się w szeroki, czarny płaszcz i zaśpiewałby tęskną romanse do pięknej seniority. To by potrafił. Pod osłoną nocy, pod dźwięki gitary wypowiedziałby bez osłonek swą gorącą, wulkaniczną, żywiołową miłość. Lecz w biały dzień, bez gitary i bez płaszcza każdy z nich był po prostu nudny.

Właśnie gitara Juany stała oparta o ścianę. Młodzieńcy łakomym wzrokiem spoglądali na ten instrument muzyczny, lecz żaden z nich nie ośmielił się pierwszy sięgnąć po niego. Juana pochwyciła te

spojrzenia i powiedziała:

- Opowiadano mi w Paryżu o małym piesku, który zdechł z nudów. Dopiero teraz zrozumiałam to biedne stworzenie.

Ujęła gitarę, wydobyła kilka akordów i zanuciła:

*Stoję dumny caballero
Pod twoim balkonem
Każdy wróg to dla mnie zero
Bo ja jestem dzielnym donem!*

Obecni spojrzeli sobie w oczy. Romanza była dziwaczna, słowa beznadziejnie głupie. Juana śpiewała dalej:

*Caballeros drżą z obawy
Seniority mnie kochają
Jam Zefirio, śmiały... prawy...
Więc swe serca mi oddają!*

Zrozumieli w okamgnieniu. Tylko Zefirio mógł zdobyć się na coś podobnie idiotycznego.

Rozległy się przyciszone śmiechy.

- Czy dobrze słyszałem, seniorito - zapytał jeden z wielbicieli - śpiewałaś romanzę Zefiria?

- Tak! - odpowiedziała Juana. - To była romanza ułożona przez Zefiria Cortiego! Czyż nie jest piękna?

Śmiechy się wzmogły. Imię Zefiria podziało jak kamień rzucony do sadzawki. Wszyscy zaczęli mówić od razu, wybuchając niepowstrzymanym śmiechem.

- Zefirio, głupi Zefirio?

- Śmiały... dzielny Zefirio... Cha, cha, cha!...

- Każdy wróg dla niego zero!... Skonać można!...

- Zefirio!... Dumny caballero!...

- I seniority go kochają... To ci kawalarz. Cha, cha, cha!

Juana spokojnie przeczekała, aż burza minie, po czym zapytała spokojnie:

- Nie rozumiem, caballeros! Co was tak rozśmieszyło?

Młodzieńcy ucichli. Dostrzegli w oczach Juany gniewne błyski.

- Nie gniewaj się, seniorito Juano! - odezwał się Pedrillo Cabanez y Pesar. - Przecież niedawno przybyłaś do Aragonii, więc nie wiesz jeszcze, kto to jest Zefirio Corti. Pozwól, że opowiem ci jedną historię o tym dumnym i walecznym kawalarzu. Przed rokiem, dla żartów, udałem, że obraziłem się śmiertelnie. Wyzwałem go. Posłałem doń sekundantów, którzy dali mu do wyboru rapiery lub pistolety na odległość dwudziestu kroków. Czy wiesz, seniorito, co wybrał?.. Rapiery na odległość dwudziestu kroków. Więc jeden z mych sekundantów zwrócił mu uwagę, że niepodobna walczyć rapierem z takiej odległości. To nic - rzecze Zefirio - będziemy ciskać rapierami!

- Cha, cha, cha! - rozległ się ogólny śmiech.

- Nie koniec na tym! - ciągnął dalej Cabanez. - Po kilku tygodniach spotkałem go w lesie. Hej, Zefirio! zawołałem nań groźnie. Chodź no tutaj, pogadamy! Rzucił się do ucieczki, a potem opowiadał, że pobiegł do domu po szpadę!

- To jeszcze nic! - zawołał mały Jaime Matteo. - Ja znam lepszą historię. Przed kilku miesiącami zauważyliśmy, ja i mój ojciec, że ktoś dobierał się do owoców w naszym sadzie. Sad jest olbrzymi, a posadzaliśmy naszych służących. Zwołałem znajomych i przyjaciół z okolicznych hacjend, by wspólnie urządzić obławę na złodziei. Ustawiliśmy się, z zapadnięciem nocy, uzbrojeni, dookoła sadu. Godzina płynęła za godziną i nic nie było słychać. Wtem od strony przeciwnego gaju dobiegło sapanie i trzask gałęzi. Porzuciłem swe stanowisko przy ogrodzeniu i pobiegłem w stronę, skąd dolatywały te podejrzane dźwięki. Czy wiecie, co ujrzałem przy świetle gwiazd? Zefirio ugiął się pod ciężarem worka z owocami, a złodziej szedł tuż za nim i poganiał go kijem!

- Cha, cha, cha! - rozległy się kaskady śmiechu.
- Cha, cha, cha! - rozległ się głupekowaty śmiech pośród drzew i Zefirio we własnej osobie wystąpił na widownię.

- Olle, Zefirio! - ryknęli zgromadzeni radośnie. - O wilku mowa, a wilk tuż.
- Witaj nam, dumny, nie ustraszony caballero, dla którego każdy wróg to okrągłe zero! - zaintonował jeden z młodych mężczyzn.

Zefirio zbliżył się do Juany i złożył jej ukłon pełen godności.

Następnie odwrócił się do zebranych i rzekł:

- Słyszałem, jak mnie obgadujecie przed senioritą! Czy to ładnie?
- Czy skłamałem, kochany Zefirio? - zapytał złośliwie mały Jaime Matteo. - Czy możesz mi zarzucić, że przekreśliłem choćby jedno słowo?

- Nie skłamałeś - odpowiedział Zefirio zmieszany. - Lecz przywidziało ci się. To nie ja dźwigałem ten wór, lecz złodziej. Ja go poganiałem kijem!

- Ach, ty kłamco! - wrzasnął Jaime Matteo i skoczył naprzód. Zefirio schował się za Juaną i zawołał płaczliwie:

- Seniorito, chyba nie pozwolisz, by ten źle wychowany młodzieniec napastował mnie w twojej obecności!

- Nie obawiaj się, najdroższy! - odpowiedziała z uśmiechem

Juana. - W mojej obecności nikt się nie ośmieli ruszyć cię.

Obecni znieruchomieli na widok takiego tchórzostwa. To było niesłychane. Zefirio błagał kobietę, by go broniła! Zefirio krył się za spódnicę kobiety!

Caballeros przyglądali się nieszczęsnemu niedorajdzie z niewysłowioną pogardą. Lecz pewna okoliczność, dziwna, niewytłumaczalna, wprawiła ich w jeszcze głębsze osłupienie. Piękna Juana, śmiała, dumna, kapryśna Juana Serrano nie okazała najmniejszego rozczarowania, najmniejszej niechęci wobec śmiesznego tchórza. Przecież była naocznym świadkiem, jak bojaźliwie zachowywał się Zefirio. Czyż to nie wystarczało, by nawet najmniej wybredna wieśniaczka odtrąciła go z pogardą od siebie? Tymczasem nie zaszło nic podobnego.

- Kochany Zefirio! - rzekła ujmując go pod ramię. - Nie wolno ci pozostawać dłużej z tymi gwałtownikami i plotkarzami. To nie dla ciebie towarzystwo. Chodź do komnat. Pogawędzimy sobie na osobności!

Pociągnęła go za sobą, oszklone drzwi zatrzasnęły się za nimi. Na ganku pozostali sami mężczyźni. Skamieniali, z otwartymi ustami jak ryby łaknące wody.

Jednak najbardziej zdumiony był Zefirio uprowadzony przez Juanę. Choć nie okazywał niczego po sobie, w duchu jednak musiał przyznać, że po raz pierwszy w życiu był zaskoczony postępowaniem seniority. Była to bowiem pierwsza Hiszpanka, która nie odtrąciła z pogardą i odrazą takiego jak on haniebnego tchórza.

Wyzuty z majątku

Gubernator don Alvarez był człowiekiem upartym. Nie zapomniał o milionie peso obiecanych przez don Ravalesa za wydziedziczenie starego Anzelma Cortiego z jego posiadłości.

Przez dłuższy czas Ravales nie pokazywał się. Leżał śmiertelnie chory. Gdy jednak wyzdrowiał, wyglądał okropnie. Na nosie i czole pozostał trwały ślad po uderzeniu rączką pistoletu. Była to pamiątka po Mercedes, którą porwał ongiś.

Don Ravales przypomniał gubernatorowi Aragonii don Alvarezowi jego obietnicę. Ten wysłał naglące pismo do wszechmocnego ministra don Alonza, który z kolei podsunął królowej Izabelli odnośne postanowienie parlamentu, pomiędzy innymi papierami, i królowa podpisała nie patrząc nawet co podpisuje.

Dokument ten brzmiał następująco:

Po rozpatrzeniu dowodów złożonych przez szlachcica Pabla Enrique Battistę Josego Marię don Ravalesa de Calvę y Santana, ja Izabella II, królowa Hiszpanii... Istrii... Estramadury... itd. postanawiam:

1. Niezwłocznie odebrać posiadłości ziemskie leżące na wschód od Saragossy, a należące do

szlachcica Anzelma Cortiego.

2. *Zwrócić je szlachcicowi Pablo Ravalesowi, jako niesłusznie zagrabione jego pradziadowi przez pradiada Anzelma Cortiego.*

3. *Wykonanie mego postanowienia poruczam gubernatorowi Aragonii, don Alvarezowi y Gonzano.*

Królowa nie zdawała sobie sprawy, że podpisuje akt niesłychanego bezprawia, wydziedziczając ojca swego byłego faworyta Zefiria z ziemi, na której ród Cortich siedział od wieków.

Don Alvarez otrzymał ten dokument przez specjalnego kuriera. Natychmiast wezwał do siebie Pabla Ravalesa.

- Załatwione! - rzekł doń z triumfem. - Masz mi wypłacić milion peso, senior!

- Królowa podpisała? - zapytał Pablo Ravales z nie dowierzaniem.

-Oto akt wywłaszczenia!

Pablo Ravales przeczytał uważnie dokument. Na ohydnej, zeszpeconej twarzy odbiło się żywe zadowolenie.

- Dokonałeś cudu, gubernatorze! - rzekł. - Jesteś człowiekiem naprawdę niebezpiecznym!

- Powiedz raczej, senior, że mam nieograniczone wpływy! Nie jestem niebezpieczny wobec ludzi, którzy są w stosunku do mnie w porządku. Kiedy otrzymam pieniądze?

- Z chwilą gdy Anzelmo Corti opuści hacjendę.

- Dobrze! Pieniądze jakbym miał w kieszeni. Dziś jeszcze jadę osobiście do niego.

Wtem nachmurzył się. Przypomniawszy sobie Zorrę.

- Zorro! - szepnął. - Ten bandyta ma kompromitujący dokument! Teraz gdy się dowie, że przepędziłem Cortiego, nie omieszka posłużyć się tym dowodem.

Pablo Ravales dosłyszał słowa gubernatora.

- O, senior gubernator! - zawołał. - Czyż to trudno udowodnić, mając za sobą wszystkich ministrów, że dowód ten został sfalszowany? Któż uwierzy bandycie?

- Masz słuszość, senior! - odetchnął z ulgą don Alvarez. - Zorro nie może mi zaszkodzić. Zbyt potężne mam plecy w Madrycie!

Nazajutrz gubernator ruszył w drogę na czele silnego oddziału wojska oraz żandarmerii i jeszcze przed zachodem słońca dotarł do hacjendy Anzelma Cortiego.

Właściciel wyszedł naprzeciw i kłaniając się uprzejmie gubernatorowi, zapytał o powód jego wizyty.

- Chodźmy do środka, czcigodny don Corti! - odpowiedział don Alvarez, z trudem powstrzymując uśmiech triumfu. - Mamy omówić pewną niezmiernie przykrą sprawę!

Anzelmo Corti poprowadził gościa do swego gabinetu. Jakieś niejasne uczucie nieszczęścia ścisnęło mu serce.

- Słucham, senior gubernator - rzekł, gdy gość usadowił się w fotelu. - O jakiej sprawie chciałeś ze mną pomówić?

Zamiast odpowiedzi don Alvarez wyciągnął fatalne pismo i podał je Cortiemu.

W miarę jak czytał, oblicze starca pokrywało się trupią bledością, ręce zaczęły drżeć, ledwie mógł utrzymać papier w palcach.

Oparł się o biurko, ciężko dysząc:

- Ależ to niemożliwe... niemożliwe... - wykrztusił z trudem. - Niemożliwe, by królowa podpisała podobną ohydę... Przecież my na tej ziemi żyjemy od czasu wygnania Maurów z Hiszpanii. Nie tylko mój pradziad, lecz prapradziad urodził się jako właściciel tych posiadłości. Przecież mamy wszelkie dowody, przecież istnieją pradawne rejestry ziemskie!...

- Rozumiem, senior, że to boli. Nie wątpię, że słuszość jest po twojej stronie. Sądzę nawet, że z łatwością udowodnisz, że ziemia jest twoja. Cóż jednak chcesz, rozkaz jest rozkazem! Królowa rozkazała, ja zaś muszę słuchać. To mój obowiązek żołnierza!

- Pablo Ravales! - dyszał Anzelmo Corti. - Pablo Ravales proponował mi miliony za moją posiadłość... To jest jego intryga... podła intryga!...

- Uspokój się, senior! - rzekł pojednawczo don Alvarez. Naprawdę mi przykro... Bardzo przykro...

Niezmiernie przykro!... Dam ci przyjacielską radę. Jedź do Madrytu i dochodź swych praw u dworu!

- Tak zrobię! - szepnął starzec chwytając się za serce. - Udam się do królowej!

- Bravo! Lecz jednak musisz opuścić wraz z domownikami hacjendę, dopóki królowa nie odwoła swego postanowienia. Gdy wyjednasz u królowej cofnięcie tego rozkazu, wówczas będziesz mógł powrócić!

Don Alvarez mówił to w przekonaniu, że Anzelmo Corti nic nie uzyska, jak długo minister don Alonzo będzie sprawował swój urząd.

- Kiedy... muszę opuścić mój dom?- zapytał Anzelmo Corti, drżąc na całym ciele.

- Daję ci dwadzieścia cztery godziny, senor! - rzekł wspaniałomyślnie gubernator.

Lecz nerwy starego człowieka nie dopisały.

- To jest zbrodnia! - krzyknął rozpaczliwym głosem. - Ten dokument nie może być prawdziwy...

Nie pytano mnie... Nie było żadnego sądu... Królowa nie mogła podpisać tego!...

Krzyki zwabiły Zefiria.

- Co się stało, ojczu? - zapytał wpadając do pokoju. - Czemu krzyczysz?

- Tu... tu... - wyjąkał Anzelmo Corti, chwiejąc się na nogach. - Zbrodniarze!...

Wskazał na papier leżący na biurku.

Młodzieniec wziął dokument. Podczas gdy czytał, don Alvarez przyglądał się ojcu i synowi z lekkim uśmiechem na ustach.

Na twarzy Zefiria, w miarę jak czytał, pojawiała się zdziwienie, oburzenie, gniew i wreszcie zaduma. Dokument ten nie wywarł jednak na nim tak silnego wrażenia jak na jego ojcu.

Starzec stał się żółty na twarzy i ręką przyciskał tłukące się w piersiach serce.

Wzrok don Alvareza przebiegł niby obojętnie z twarzy ojca na syna. Napawał się widokiem tych pokonanych ludzi przez niego.

Lecz dla starego szlachcica, który urodził się i całe życie spędził na ziemi, cios był niespodziewany i zbyt gwałtowny. Osunął się bezprzytomnie na podłogę. Zefirio rzucił się ku ojcu i zaczął go cucić, wołając:

- Ojczu, ojczu, wszystko będzie dobrze! Otwórz oczy... Nie martw się, drogi ojczu!

Lecz twarz Anzelma zasnuwała się coraz większą bledością. Oczy stawały się szklane i nieruchome.

Zefirio z przerażeniem wpatrywał się w stygnące oblicze ojca.

Don Alvarez ściągnął brwi i zagryzł wargi. Triumf jego był ponad miarę - nie zależało mu na śmierci starca.

Po chwili Zefirio podniósł głowę i patrząc dziwnym wzrokiem na don Alvareza, rzekł powoli i wyraźnie:

- Ojciec umarł! Moja w tym wina! Żart trwał zbyt długo!...

Rewolta

Zmrok zapadł. Równiną sunął zamaskowany jeździec. Tuż za nim gnali trzej konni o wyglądzie wieśniaków.

Dopadli do pierwszej z brzegu chaty w osadzie. Jeździec w masce uderzył kilkakrotnie ręką szpady w okiennicę. Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się chłop olbrzymiego wzrostu.

- Kto tam? - zapytał.

- To ja, Zorro! Sancho, bierz konia i broń. Zbierz wszystkich mężczyzn z wioski. Niech się stawią konno i zbrojnie. Czekam na głównym trakcie!

- Dobrze! - rzekł krótko wieśniak i cofnął się do izby.

Zorro smagnął konia i pognął przez wioskę. Jego trzej towarzysze podążyli za nim.

W pewnej chwili zatrzymali się na głównym trakcie na skraju lasu. Czekali niezbyt długo. Niebawem nadciągnęła większa grupa - ponad czterdziestu uzbrojonych jeźdźców.

Zorro przemówił do nich:

- Słuchajcie, chłopcy! Stawałem zawsze w waszej obronie, czyniłem, co mogłem, narażałem swoją skórę dla was. Przyszedł czas, że zwracam się do was, byście z kolei i wy mi pomogli w wykonaniu pewnego planu. Nie pytajcie, co zamierzam uczynić. Czyńcie to, co wam powiem. Jest was czterdziestu

kilku. Każdy z was uda się do innej wioski i postawi na nogi wszystkich mężczyzn. Hasłem waszym będzie: Zorro czeka! Każdy zbierze uzbrojonych ludzi, jak najwięcej uzbrojonych ludzi. Czekam przy wielkim młynie na drodze do Saragossy!...

- Olle, Zorro! - rozległy się entuzjastyczne okrzyki.

- Pamiętajcie! - wołał zamaskowany jeździec. - Każdy powinien sprowadzić jak najwięcej ludzi.

Minął czas wylegiwania się w łózkach. Ta noc stanie się najczynniejszym dniem. A więc jazda w drogę i niech Bóg was prowadzi!

Każdy jeździec, który ledwie dopadł chaty wieśniaczej, stukał w okiennice i wołał:

- Na koń, chłopie, i broń do ręki! Zorro czeka przy wielkim młynie na drodze do Saragossy!

Imię Zorrry działało jak iskra w prochu.

Ludzie porzucali swoje łóżka, ubierali się spiesźnie, chwyтали strzelby i siadali na konie. Kto nie miał strzelby, chwytał kosę lub widły; jeżeli nie miał konia, siadał na muła swego sąsiada.

Nikt nie wiedział, co zamierza Zorro. Wystarczyło jednak, że wzywał do siebie, a każdy z obudzonych wieśniaków porzuczał wszystko i spieszył na zew jeźdźca w masce.

Zorro stał oparty o drzewo, nieopodal młyna, i palił cigarillo. Nad ranem zaczęli nadciągać jeźdźcy. Gdy się dobrze rozwidniło, był to już wielki oddział złożony z siedmiuset ludzi. Zorro milczał. Ludzie również milczeli, czekając na rozkazy. Wreszcie mężczyzna w czarnej masce wsiadł na konia i zawołał:

- Ci wszyscy, których wysłałem tej nocy, niech wystąpią naprzód!

Zbliżyło się ku niemu czterdziestu trzech jeźdźców.

- W porządku! - rzekł Zorro. - Sprawiliście się świetnie. A teraz niech wystąpią ci, którzy mają najszybsze konie!

Wystąpiło około pięćdziesięciu jeźdźców.

- Aragończycy! - zawołał Zorro. - Nie pytajcie mnie, dokąd was prowadzę. Tych pięćdziesięciu jeźdźców pogna przodem oddziału. Każdy z nich zaalarmuje i obudzi wszystkich mężczyzn w wioskach na mojej drodze. Hasło będzie brzmiało: Zorro nadciąga! Za broń i na koń!

Pięćdziesięciu jeźdźców pognało przed siebie. Rozsypali się na prawo i lewo od traktu i po pewnym czasie zniknęli z oczu głównego oddziału.

Upłynęła godzina. Skutki zarządzenia Zorrry zaczęły się pojawiać. Zewsząd nadciągali zbrojni jeźdźcy. Wyłaniali się z lasu, zza skał; wysypywali się na trakt z bocznych ścieżek.

Pewnego dnia do Zorrry zgłosili się dwaj jeźdźcy, z których jeden był gruby i okrągły jak kula, a drugi chudy jak tyka. Ci dwaj jeźdźcy jechali na czele większego oddziału zwerbowanych przez siebie partyzantów. Na ich widok twarz Zorrry rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Witam was, czcigodni senores, don Porfirio oraz don Malibran... Ale cóż to? Gdzież jest wasz trzeci przyjaciel, dzielny Zefirio Corti, chluba Hiszpanii i wszystkich rycerskich caballeros?

Porfirio i Malibran skłonili się z szacunkiem.

- Zefirio schował się do mysiej nory - odpowiedział Malibrano - Trudno go odnaleźć, senior Zorro!... Nie wątpimy w jego dzielność i odwagę, lecz...

- Lecz wołał widocznie pozostać skromnie w ukryciu, zanim sytuacja się nie wyklaruje!... - wtrącił Porfirio, kłaniając się powtórnie.

- Natomiast my ofiarujemy ci się z pomocą - ciągnął Malibran - i dlatego też oddajemy do twojej dyspozycji, senior Zorro, regiment całkowicie uzbrojony i wyekwipowany naszym kosztem!...

Zorro roześmiał się.

- Przyjmuję z radością, senores! - zawołał. - I z miejsca przydzielam wam stanowiska u mego boku. Będziecie należeli do mego sztabu.

W Hiszpanii pojawił się kolejny pretendent do tronu: don Carlos. Marszałek Serrano czynił nadludzkie starania w Saragossie, by przeszkodzić zbytniemu rozlewowi krwi. A Zorro ciągle wysyłał nowych gońców z niezmiennym hasłem: Do broni! Zorro nadciąga!

Jak lawina, która urasta z kilku grudek śniegu w olbrzymie zwały, tak oddział rósł z godziny na godzinę. Czwartego dnia, o jedenastej przed południem, nie był to już oddział, lecz cała armia złożona z kilku tysięcy ludzi. Zorro podzielił wszystkich na oddziały, wyznaczył dowódców i wydał odpowiednie rozkazy. Tymczasem w całej Aragonii gruchnęła wieść: rewolta wieśniaków! Kilka tysięcy uzbrojonych

ludzi ciągnie pod dowództwem Zorry na Saragossę!

Imię to wywierało magiczny skutek. Lud porzucał swoje zajęcia, chwycił co popadło i przyłączał się do pochodu zrewoltowanych.

Powstanie przeciwko znenawidzonej władzy wybuchło w Huesco, Tudeli, Leridzie, Logrono i w wielu mniejszych miastach. W ślad za Aragonią powstała Stara Kastylia, Soria, Walencja. Tłumy miały już swoich przywódców, których imiona wykrzykiwano na traktach, w wioskach i na ulicach miast, lecz wszyscy myśleli tylko o człowieku, który powstanie wywołał.

Główną armią powstańczą dowodził Zorro. Armia ta maszerowała na Saragossę.

Na próżno ludzie prosili i błagali, by zdjął maskę z twarzy. Zorro potrząsał głową:

- Nie czas jeszcze! - mówił. - Zadanie nie zostało wykonane. Hiszpania znała mnie pod maską, nie będę jej teraz zdejmował. Ludzie nie poznaliby mnie.

Otaczano go czcią i podziwem. Zbliżano się doń z najwyższym szacunkiem. Ten wysmukły, sprężysty młodzieniec był w oczach tych tysiącznych tłumów postacią legendarną. Wprost wierzyć się im nie chciało, że znajduje się tutaj pomiędzy nimi, z krwi i kości, żywy i wesoły, że to on, a nie kto inny siedzi na koniu i spokojnym głosem wydaje rozkazy.

Zandarmów oraz wojska ani śladu. Uciekli w popłochu do Saragossy. Przeoczyli pierwszy moment rewolty - nie zdusili jej w zarodku, a teraz było już za późno. Zniknęli także komisarze królewskiego skarbu, skryli się poborcy podatkowi, a ci, którzy nie zdążyli uciec, zostali poddani chłoscie i przepędzeni na cztery wiatry.

Don Alvarez wyruszył na czele wojska przeciwko rewolucjonistom. Spotkanie nastąpiło niedaleko Saragossy. Walka nie trwała zbyt długo. Żołnierze rozbici i rozproszeni cofnęli się w nieładzie do miasta.

Jak wiadomo Saragossa jest fortecą nie do zdobycia. Załoga jej spokojnie oczekiwała przybycia powstańców.

Buntownicy stanęli pod miastem... Z chwili na chwilę ściągały zewsząd nowe zastępy uzbrojonych wieśniaków, hacjenderów i służby dworskiej. Liczba oblegających powiększała się nieustannie. Lecz mury forteczne mogłyby się oprzeć dziesięciokrotnie większym zastępom.

I oto pewnego dnia, po południu, ukazał się na ulicach Saragossy jeździec w masce. Jak dostał się do miasta? Skąd się tu wziął? W jaki sposób przekradł się poprzez mury forteczne? Pozostało zagadką na zawsze.

Zorro pędził przez ulice ubogiej dzielnicy. Stał w strzemionach, w rękę trzymał nieodłączny bicz i wołał:

- Do broni, mieszkańcy Saragossy! Do broni! Precz ze złodziejami królowej Izabelli! Do broni!

Iskra w beczce prochu wywołałaby podobny efekt. Ulice zaległy tłumy, wyjące, złorzeczące, złowrogie. W Saragossie wybuchło powstanie. Wojsko nie mogło stawić czoła dwom frontom jednocześnie. Tego samego dnia po krwawej walce ulicznej Saragossa znalazła się w rękach ludu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy samotny jeździec przeprawił się przez rzekę Ebro i pognął drogą wiodącą na południowy zachód, do Guadalajary...

Jeździec ten miał na ramionach zwykły płaszcz, bez żadnych ozdób, i zakrytą zupełnie twarz. Sądząc z pośpiechu, z jakim przynagłał swego konia oraz z tego, że co chwila trwożliwie oglądał się za siebie, można było wywnioskować, iż ucieka z miasta. Dreszcz trwogi przebiegał po plecach jeźdźcy, gdy po pewnym czasie dostrzegł obłok kurzawy daleko za sobą. Obłok zbliżał się coraz bardziej. Jeździec wbił ostrogi w boki konia, lecz nie na wiele mu się to przydało. Koń pędził, wyciągnięty jak struna, lecz obłok kurzu zbliżał się coraz szybciej. Z obłoku wyłonił się jeździec w masce. Był to Zorro, który ścigał człowieka w zwykłym płaszczu.

Pierwszy jeździec - widząc, że ścigający go zbliża się coraz bardziej - zaczął kluczyć. Zboczył z głównej drogi i wjechał pomiędzy skały. Gnany panicznym strachem nie zważał na to, gdzie się znajduje, główną jego myślą było bowiem ująć pogoni.

- Hej, don Alvarez! - rozległ się głośny okrzyk za nim. - Zatrzymaj się na chwilę, pogadamy! Stój, głupi człowieku, nie zrobisz ci krzywdy!

Don Alvarez wyrzucił z siebie przekleństwo, wyciągnął pistolet, odwrócił się i strzelił.

Kula świsnęła obok głowy Zorry.

- Zatrzymaj się, szaleńcze! - krzyknął Zorro. - Patrz, dokąd jedziesz! ...

Ścieżka pomiędzy skałami szła zygzakowato w górę. Wreszcie skały po bokach zniknęły, a koń niósł Alvareza wysoko, do skraju przepaści.

- Zatrzymaj się! - wołał Zorro. - Zginiesz!... Uważaj !... Lecz Alvarez nie zważał na nic.

Wyciągnął drugi pistolet i odwrócił się, by strzelić do swego prześladowcy. W tej samej chwili Zorro ściągnął maskę z twarzy i don Alvarez ujrział prawdziwe oblicze jeźdźca w masce. Zdrętwiał na ułamek sekundy i nie zdążył już strzelić, gdyż droga na szczycie skały urwała się i wierzchowiec nie mógł się już zatrzymać. Runął w przepaść wraz ze swym jeźdźcem. Ciało konia i człowieka kilkakrotnie odbiło się od występów skalnych i legło na dnie przepaści.

Zorro zatrzymał swego konia tuż nad krawędzią i spojrzął na dół.

- Napuszony głupiec, tchórz i złodziej - szepnął. _ Niech mu ziemia lekką będzie. Uprzedzę jednak ludzi, by go pochowali z honorami.

Zawrócił konia i powoli ruszył do Saragossy.

Regent Hiszpanii

Był to pamiętny rok w dziejach Hiszpanii. Pożoga rewolucyjna ogarnęła cały kraj. W Madrycie powstanie było najkrwawsze. Ministrowie zbiegli. Don Alonzo jednak został schwytany. Królowa uciekła z Eskurialu, a regentem Hiszpanii został marszałek Serrano. I wówczas to Zorro dał sygnał i Hiszpanie spokojnie rozeszli się do domów.

Cały naród wiedział, że rewolucja, która zabrała królową Izabellę po trzydziestu trzech latach panowania, zawdzięczała swój początek i rozwój legendarnej postaci jeźdźca w masce.

Lecz Zorro znikł. Nikt nie napadał już na transporty rządowego złota, nikt nie smagał poborców podatkowych. Zresztą urząd poborcy został zniesiony. Podatki ściągał miejscowy sędzia ludowy i zarazem radny, wymierzano je sprawiedliwie; ustały szykany i lud odetchnął.

Nastał okres spokoju i pomyślności.

Pewnego pięknego poranka przed hacjendą Zefiria Cortiego zatrzymał się oddział żołnierzy.

- Gdzie jest pan domu? - zapytał sierżant.

Stary sługa podrapał się w głowę:

- Czy ja wiem, gdzie on się podziewa? Pewnie przy bykach na łące lub w stajni!

Żołnierze rozbiegli się po zabudowaniach w poszukiwaniu Zefiria.

Znaleziono go obok zagrody dla byków.

- Siadaj na koń, senor! - rzekł sierżant. - Jedziesz z nami!

- Boże, wielki Boże! - zawołał Zefirio. - Czy jestem zaaresztowany?

- Taki mam rozkaz! Muszę dostarczyć cię żywego do Madrytu!

Zamiast jednak dosiąść konia, udał się w drogę karocą zaprzęgniętą w cztery konie. Podróż była długa i uciążliwa. Wreszcie po wielu dniach jazdy karoca eskortowana przez żołnierzy dotarła do Madrytu. Sierżant przekazał ją policji, która skierowała pojazd wraz z pasażerem do pałacu regencji.

W mózgu Zefiria zaczęło się rozjaśniać, gdy w paradnym wejściu ugalonowani lokaje otworzyli przed nim szeroko podwoje, a po marmurowych schodach zbiegła senorita Juana.

- Zefirio, kochany, drogi Zefirio! - wołała radośnie, wyciągając ręce ku niemu. - Nareszcie cię widzę. Przypomniałeś sobie wreszcie o mnie, niewierny!

Zefirio uśmiechnął się na widok Juany, lecz wnet twarz jego przybrała ponury wyraz.

- Dziękuję ci, senorito! - mruknął. - Jeśli to miał być wjazd triumfalny do Madrytu, to już nie wiem, jak wygląda odprowadzanie przestępców do więzienia!

- Wybacz mi, Zefirio! - szepnęła Juana, ujmując go pod ramię. - Tak się stęskniłam za tobą!

- I ja również! - mruknął zmieszany Zefirio. - Nie mogę jednak ochłonąć ze wstydu. Cały Madryt przypatrywał mi się, podczas gdy policja prowadziła mnie jak zwykłego przestępcę przez ulice miasta.

Juana puściła mimo uszu jego narzekania. Pociągnęła go do wspianego salonu i posadziła w fotelu.

- Przede wszystkim opowiedz mi, co u ciebie słychać, Zefirio?

- Hoduję byki i doglądam gospodarstwa! Jeśli to ma być gościnne przyjęcie po tygodniowej

podróży karocą, wolę udać się do zajazdu! Cały jestem złamany i jeść mi się chce.

Zefirio wstał z fotela, lecz Juana ujęła go znów pod ramię i poprowadziła do przyległego pokoju.

W jadalni olbrzymich rozmiarów siedziało już kilkanaście osób. Gdy Juana wprowadziła Zefiria, rozległy się głośnie okrzyki:

- Zefirio... Zefirio tutaj! Witaj, Zefirio!

Młody Corti poznał Porfiria i Malibrana z ojcem. Dostrzegł również wiele znajomych senorit, a między nimi Dolores i Mercedes.

Na głównym miejscu przy stole siedział regent Hiszpanii, obecny jej władca, marszałek Serrano. Oblicze jego rozjaśniło się, gdy ujrzał Zefiria. Potrząsnął serdecznie jego ręką i posadził obok siebie.

Biesiadnicy prowadzili wesoło rozmowę.

Pod wpływem doskonałych potraw i napojów, Zefirio także poweselał.

- O czym rozmyślasz, senor? - zapytał marszałek Serrano.

- Znam świetną sztuczkę magiczną! - odpowiedział Zefirio. - Biorę zwykłą łyżkę i widelec...

- Daj spokój na razie sztuczkom magicznym, senor Zefirio - przerwał mu dobrodusznie marszałek.

- Wszyscy mamy daleko ważniejszą sprawę do załatwienia.

Powstał ze swego miejsca i wszyscy zamilkli.

- Senioritas e senores! - zaczął marszałek. - Zebraliśmy się tutaj, by uczcić fakt zaręczyn mej córki Juany ze...

Tutaj zamilkł na chwilę, powiódł wzrokiem po obecnych i zakończył:

- Ze szlachetnie urodzonym senorem don Zefirem Cortim! Wznoszę toast za zdrowie i pomyślność narzeczonych.

Rozległy się okrzyki i wiwatowania.

Zefirio siedział przez dłuższy czas jak skamieniały, lecz wreszcie musiał zebrać się w sobie, powstać i odpowiedzieć ukłonem i uśmiechem.

Dolores i Mercedes były nie mniej od innych zadowolone z takiego obrotu sprawy. W duchu dziwiły się jednak niezwykłemu szczęściu Zefiria. Musiały przyznać, że Juana przewyższała je urodą, wdziękiem i umysłem.

- Co ona w nim widzi? - szepnęła Mercedes do ucha Dolores. - Tchórz, głupiec i fanfaron!

- Jestem zdumiona - odpowiedziała również szeptem Dolores. - Nie przeczę, że Zefirio jest bardzo przystojnym mężczyzną, lecz poza tym zero!... Czyżby Juana zakochała się w pięknym obliczu?

- Oświadczał się kilkakrotnie o moją rękę! Odrzuciłam go ze wzgardą. Nie mogłabym wytrzymać przez godzinę z takim mężem!

- Tss, cicho. Zefirio chce mówić!

Młodzieniec chrząknął, uklonił się zebrany i przemówił:

- Jestem wzruszony waszą wobec mnie życzliwością, senioritas e senores! Szczęśliwy jestem, że tak się stało, że ta, którą kocham, została moją narzeczoną. Jest to jedyna kobieta, która mnie rozumie. Kocham ją, gdyż nie dała się zwieść pozorom, albowiem to co uważamy częstokroć za prawdziwe, jest tylko pozorem, a pozór nieraz okazuje się rzeczywistością, gdyż nie zawsze rzeczywistość wygląda na rzeczywistość, lecz...

Tutaj Zefirio zaplątał się w swych wywodach, głupkowato spojrzął po obecnych, chrząknął raz i drugi, wreszcie usiadł szepcząc: straciłem wątek!

- Brawo... Brawo! - rozległy się okrzyki wśród wybuchów śmiechu. Juana śmiała się wraz z innymi.

- Bodaj cię, Zefirio! - wołał śmiejąc się głośno marszałek Serrano i klepnął go po plecach. - Taka mowa. Nie każdy to potrafi. Powinieneś zostać premierem ministrów!

- Zawsze tak myślałem - rzekł skromnie Zefirio. - Premier ministrów to w sam raz dla mnie!

Zorro bez maski

Wieść gruchnęła po Hiszpanii. Córka regenta wychodzi za mąż za głupiego Zefiria Cortiego.

Jeśli kiedykolwiek naród był naprawdę zaskoczony, to chyba teraz tą niezwykłą wiadomością. Arystokracja Madrytu nie mogła w to uwierzyć. Lud, który również znał młodego Cortiego, był zdumiony

nie mniej niż wyższe sfery.

Zefiria traktowano niemal jak narodowego błazna. Wszystkie gazety umieściły jego karykatury, w teatrzykach i kabaretach kpiono z biednego młodzieńca.

Przyjaciółki Juany uważały ją za szaloną i niejednokrotnie dawały jej to do zrozumienia, lecz marszałkówna w odpowiedzi wzruszała ramionami i uśmiechała się.

Pewnego dnia wśród mieszkańców Madrytu rozeszła się niepokojąca wiadomość. Mówiono, że Juana dostała liścik następującej treści:

Póki żyję, Zefirio nie będzie Twym mężem.

Zorro

A więc Zorro kochał Juanę. Naród od razu opowiedział się za swym tajemniczym bohaterem. Ludzie zaczęli się oburzać i sarkać.

- Jak to? Juana przedkłada idiotę nad człowieka odważnego, zręcznego, szlachetnego, nad człowieka, któremu lud zawdzięcza swój spokój i sprawiedliwość. Czy marszałek Serrano nie zdaje sobie sprawy, że gdyby nie Zorro, nie byłby władcą Hiszpanii? Gdzież tu wdzięczność, gdzie sprawiedliwość?

Nadszedł dzień ślubu.

Długie sznury pojazdów zatrzymywały się przed pałacem regenta. Cała arystokracja Hiszpanii śpieszyła do sali kolumnowej pałacu, skąd orszak ślubny miał ruszyć do katedry.

Panna młoda, w ślubnym welonie, jaśniała nieziemską wprost pięknnością.

Dolores i Mercedes stały w tłumie z zapartym tchem, wyczekując przybycia pana młodego.

Na ustach tych pięknych seniorit przewijał się drwiący uśmieszek. Współczuły co prawda Juanie Serrano, że bierze ślub z młodzieńcem tylekroć ośmieszonym, z głupcem, którego zaloty obie odrzuciły bez namysłu, lecz jednocześnie odczuwały dziwne zadowolenie, że właśnie stało się tak, a nie inaczej. Słyszały, że Zorro kocha Juanę, wieść ta napełniała je wielkim niepokojem, niebawem jednak Juana przestanie być dla nich rywalką. Jako żona Zefiria nie będzie już niebezpieczna i w serduszkach Mercedes oraz Dolores znów zakolała nadzieja.

Mijała minuta za minutą, a Zefirio nie zjawiał się. Juana zaczęła się niepokoić, marszałek nerwowo przygryzał wargi.

- Nie przyjdzie! - rozległy się szept. - Ślub nie odbędzie się!

Wtem na zewnątrz, wśród zebranych przed pałacem tłumów, wszczął się dziwny hałas. Ludzie wiwatowali, ryczeli wściekle, rozbrzmiewały okrzyki:

- Olle; Zorro, nasz bohater w masce!... Precz z głupim Zefiriami!... Donna Juana powinna należeć do Zorry... Nie damy jej błaznowi!..

Poprzez tłum przedzierał się zamaskowany jeździec na koniu. - Drodzy przyjaciele! - wołał ze śmiechem. - Wiercie mi, że nie pozwolę wydrzeć sobie tej, którą ukochałem...

- Pomożemy ci, Zorro! - rozległy się okrzyki zapaleńców. - Nie dopuścimy do ślubu, choćbyśmy mieli roznieść pałac regenta w kawałki...

- Dziękuję- skinął głową Zorro. - Dziękuję wam z całego serca, senores, ale zdaje się, że nie będę potrzebował waszej pomocy...

To mówiąc uderzył swego konia ostrogami... Szlachetne zwierzę pogalopowało w kierunku szerokich marmurowych schodów prowadzących do głównego wejścia pałacowego.

Ale przed wspaniałym portalem czekała Zorrę niespodzianka. W wejściu stali murem żołnierze z pochyloną bronią, a marszałek Serrano wołał:

- Żołnierze, nie wolno wam przepuścić go, za żadną cenę... Głową mi odpowiecie, jeśli Zorro przedostanie się do środka!

Żołnierze wiernie wykonywali rozkaz marszałka-Serrany, lecz po wyrazie ich twarzy można było poznać, że wykonanie tego rozkazu było dla nich bardzo niewygodne. Jakże chętnie pozdrowiliby Zorrę głośnym „olle”, zamiast bronić mu wejścia do pałacu!... Ale rozkaz był rozkazem.

A poza ścianą straży spoglądały na Zorrę wystraszone twarze zaproszonych gości marszałka.

Czemu jednak regent Hiszpanii, wydając ten surowy zakaz, jaśniał zadowoleniem?.. Czemu

nieznaczny uśmiech malował się na jego energicznym i mądrym obliczu?

Zorro zatrzymał się tuż przed murem piersi żołnierskich.

- Nie przepuście mnie? - zapytał. - Nie dacie mi wejść do środka?

- Niestety - westchnął stary wachmistrz, nie możemy, senor, choć nam się serce kraje!...

- Przejdę jednak!...

- Trudno - szepnął wojak. - Jesteśmy przygotowani na to, że otrzymamy porcję batów od waszej wielmożności... Zaczynaj więc, senor Zorro, będziemy chociaż mieli wymówkę, że nie byliśmy w stanie stawić ci oporu!...

Zorro pokręcił głową przecząco:

- Nie używam bicia od czasu, gdy w Hiszpanii zapanowała sprawiedliwość! - odparł.

- Pałac ma boczne wejście pilnowane tylko przez jednego żołnierza - dodał wachmistrz szeptem.

- Dziękuję! - zawołał Zorro. - Dziękuję ci, wachmistrzu!... - I zawrócił konia.

Nie oddalił się jednak. Stał na siodle i jednym śmiałym skokiem znalazł się na cokole stojącym obok wejścia. Gibki jak pantera zaczął się wspinać po ścianie pałacu przed tysiącami par oczu. Był to nie lada popis szaleńczej akrobacji. Tłumy śledziły jego ruchy z zapartym tchem. Każdy miał wrażenie, iż Zorro lada sekunda runie w dół. Toteż jedno westchnienie ulgi wydarło się z tysiąca piersi, gdy jego gibka postać zniknęła w otworze otwartego okna.

Tłum gości zebranych w sali pałacowej zafalował.

- Zorro, Zorro przybył - szeptano z przejęciem. - Co to będzie?.. Nie pozwoli sobie wydrzeć Juany... Biedny Zefirio...

Dwaj młodzieńcy, z wydobytymi pistoletami, przycisnęli się do panny młodej i stanęli u jej boku. Byli to Porfirio i Malibrán. Obaj groźnie nachmurzeni, miny ich świadczyły, że zdecydowani są na wszystko.

- Nie pozwolimy skrzywdzić naszego przyjaciela Zefirio - mruczał Porfirio dość głośno, by wszyscy mogli go usłyszeć, a Malibrán potrząsnął groźnie pistoletem i dodał:

- Zefirio nie może pozostać bez narzeczonej... Zorro spotka się z murem naszych mężnych piersi!

- Amen! - wymówił Porfirio i obaj obrzucili zebranych tak dzikim wzrokiem, że najbliższej stojący ostrożnie wycofywali się z tego niebezpiecznego miejsca.

W sali kolumnowej zapanowała cisza, pełne napięcia oczekiwanie. Zefirio zląkł się swego rywala i dlatego nie zjawiał się - było to jasne dla wszystkich.

Wtem pod sufitem rozległ się dźwięczny głos: _ Póki żyję, Zefirio nie będzie mężem Juany!

Wszystkie głowy spojrzały w górę. Na balkonie stał Zorro. Spokojny, uśmiechnięty Zorro w obcisłym stroju, z szeroką, jedwabną maską na twarzy, ze swym nieodłącznym biczem z bawolej skóry w prawym ręku.

- Zorro!... Zorro!... - dały się słyszeć przyciszone okrzyki. Dolores i Mercedes doznały gwałtownego bicia serca i rozszerzonymi oczami wpatrywały się w postać ich marzeń.

Zorro przełożył nogi przez barierę balkonika i zsunął się po kolumnie na dół i w kilku susach dotarł do Juany. Chwycił ją lewą ręką za talię, uniósł w górę, a prawą ręką torował sobie drogę do wyjścia.

Tłum zamarł w bezruchu.

Zorro porywa Juane! przemknęła jedna myśl przez wszystkie głowy. Lecz nikt nie śmiał stanąć na jego drodze. Odwrotnie rozsunięto się z szacunkiem i obawą, pozostawiając pośrodku sali szerokie przejście dla niego. I w tej samej chwili Juana, która nie straciła ani odrobiny przytomności umysłu, sięgnęła do twarzy Zorry i zdarła z niej maskę.

Gdyby sufit sali kolumnowej zawałił się nagle, nikt nie byłby bardziej zdumiony niż w chwili, gdy Juana jednym, śmiałym ruchem odsłoniła prawdziwe oblicze Zorry.

Tak! Bez wątpienia był to Zorro we własnej osobie... Któż nie znał tej gibkiej, sprężystej sylwetki, tego uśmiechu o dwóch rzędach śnieżnobiałych zębów?..

Potężne „ach!” wstrząsnęło murami pałacu. Wszyscy zebrani ujrzeli prawdziwe oblicze groźnego, odważnego, rycerskiego Zorry. Był to wesoły, uśmiechnięty, rozradowany Zefirio. Zefirio taki, jakiego nikt dotychczas nie znał.

- Stało się! - roześmiał się Zefirio. - Juana zdemaskowała mnie. No tak, Zefirio i Zorro to jedna osoba. Trudno w to uwierzyć, prawda?

- Dawno wiedziałam o tym! - szepnęła Juana. - I ojciec mój też. Kochany ty mój rycerzu!

A tymczasem, jak sala długa i szeroka, panowała nadal grobowa cisza. Ludzie nie śmieli oddychać. Wpatrywali się w Zefiria, tego samego, którego uważali za głupca, a który wszystkich wyprowadził w pole. Patrzyli nań tak, jak gdyby odkryli zupełnie nowego, człowieka. Bo rzeczywiście przed nimi, przed żołnierzami, którzy zapomniawszy o swym obowiązku tłoczyli się przy wejściu, oraz przed ludźmi z ulicy, którzy wdzierali się teraz do pałacu, stał zupełnie inny Zefirio. Don Jose Maria Zefirio Corti, hidalgo z dziada pradziada, dumny potomek męznego rodu kastylijskiego, godny spadkobierca tylu cnót żołnierskich, lecz który przewyższał swych przodków, walczył bowiem sam jeden przeciw wszystkim.

- No i cóż, senores? - zawołał nagle gruby Malibran, wybuchając głośnym śmiechem. - Śmiejcie się, proszę!... Czyż nie widzicie, że stoi przed wami Zefirio?

Wtem na sali rozległy się przeraźliwe okrzyki i dwie kobiety zemdłały. Były to Mercedes i Dolores.